ŁOWIEC POLSKI





52 ROK WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 7–8 (980–81) LIPIEC–SIERPIEŃ 1950 R. CENA 120 ZŁ

Łowiecki Konkurs Literacki

Komitet Redakcyjny Łowca Polskiego, pragnąc zasilić pismo utworami beletrystycznymi i przyciągnąć do współpracy nowe siły, zwłaszcza z prowincji, ogłasza KONKURS NA KRÓTKIE UTWORY LITERACKIE W POSTACI NOWEL, OPOWIADAŃ, WSPOMNIEŃ itp. na tematy łowieckie lub na tle życia łowieckiego oparte.

Utwory powinny być krótkie, mogące się zmieścić na 4 do 5 stronach Łowca Polskiego, a więc liczące 8 DO 10 STRON MASZYNOPISU o 30 wierszach i 40 znakach pisarskich w wierszu. Ilustrowanie prac zdjęciami czy udanymi rysunkami jest pożądane.

Prace, nadesłane na Konkurs, powinny być przepisane na maszynie jednostronnie, z interliniami (odstępami między wierszami) i z marginesem dla poprawek i uwag dla drukarni. Podpisane być winny godłem, zaś nazwisko autora należy podać w zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem.

Dla prac wyróżnionych wyznaczono pięć nagród: I — W KWOCIE 30.000 ZŁ, II — 20.000 ZŁ i TRZY NAGRODY PO 10.000 ZŁ. Autorzy prac nagrodzonych otrzymają po 5 egzemplarzy Łowca Polskiego z pracami wydrukowanymi oraz normalnie przypadające honorarium. Poza tym inne prace mogą być uznane za zasługujące na zamieszczenie w Łowcu Polskim z opłatą honorarium normalnego i z prawem do 2 egzemplarzy autorskich.

Sąd Konkursowy stanowić będą członkowie Komitetu Redakcyjnego z wyboru. Sądowi przysługuje prawo — w razie nie osiągnięcia należytego poziomu prac — nie przyznania nagrody pierwszej.

TERMIN NADSYŁANIA PRAC, WYZNACZONY NA 31 SIERPNIA, PRZEDŁUŻA SIĘ DO 30 WRZEŚNIA.

Spis rzeczy w numerze:

ŁOWIEC POLSKI
ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO
Nr 7–8 (980–81) 1950 LIPIEC–SIERPIEŃ

IWAN ARAMILEW

Na wczasach myśliwskich



W NOCY strzelcowi Iwanowi Wasiliewiczowi Alabjewowi przyniesiono wezwanie. Starca wzywali do powiatowego Komitetu Wykonawczego, lecz w jakiej sprawie — nie było wiadomo.

Gdy posłaniec odszedł — żona strzelca — Maria Pietrowna spojrzała na starca wystraszonymi oczyma:

— Co by to miało być, Iwanie?

— Pewnie mają interes, jeżeli wzywają.

Głos Alabjewa był spokojny — jednak niewiadomo dlaczego — starzec zapalił lampę i począł rozczesywać grzebieniem splątaną siwiejącą brodę.

Staruszka kręciła się na przypiecku i wzdychała.

Nafta była kiepska, lampa kopciła. Iwan zmniejszył płomień, ułożył się na ławie, jednak długo nie mógł zasnąć.

Rano strzelec włożył odświętne buty, nową, wzorzyście haftowaną koszulę i piechotą wybrał się do miasta. Iść w chłodzie było lekko. W zbożach poświstywały przepiórki, w lasku brzozowym darły się młode gawrony.

Iwan wsłuchał się w głośne krzyki ptactwa i niewesoło się uśmiechnął: „Ot ptactwu życie: nie sieje, nie zbiera, krągły rok syte, żadnych trosk! A tu, masz ci los — wzywają!"

W poczekalni przewodniczącego wyciągnęła się długa kolejka: chłopi z dalszych wsi, mieszczuchy,

podmiejscy ogrodnicy, niedawno zwolnieni z armii — czerwonoarmiejcy, w ostro zakończonych czapkach z gwiazdą.

Sekretarka pytała, kto w jakiej sprawie przyszedł.

Iwan Alabjew podał swoje nazwisko, pokazał wezwanie.

Dziewczyna spojrzała na niego przeciągle.

Po minucie drzwi od gabinetu otworzyły się naoścież i, niby przez sen, starzec usłyszał dziarski głos dziewczyny:

— Wejdźcie, Towarzyszu Alabjew.

Przewodniczący, wygolony człowiek w podeszłym wieku, podał Iwanowi rękę i zaprosił do zajęcia fotela.

Strzelec usiadł ostrożnie.

— Zajmujesz się myśliwstwem, po dawnemu?

— Po trochu zajmuję się — odpowiedział strzelec. — Jednak już postarzałem znacznie. — Jeszcze nie rozumiejąc, co mają zamiar od niego zażądać, zdecydował się udać biedaka. — Oczy kiepsko widzą, nogi reumatyzm łamie, niedługo już trzeba będzie skończyć z tą leśną włóczęgą.

— Tak, tak — rzekł nieokreślenie przewodniczący, oglądając starca mądrymi, przenikliwymi oczyma. — Stary, powiadasz? A według mnie, tyś niczego — chłop do rzeczy. Jedzie — rozumiesz — do nas jeden myśliwy, my ciebie wyznaczamy dla niego na przewodnika. Jutro nie odchodź nigdzie, zaprowadzisz go na najlepsze miejsca.

— To można — tę robotę znam,—zgodził się strzelec. — A pozwolicie dowiedzieć się, kto to taki przyjedzie?

Przewodniczący przymrużył oczy, uśmiechnął się.

— Przyjedzie — sam zobaczysz. Tylko wiesz co, mój bracie, we wsi o tym nie rozgaduj!

Alabjew nastawił ucha: „Sekret?"

— Sekret — nie sekret, a paplanie zbyteczne. Zaczną się chłopi pytać — a wypytywać, a on musi odpocząć

Strzelec potakiwał: — rozumiem, rozumiem...

Zadzwonił telefon, przewodniczący ujął słuchawkę i zaczął z kimś rozmawiać.

Rozweselony Iwan przypomniał sobie, że wszak kiedyś był słynny w całym okręgu, urzędnicy oddawali mu do tresury legawe psy, jeździli do niego na polowania. Wszystkich zadziwiał swoją celnością strzałów, znajomością lasu, ptasich i zwierzęcych obyczajów.

— Prowadź do lasu — chcemy postrzelać! — Więc prowadził.

Władza odnosiła się do niego wyniośle, za pracę płaciła grosze. Iwan jednak był szczęśliwy. Razem z nim polowali bogato odziani ludzie, z drogimi fuzjami i rasowymi psami. Nawet sąsiad Nikita Pankow — złojęzyczny człowiek, uważający Iwana za bezpłodny kwiat, w takie dni spoglądał na strzelca z zazdrością.

Zdarzył się wprawdzie wypadek, że za drobne uchybienie na polowaniu, ziemski naczelnik uderzył Iwana łoziną po twarzy.

Jakiś oficer — dla uciechy — kazał mu, nie ruszając się z miejsca, wypić całą ćwierć wódki. Iwan pił do odurzenia i omal nie umarł na udar serca. Sąsiedzi o tym nie wiedzieli. Takimi sprawami strzelcy się nie chełpią.

Rozpoczęła się wojna. Dokonała się rewolucja. Prochu i śrutu nie można było kupić. Alabjew myślał już, że nie będzie więcej chadzać jako strzelec-przewodnik, że nikomu już więcej nie jest potrzebny.

Widocznie jednak przepomnieli go sobie. Z trudem ukrywał swe rozradowanie.

Przewodniczący zakończył rozmowę telefoniczną — odwrócił się do Iwana:

— No, dogadaliśmy się? Fuzję bierz ze sobą, ale skąd by ptak nie leciał — sam nie strzelaj! Ani Boże mój! Twoja sprawa — ptactwo wyszukać. On — pojmujesz — nie lubi żeby strzelec zabijał i jemu wsuwał do torby. Sam nastrzela, ile trzeba, a nie zabije — też się nie obrazi!

— Bądźcie spokojni — rzekł strzelec — wykonam ściśle. Mam ja wszystkie lęgi upatrzone.

W drodze powrotnej, Alabjew spoglądał wesoło wokół, często zatrzymując się, by zapalić zagasłą fajkę.

— Któż to jedzie? Czyżby z samej Moskwy?

Maria Pietrowna, usłyszawszy od starca, że przyjedzie znakomity gość, też rozjaśniła się i zabrała się do mycia podłogi, zdejmowania pajęczyn ze ścian i robienia porządków w izbie.

II.

POD wieczór zakurzony samochód zajechał przed dom strzelca. Kierowca dał krótki sygnał. Alabjew wybiegł na ganek, dobrodusznie uśmiechnął się:

— Prosimy, drogi gościu, bądźcie łaskawi!

Z samochodu wyszedł krępy, krzepki człowiek w brązowym frenczu, w juchtowych butach. W prawym ręku trzymał skórzany futerał ze strzelbą.—Dzień dobry — rzekł łaskawie, idąc na spotkanie strzelca.

Alabjew zdetonował się początkowo, twarz jego przybrała wyraz uniżoności, z jakim dawniej spotykał naczelników, lecz gość odpowiedział mu zniewalająco przyjacielskim uśmiechem i ten uśmiech zbliżył ich do siebie.

Kierowca wprowadził samochód do obejścia.

Gość usiadł na przyzbie — wytarł twarz chusteczką.

Alabjew nie odrywał oczu od niego.

Ulicą szło stado, pastuch strzelał z długiego bata. Bydło było syte, rosłe. Gość spoglądał na krowy, schludne domki wiejskie, jaskrawo błękitne niebo.

Iwan jeszcze raz objął spojrzeniem gościa: „Ten sam!" Zdarzało mu się widzieć w gazetach na fotografiach tę drogą twarz, to wypukłe czoło. „Ależ naturalnie — to on!"

— Zdaje się, że Tow. Lenin raczył do nas zawitać?

— Tak, tak, nie omyliliście się, — rzekł Iljicz. — A wy, zdaje się, zwiecie się Iwan Wasiliewicz?

— Tak jest, Włodzimierzu Iljicz! — krzyknął radośnie strzelec, poczem skoczył do izby i omal nie zbił z nóg staruchy.

— Ruszaj się, matka! Sam Lenin przyjechał. Przewodniczący Sownarkomu! Słyszysz?

— No? — mruknęła zakłopotana Maria Pietrowna.

— Mówię — znaczy się tak jest. Uważaj — językiem zbytecznie nie miel!

Alabjew odwrócił się gwałtownie i wybiegł na ganek.

— Herbaty przygotować, Władimir Iljicz, czy mleczka prosto od krowy?

— Dziękuję, — odrzekł Iljicz — od herbaty się nie wymawiam.

Przy piciu herbaty, Lenin mówił mało: widocznie długa jazda samochodem zmęczyła go. Spytał tylko: jaka zwierzyna występuje w tutejszych łowiskach? Wysłuchał odpowiedzi strzelca i prosił, aby mu przygotował posłanie w stodole, na sianie.

Odprowadziwszy gościa do wypełnionej świeżym sianem szopy — Alabjew legł na ławie. Czekał go trudny dzień — trzeba dobrze wypocząć — lecz mu się jakoś nie spało. Myśli wzburzyły starca. Myślał o mającym nastąpić polowaniu i bał się popełnienia jakiejś nieostrożności. Ostatnimi dniami Iwan nie był w lesie. A nuż lęgi zmieniły miejsce...

III.

ŚWITAŁO. Wieś jeszcze spała, na ulicy było cicho. W powietrzu unosił się ostry zapach antonówek. Lenin i Alabjew wyszli w pole ogrodami po ledwie widocznej ścieżynie. Iwan kroczył na przedzie, Lenin zatrzymywał się co pewien czas, oglądał zboże i doganiał strzelca.

Słychać było metaliczne dźwięki: stroną leciały dwa łabędzie. Iljicz łowił uchem podźwięki ich potężnych skrzydeł, ręka jego mimowoli wyciągnęła się do strzelby. Strzelec zauważył ten ruch.

— Daleko, Towarzyszu Lenin!

— Tak, śruty nie chwycą, odpowiedział uśmiechając się Iljicz — żal strzelać, piękne ptaki!

Rudy seter, Aksaj, rwał się naprzód. Alabjew powstrzymywał psa niegłośnym okrzykiem i pies pokornie wracał do nogi. Dął ciepły, pachnący wiatr. Ciemności nad polami bladły i jakoś od razu rozwiązały się. Z prawej strony zieleniała brzezinka, z lewej — w głębokiej dolinie — błysnęła rzeka.

Gdzieś huknął strzał. Strzelec drgnął: — Może posiedzimy u przepływu, Władimir Iljicz? Kaczek teraz jest dużo, a ja mam też czółenko.

— Można i tak, — zgodził się Iljicz.

Zawrócili ku urwisku. Radośnie szło się po wilgotnej od rosy trawie, ścieżka jednak wydawała się długa, żyłka myśliwska budziła w nich niecierpliwość.

Jeden za drugim grzmiały na nizinie wystrzały, nad zalewiskiem leciały przestraszone kaczki.

— To nasi, wsiowi pukają! — rzekł strzelec. — Dziś wszakże otwarcie polowania. W ten dzień zowsze od świtu walą. Żaden myśliwy nie usiedzi w domu. Chromi, krzywi hurmem ruszają na łowy.

Zeszli ku rzece. Alabjew odwiązał od kołka płaskodenkę, włożył wiosła do dulek, jakoś dziwnie pociągnął nosem: — Wieczorem będzie deszcz!

Setter skoczył do łodzi, jak zwykle, ułożył się na dnie. Iljicz usiadł w tyle czółna, które wolno popłynęło wzdłuż zakrętu rzeki. Za rufą ciągnął się pienisty nurt, pluskały wiosła w gęstej wodzie.

Iljicz obejrzał się: pagórki prawego pobrzeża wydawały się różowe w promieniach słońca, rzeka jakby zastygła w najdelikatniejszym świetlistym oparze wodnym.



— Odbezpieczcie strzelbę, Władimir Iljicz, — rzekł strzelec. — Kaczki wszędzie podnieść się mogą. Czółno niewywrotne — strzelajcie spokojnie!

Iljicz złamał strzelbę, włożył naboje. Przesmyk był kręty, środkiem zarośnięty sitowiem. Alabjew skierował płaskodenkę w zarośla, przymocował do kółka. Po brzegach, w zieleni łoziny, stali wiejscy myśliwi, ci którzy nie mieli ni łodzi, ni psów.

Przy niedzieli, w dniu rozpoczęcia polowań, myśliwi podpili sobie. Różnogłośny gwar rozbrzmiewał nad rzeką. Cichł jednak, gdy nadlatywały kaczki. Potem w krzakach grzmiało... jeden, dwa ptaki spadały po strzałach, wystraszone stadka rzucały się na strony, wzlatując wzwyż. Tylko biały, z piersią popielato niebieską — orzeł - rybołów nie bał się strzelaniny, łowił ryby, wznosił się nad przepływem, sterując rozdwojonym ogonem, padał na zdobycz: woda z pluskiem rozstępowała się pod nim, rozchodząc się kręgami.

Nadleciało stado dzikich kaczek. Iljicz zrobił dubleta. Kaczka upadła obok łodzi — druga oddzieliła się od stada i zaczęła się zniżać.

— Gotowa i ta! — krzyknął strzelec. — Z polem! (Darz bór — przyp. tłumacza) Władimir Iljicz!

Nad krzakami gruchnął strzał. Zbarczona przez Lenina kaczka skoziołkowała. Z łoziny wybiegł Nikita Pankow, który dobił ją wystrzałem, pochwycił zdobycz i nie śpiesząc się poszedł na swe stanowisko. — Co ty robisz? — Wrzasnął strzelec, — Dokąd-eś cudzą kaczkę potaszczył?

— Żeby była wasza, to byście ją i wzięli! — odezwał się urągliwie Nikita. — Także mi strzelacze! Iljicz słuchał przeciągającej się przez czas jakiś sprzeczki strzelca z chłopem i dobrodusznie się podśmiewał.

— A czy ty wiesz, czyja to kaczka? — spytał zapalczywie strzelec — Ta kaczka... — Iljicz pociągnął strzelca za marynarkę, uśmiechnął się pałającymi oczyma: — Nie przejmujcie się, Iwanie Wasiljewiczu, Ja zraniłem — on dobił, niech bierze. Jeszcze ubijemy!

Alabjew przypomniał sobie: kiedy dzielono ziemię dziedzica Wałkowa, ten wredny Nikita krzyczał: ‚Alabjew zadawał się z ziemskimi władzami, a teraz prosi ziemi! Nie ma naszej zgody!“

Chłopi - gospodarze potakiwali Nikicie. Strzelec zajadle wymyślał, groził poskarżyć się samemu Leninowi. Jednak wiejski ogół nie nastawał na tym, by pozbawić Alabjewa ziemi za myśliwskie spotkania z naczelnikiem ziemskim i sąsiedzi, pohałasowawszy, przestali popierać Nikitę. Teraz stara krzywda zawrzała w duszy Alabjewa z nową siłą. Zmienił się na twarzy, uniósł krzaczaste brwi, gniewnie zamruczał: — Przecież to niegodziwość, Towarzyszu Lenin. Czyż godzi się z pod nosa cudzą zwierzynę ściągnąć? Ja z nim... — Cicho, — przerwał Iljicz — Kaczki wracają.



Alabjew przygiął się do burty. Lenin podniósł lufy w kierunku stadka — strzelił. Krzyżówka młyńcem poszła ku wodzie. — Aksaj! — krzyknął rozkazująco strzelec.

Setter skoczył za burtę, popłynął. Oczy Włodzimierza Iljicza pobłyskiwały wesoło. Pięknym wydawał mu się ten poranek na rzece, przypomniał dzieciństwo i młodzieńcze lata.

Przypominało mu się Kokuczkino pod Kazanią, gdzie wespół z bratem — Mitią oswajał się z polowaniem.

Często wracali z pustymi torbami, znużeni, zmęczeni fizycznie do ostatnich granic, lecz szczęśliwi i na pytanie, co zabili — Mitia odpowiadał ze śmiechem: „Czas!“

Setter z kaczką w zębach płynął ku łodzi. Strzelec chwycił go za obrożę i ostrożnie wyjął krzyżówkę z pyska. Woda ciurkiem ściekała ze słocisto-rudych boków settera.

Przelot skończył się.

— Władimir Iljicz — rzekł strzelec, — ruszymy za leśnym ptactwem.

— Tak, już pora! — zgodził się Iljicz.

IV.

SZLI skrajem lasku brzozowego. Z prawej strony ciągnął się rojst, z kępkami usianymi zaczynają różowieć żórawiną. Strzelec puścił Aksaja na jagodniak. Setter szybko trafił na ślad, zrobił stójkę, zatrzymując się obok dwóch małych brzózek.

Iljicz przygotował się do strzału. Pil! — rozkazał strzelec.

Setter stał bez ruchu, cokolwiek podgiąwszy lewą przednią nogę. Ptaki widocznie ukryły się tuż pod jego nosem. Strzelec spojrzał na Iljicza, kiwnął głową — co znaczyło: „Patrz uważnie!“

Iljicz poczuł, tak dobrze znany myśliwym, dreszcz w nogach. Oddech jego stał się przyśpieszony. W krzakach zaszeleścił wiatr, na brzózkach poświstywały młode drozdy.

Iljicz stał z wyciągniętą strzelbą i nic nie słyszał poza biciem własnego serca. Słońce było wysoko, delikatnie lśniło niebo, powietrze było tak przezroczyste, iż wydawało się, że drzewa zawieszone są

przed oczyma, jakby w jakiejś zamglonej pustce i pogrążone są w drzemce.

Strzelec poszczuł psa, jak na polowaniu z chartami, postąpił ku brzózkom i... drzemka się skończyła. Stadko zerwało się z szumem, rozsypując się po wyschniętym, porosłym błocie.

Iljicz opuścił strzelbę, spojrzał zukosa na strzelca śmiejącymi się oczyma. Westchnął i począł wycierać twarz chustką. — Przegapiliście, Władimir Iljicz! — wykrzyknął smętnie starzec. — Miejsce czyste, można by dubletem dwie ściągnąć!

Iljicz, z wyrazem skruchy na twarzy, uśmiechnął się: — To pardwy! — Panie Boże mój! A któż to widzi, Władimir Iljicz?!

Alabjewowi rozwichrzyła się broda, nastroszyły wąsy. Patrzył na Lenina smutnymi, nierozumiejącymi oczyma.

Iljicz przesunął zasuwkę bezpiecznika, przewiesił strzelbę przez ramię. — Bolszewicy winni dawać przykład, a wy mnie do kłusownictwa namawiacie! Aj, aj, Iwan Wasiliewicz!

Iljicz śmiał się zaraźliwie, oczy jego figlarnie połyskiwały. Strzelec stropił się. Co to za człowiek, ten Lenin? Za dawnych czasów „naczalstwo" dorwawszy się do lasu, tłukło wszystko, bez różnicy, co popadło, a Lenin nie chce strzelać do będącej pod ochroną pardwy.

W ciężkich czasach, Iwan, jak i inni myśliwi, polował na zakazaną zwierzynę i ptactwo, jednak robił to z bólem serca, potępiając w duszy kłusownictwo. Teraz jego myśliwski zapał ostygł i w myślach pochwalił Iljicza: „Sprawiedliwy człowiek".

Zagłębili się w las. W cieniu, na paprociach, w krzakach jałowca jeszcze wisiała rosa. Trawy pachniały miodem, a na pagórkach tak malowniczo czerwieniły się borówki, że żal było stąpać po nich. Iljicz kroczył za strzelcem. Las cieszył go spokojem, jaskrawością letnich barw.

Większą część swego życia Lenin spędzał w miastach. Lubił miasto, a mimo to zawsze ciągnęło go coś w pole, do lasu, nad rzekę. Czasami siedząc w gabinecie za biurkiem, wspominał noce z mętnobladym księżycem, ognisko ze smolistych gałęzi, włóczęgę po lasach z flintą na ramieniu.

— Czy nie zmęczyliście się, Władimir Iljicz? — spytał strzelec — Może odpoczniemy godzinkę?

— Nie, — gorąco zaprzeczył Lenin, — Jestem gotów chodzić cały dzień.

Przecięli głuchą gęstwinę i znów wyszli na mszary, przetykane krzakami kruszyny i jałowca. Ptactwa było dużo. Aksaj węszył po świeżych śladach, zamierał w stójce. Pierwsze strzały do cietrzewi były nieudane. Strzelec, pilnie obserwujący Lenina, podszedł do niego:

— Puszczajcie ptactwo dalej, Władimir Iljicz. Teren jest przecież odkryty. Ptaki nie mają gdzie się ukryć. Na bliską odległość śrut idzie kulą i trudno trafia.

Pies wystawił. Alabjew wyprężył się dziarsko, podniósł strzelbę, odpuścił cietrzewie na pewny strzał i zestrzelił dwie sztuki. — Tak właśnie strzelajcie!

— Ja, Iwanie Wasiljewiczu, wszystko rozumiem, Iljicz pocierał ręce i uśmiechał się... dawno już nie byłem na polowaniu.

Po lekcji strzelca, Iljicz zaczął strzelać pewniej z rzutu. Ptaki padały. Aksaj podawał je i znów rzucał się na poszukiwania. Pies pracował dobrze. Miał dobry węch, szybko i łatwo odnajdywał zwierzynę. Ani razu nie zniknął z oczu myśliwych, nie zrobił pustej stójki. Iljicz pochwalił psa.

— Złych nie trzymam — odpowiedział z godnością strzelec. — Nie żałuję swojej fatygi na wyszkolenie psów. Cóż to za polowanie ze złym wyżłem? Tylko się umęczysz.

Aksaj żwawo poprowadził po gorących śladach. Ptactwo oddalało się w kierunku gęstej, wysokiej jedliny.

— Za głuszcem! — szepnął strzelec, — Chytry, stary wypiór się trafił, próbuje się wymknąć! Ja zabiegnę od przodu, a wy nadążajcie za psem.

Iwan skoczył w bok, wyszedł na pagórek, pokryty żółtymi kwiatami i, pokaszlując, ruszył spowrotem.

Ledwie Aksaj wyciągnął pysk w stójce, głuszec ciężko załopotał skrzydłami i wzleciał.

Pierwszym strzałem Iljicz lekko zaczepił ptaka. Głuszec zachybotał się, zawirowały pod nim wybite z ogona pióra. Jednakże ptak — mocno tnąc skrzydłami powietrze — ciągnął ku zaroślom.

— Ucieknie, ucieknie — szepnął Iljicz, łapiąc ptaka na muszkę.

I kiedy, po drugim strzale, głuszec przekoziołkował i spadł w trawę, myśliwi razem podbiegli ku zdobyczy.

— Aż się zląkłem! — odezwał się wesoło Alabjew, — Myślę: Władimir Iljicz spudłuje. Niewygodnie jest strzelać pod słońce!

V.

ZAPŁONĘŁO ognisko ze świerkowych łapek. Strzelec przyniósł wodę, postawił kociołek na ogniu i dopóki się woda nie zagotowała opowiadał o swych polowaniach.

Potem zaczął rozmowę o ziemi. Iljicz wypytywał szczegółowo, serdecznie i strzelec poczuł, że z Leninem nie można być nieszczerym, nie można mówić nieprawdy.

Iwan wziął bezkurkówkę Iljicza, zważył na dłoni, przyłożył do ramienia.

— Sprawna broń, bije ostro, i, jak widać, nie rozrzuca zanadto.

Zdjął czółenko, odjął lufy i przetarł je szmatką okręconą na patyku. Zaczął potrzeć pod słońce.

— Cóż za stal! Błyszczy jak lustro! I — powiedzcie łaskawie — żadnego zadraśnięcia, jakby prosto ze sklepu!

— Rzadko strzelam — rzekł Iljicz — Zawsze brak czasu.

Strzelec milczał, nie odrywając oczu od strzelby.

— Pozwolicie zagrać, Towarzyszu Lenin?

Iljicz nie zrozumiał: — Zagrać? Na czym-że?

— Na waszych lufach.

— Czyżby można? — Iljicz nieufnie przymrużył oczy. — Dotąd nie wiedziałem, że fuzja jest instrumentem muzycznym! No, proszę, proszę!...

Strzelec przyłożył wylot lufy do ust, policzki jego nabrzmiały. Puścił kilka próbnych treli, rozrzucił po lesie werbel niezrozumiałych, niewyraźnych dźwięków. Potem lufy zadzwoniły równo, twarz strzelca

natężyła się do czerwoności. Odtwarzał pobrzękiwanie dzwonków pod duhą trójki. Konie pędzą, jak wicher po przetartej zimowej drodze, w dźwięki dzwonków wplata się szum wiatru, . skrzypienie oblodowaciałych płóz, melodia rozgłośnej pieśni... Trójka oddala się. Coraz ciszej dzwonią dzwoneczki. Ostatnie dźwięki są ledwie dosłyszalne w milczeniu zaśnieżonej równiny.



— Pięknie, Iwan Wsiljewicz, — rzekł Lenin. Jesteście wprost artystą — nigdy nie słyszałem czegoś podobnego. Gdzieście się tak nauczyli?

— To u nas rodzinne, — odrzekł strzelec, — Ojciec nój lepiej ode mnie wygrywał na lufach różne różności. Mnie podoba się ta zabawa. Siądę czasami na kępce w lesie, pogram, aż do łez przejmie!

Słońce grzało, trawa wyschła, ziemia była ciepła.

— Ot, dzionek jak się rozhulał, Władimir Iljicz! Co za rozkosz! — powiedział Alabjew. — Cóż, pośpimy?

— Kładźcie się, ja posiedzę, — odrzekł Lenin.

Iwan ułożył się pod krzakiem i momentalnie zachrapał, jak człowiek, który nie spał wiele w nocy.

Władimir Iljicz oparł się plecami o drzewo. Słońce znacznie przesunęło się na zachód, żywe światło napełniło las, ptaki milczały.

Iljiczowi zachciało się wykąpać. Wstał i poszedł brzegiem strumienia, upatrując głębi. Niespodziewanie odkryło się przed nim, jak czara — jezioro. Rozebrał się i skoczył z wysokiego brzegu. Woda była twarda, w smaku słodkawo-przaśna.

Iljicz wypłynął spod wody, nabrał powietrza i znów dał nurka, przepłynął na środek jeziora lekkimi rzutami, jak w młodości pływał na Świjadze. Potem długo siedział na piasku, grzał się na słońcu. Karasie z czarnymi grzbietami podpływały do brzegu, patrzyły błyszczącymi, okrągłymi oczami, leniwo poruszały się na mieliznach, tarły jeden o drugiego złotymi bokami. Szmer wiatru straszył ryby. Zmąciwszy wodę, ukrywały się w głębinach.

Strzelec przebudził się od hałasu głosów, powoli otworzył oczy i odwrócił się na bok. Władimir Iljicz siedział na kępce. Obok niego na pomiętej trawie rozlokowała się dziatwa, z koszykami pełnymi borówek. Trochę dalej, na chróścinie siedziały białobrode dziady — grzybiarze, sąsiedzi Alabjewa: Fiedot Rybnikow i Feoktist Szatrow.

Iljicz gawędził z malcami.

— A ty, wujaszku, też byłeś mały? — pytał pękaty bęben w zielonej koszuli.

— Byłem, byłem, — odpowiedział Iljicz. — Mieszkaliśmy w mieście Symbirsku. Często drażniliśmy gęsi, a gęsi tam wielkie i złe, bardzo złe. Zacznę drażnić, a one — na mnie! Co robić? Kładę się na plecy i bronię się nogami. Tak się ratowałem. A wy myślicie co? Z gąsiorem kiepskie żarty!

Malcy śmieli się — dziecinnie, zaraźliwie śmiał się również opowiadający.

— Skąd ich tu przyniosło? — pomyślał z irytacją Zrobił srogi wyraz twarzy, machnął ręką. Malcy zrozumieli znak, pożegnali się z gościem i odeszli.

Grzybiarze jednak nie mieli zamiaru odejść.

— Tyś, widocznie, nie tutejszy? — zapytał Fiedot Rybnikow, bacznie glądając Iljicza.

— Z Moskwy, — odrzekł Iljicz.

— Jak ona — Moskwa? Ciągle na tym samym miejscu stoi?

Iljicz zaczął opowiadać. Starcy słuchali. Lenin opowiadał o tym, że bolszewicy zamierzają pokryć kraj siecią elektrycznych stacji, dać energię fabrykom, nowym miastom.

Starcy pochwalająco buczeli.

Strzelcowi nie podobały się te gawędy.

Zaczynało się właśnie to, przed czym go przestrzegał przewodniczący powiatowego „ispołkomu“: „Dowiedzą się w mieście — spiorą mi skórę“ — myślał. A cóż ja? Czy kogo zapraszałem? W niedzielę każdy pcha się do lasu — niesposób upilnować!“

Alabjew wstał, przyniósł chróstu, znów rozpalił ognisko, żeby zagrzać czajnik.

Iljicz spytał starców: — A wy, ojcowie, jak żyjecie?

— Jak dotąd, to nie tak, żeby za bardzo dobrze, jednak zdaje się, że życie chłopskie idzie na polepszenie — rzekł Fiedot. — Ja, bracie trzech carów przeżyłem — łyknąłem słodkiego i gorzkiego, ma się rozumieć. Rząd teraz przysposobiony dobrze, stara się dla ludu, chłopi są zadowoleni. Tylko jeszcze dużo zamętu: w sklepie soli nie dostaniesz, nafty nie ma.

Iljicz ożywił się. Głaszcząc dłońmi głowę, wypytywał o szkołę, spółdzielnię, o pracę gminnego sowietu. Starcy odpowiadali szczegółowo, ważąc słowa, przytaczali przykłady.

— Ja tobie, moskiewski myśliwcze, opowiem wydarzenie, — zaczął Feoktist Szatrow. — Lenin Ulianow jednej babie dopomógł.

— Czyżby pomógł? — Iljicz uśmiechnął się, zmrużył oczy.

— Jak Bóg na niebie! Posłuchaj. Jest u nas Afonia Tielegin. Na ogół nic sobie rozsądny. A wypije — babę bezlitośnie tłucze. Łupił on tę swoją Łukierię z 10 lat — cierpiała. A gdy władzę sowiecką ustanowili — Łukieria też coś skapowała i mówi do męża: „Nie śmiej więcej się awanturować, bo poskarżę się Leninu-Ulianowu. I co myślisz? Ustatkował się Afonia.

— Boi się Lenina? — spytał Iljicz.

— Jeden się boi, a inny szanuje, — rzekł Fiedot Rybnikow. — Rozmaici ludzie są na świecie, wszystkim nie dogodzisz. Jednemu mrugnij okiem — wszystko zrobi, a drugiego do raju trzeba pałką zapędzać.

Fieoktist poskarżył się na felczera: na „lisapedzie" rozjeżdża, rybkę po jeziorach łowi, dla przyjęcia chorych godzin mu braknie. I za co takiemu łazikowi płacą pensję?

Iljicz zachmurzył się.

— Do powiatowego sowietu zwracaliście się?

— Patrzcie go, jaki! — uśmiechnął się starzec, — A co, jak jego zabiorą, a drugiego nie dadzą? I co wtedy? W Szakłowie też był nieodpowiedni lekarz — bez samogonu na wizytę nie chodź, chłopi się poskarżyli. Doktora z punktu usunęli, a zamiany nie dają. Brakuje — powiadają — tych doktorów. W tej sprawie sowiecka władza ma jeszcze braki.

— Ręce nie chwytają wszystkiego, — rzekł poważnie Lenin, — To sprawa wielka. Lekarzy, nauczycieli, agronomów rzeczywiście nie wystarcza, przygotować ich w ciągu jednego roku nie można. Na to potrzebny jest czas. Będziemy szykować specjalistów dla wsi z chłopskich dzieci, z robotników.

— To by nie było złe! — zgodził się Szatrow.

Czajnik zakipiał. Strzelec rozpostarł na trawie płaszcz, postawił kobiałkę z jadłem przygotowanym przez Marię Pietrowną. Iljicz zaprosił grzybiarzy na herbatę i zakąskę. Dziady zgodziły się chętnie.

Fiedot niespodziewanie zapytał: — Ty, miły człowieku, w Moskwie nie widujesz się z Ulianowem-Leninem?

— Spotykamy się — odpowiedział Iljicz.

— Może nie uznasz za zbyt trudne odwiezienie dla Lenina w podarunku grzybów? Niby to od starca Fiedota ze wsi Wachonina.

— Mogę doręczyć, — stropił się Iljicz, — tylko to zbyteczne, przecież pogniotą się.

— Nic się nie pogniotą! — stanowczo stwierdził starzec. — Tutejszy grzyb krzepki — do Syberii dowieziesz!

— Weźcie i moje — zaproponował Fieoktist. — Tobie co? Nie na garbie będziesz taszczyć. Maszyna dowiezie. A dla Lenina będzie interesujące, że jacyś starcy o nim wspomnieli. Grzyby co najlepsze. Niech zje na zdrowie.

— Cóż z wami począć? — Iljicz uśmiechnął się i zaczął pakować grzyby do siatki.

Fieoktist wziął strzelca na stronę: Co to za myśliwy, Iwanie? — Taki stary znajomy, — posępnie odpowiedział łowczy. — Pracownik biurowy.

— Łebski człowiek — pochwalił Fieoktist. — Z nim przez cały tydzień gadaj — nie znudzi się słuchać. Wydaje mi się, że gdzieś widziałem jego oblicze, a gdzie — nie przypomnę!

— Przywidziało ci się, — rzekł gniewnie strzelec. Po raz pierwszy w naszych stronach.

Starcy odeszli.

Władimir Iljicz wstał i zaczął przechadzać się po polance. Twarz jego miała wyraz wesoły i ożywiony.

VI.

POD wieczór przepowiednia łowczego sprawdziła się: niebo zaciągnęło się nad lasem, nadlatywał porywisty gorący wiatr, sosny zginały się, szumiały, uderzał grzmot, zaszumiał deszcz.

Ukryli się pod sosną. Ulewa śpiewała w drzewach, z pagórków spływały mętne strumyki, unosiły zgniłe liście, igliwie. Strzelec ćmił fajkę, opowiadał śmieszne wydarzenia na polowaniach.

G.uchawo dźwięczał jego głos w poszumie deszczu. Burza odchodziła na zachód. Umyte ulewnym deszczem drzewa cudownie pachniały, w dole było cicho i wilgotno, miarowo spadały krople z obwisłych gałęzi.

Niebo przejaśniło się, między drzewami prześliznął się słaby promień zachodzącego słońca, na polance mieniły się liliowe dzwonki, białe rumianki. Z głębin lasu niepostrzeżenie wypełzła noc, a światło dzienne jeszcze drgało na mokrych sosnach.

Iljicz pochylił się, zerwał czerwony goździk, powąchał, zaciągnął pasa i rzekł: — Do domu, Iwan Wasiliewicz.

Do wsi szli na przełaj, nie zwracając już uwagi na zrywające się z traw cietrzewie i jarząbki.

Strzelec włożył do pudła samochodu grzyby i dziczyznę.

Maria Pietrowna wyniosła butlę mleka i gorące pączki: — Weźcie ze sobą, gościu nasz drogi! Droga daleka, zechce się jeść.

Iljicz podziękował staruszce, wysypał z torby pozostałe naboje i rzekł do Alabjewa: — Zabierajcie, Iwan Wasiliewicz, przydadzą się: strzelby nasze jednakowego kalibru.

Naboi było dużo, strzelec ucieszył się, lecz zamachał rękami: — Co wy, co wy, Towarzyszu Lenin! Ja obejdę się, a Wam zapewne brak czasu na zrobienie naboi!

— Bierzcie, proszę. Znajdę czas.

Iwan jeszcze w lesie postanowił sobie, że nie weźmie od Lenina pieniędzy za swe usługi. Od takiego człowieka brać zapłatę! Przecież to wielkie szczęście, przecież nie każdemu się trafi — chodzić razem z Leninem, siedzieć u jednego ogniska, grać dla niego piosenki na lufach, żartować i gawędzić poufale! Starzec lękał się, że będzie niezręcznie odmówić przyjęcia zaproponowanych przez Lenina pieniędzy. I oto Iljicz — jakby zgadując to — znalazł proste i łatwe wyjście. Naboje — podarunek i tu już nie ma o czym mówić.

Iljicz zaprosił Iwana do Moskwy.

— Dziękuję, Towarzyszu Lenin, — rzekł z rozczuleniem strzelec. — Nadarzy się okazja — pojadę was odwiedzić, Moskwę zobaczyć. A wy przyjeżdżajcie na jesieni, na ponowę. Postrzelamy zające i lisy. Mam psa gończego, kostromskiego, każdego zwierza dobrze pędzi.

— Jeżeli będę żyć — przyjadę. — Odrzekł Iljicz.

Kierowca dał gazu — samochód rytmicznie potoczył się wzdłuż ulicy.

Strzelec patrzył za nim wślad.

Podszedł Fiedot Rybnikow i Fieoktist Szatrow.

— Dlaczego on tak krótko był w gościnie, Iwanie? — spytał Szatrow. — Na dalekich jeziorach są kaczki. Zawiózłbyś go tam jutro.

— Nie ma czasu, — odrzekł w roztargnieniu łowczy, — Musi podpisywać dekrety.

Starcy porozumieli się oczyma: — Jakie dekrety?

— Zwyczajne. Przecież to — Lenin - Ulianow.

— Lenin? — wykrzyknął Fiedot Rybnikow, — Ty nie łżesz, Iwan?...



— On, on! — radośnie potakiwał Szatrow. — Ja jeszcze w lesie domyślałem się, że ten myśliwy podobny jest do kogoś, ale nie mogłem sobie przypomnieć: do kogo? Teraz przypomniałem: widziałem to oblicze na obrazkach. Ten sam!

— Jak widać, ty, Iwanie, oszukałeś nas? — Z goryczą rzekł Fiedot. — Ja też pmyślałem: To nie prosty człowiek, wszystko w nim osobliwe.

Z zaułka wybiegł Nikita Pankow z dwoma kaczkami w ręku.

— Gdzie jest, Iwanie, moskiewski myśliwy?

— Przed chwilą odjechał do domu, — odpowiedział strzelec, uśmiechając się urągliwie. — Czekał na ciebie — nie doczekał się. Nakazał ci się kłaniać: „Zręcznie, powiada, wasz Nikita cudze kaczki podbiera!“

— Bieda! — jęknął zmartwiony Pankow. — Żebym ja wiedział, kto z tobą siedzi w łodzi, czyżbym ja....

— Fiedot Rybnikow i Fieoktist Szatrow śmieli się głośno.

Oni również, jak i Alabjew nie lubili Nikity za zazdrosny, zły charakter i byli radzi, że Pankowowi przydarzyło się na polowaniu takie uchybienie.

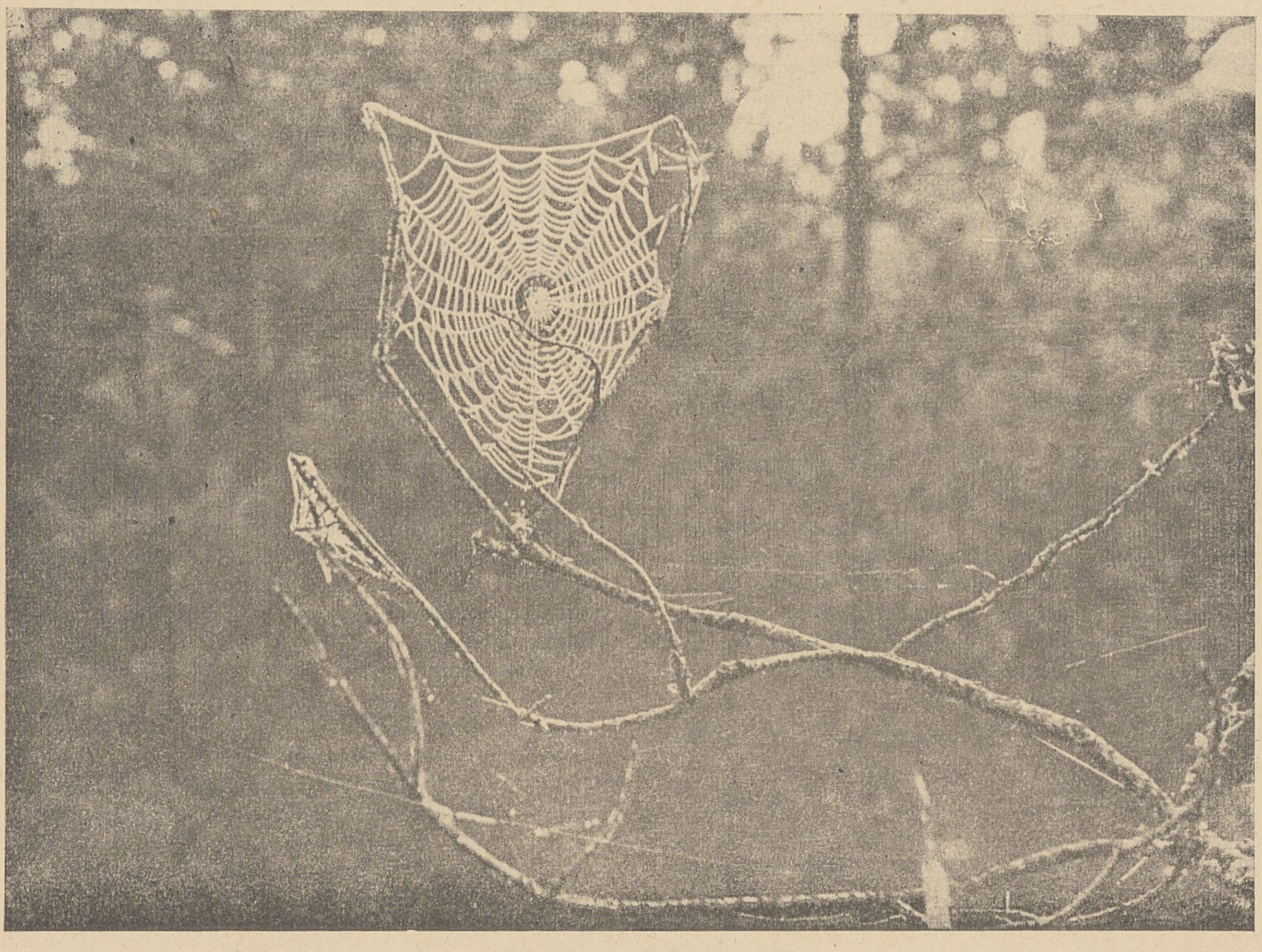
— Na przyszłość nauczka: nie bądź chciwcem! — pouczająco rzekł strzelec.— Skąd się wywiedziałeś, że to był Lenin-Ulianow?

— Twoja starucha szepnęła mojej babie. Wróciłem z polowania i gdy się o tym dowiedziałem — serce mi zamarło.

Grzybiarze śmieli się dalej. Alabjew pogroził Marii Pietrownie:

— Co ja nakazywałem?... Rozdzwoniła po całej wsi!

Tłumaczył z rosyjskiego Adam Przecławski.



Jak kute w srebrze... fot. W. Korsak



Locha w błocie fot. A. Wiśniewski

INŻ. STANISŁAW IHNATOWICZ

SZKODY ŁOWIECKIE

POD pojęciem „szkody łowieckie" rozumiemy szkody, wyrządzone przez zwierzynę łowną w uprawach i płonach rolnych oraz w gospodarstwie leśnym, tudzież szkody, czynione podczas polowania.

Z powyższego określenia wynika, że zwierzyna łowna oraz wykonywanie polowania na zwierzynę łowną powoduje szkody w gospodarce rolnej i w gospodarce leśnej człowieka. Zdawałoby się, że pojęcie szkody jest rzeczą prostą i zrozumiałą i że nie mogą i nie powinny w tej sprawie istnieć żadne rozbieżności. Tymczasem tak nie jest. Istnieje spór i to poważny co do szkód powodowanych przez zwierzynę łowną, przede wszystkim pomiędzy myśliwymi i rolnikami. Myśliwi bronią zwierzyny łownej, rolnicy chcieliby, jeżeli nie wszystką, to przynajmniej niektóre gatunki zwierzyny łownej całkowicie wytępić. Powstaje pytanie, jak należy postąpić?

Przede wszystkim, czy istnieje wogóle zwierzyna, która nie powoduje szkód w gospodarce ludzkiej? Oczywiście, na tak proste pytanie odpowiedź nie jest tak prosta, jakby się zdawało. Trzeba odpowiedzieć i tak i nie. W pewnych określonych warunkach szkody powodowane przez zwierzynę istnieją, w innych znowu warunkach szkód tych nie ma. Zależy to z jednej strony od rodzaju gospodarki, jaką prowadzi człowiek, z drugiej strony od ilości i gatunku zwierzyny, która powoduje szkody. Wreszcie wiele zależy również od formy, od postaci, w jakiej szkody, powodowane przez zwierzynę, występują nazewnątrz, jak się to mówi poprostu — biją w oczy. Naprzykład, szczury powodują w gospodarce ludzkiej olbrzymie szkody w zapasach artykułów spożywczych, szkody rok rocznie obliczane na wielomiliardowe sumy. Społeczeństwo ponosi z tego tytułu niepowetowane straty. A jednak o tych szkodach,

powodowanych przez szczury nikt u nas z pośród rolników nie krzyczy, nie robi alarmu, nie podnosi tego na łamach pism codziennych, nie zasypuje Ministerstw setkami listów, nie pisze skarg do Prezydenta, do Marszałka Sejmu. Dlaczego? Dlaczego są potrzebne specjalne nakazy administracyjne, nawoływania itp. aby móc przeprowadzić raz do roku skromną akcję t. zw. odszczurzania. Natomiast, gdy zając ogryzie parę drzewek ogrodowych — t zaraz powstaje niesamowity hałas, alarm na cały kraj, wypisuje się niestworzone rzeczy, a ogrodnicy domagają się wytępienia zająca, jako zwierzęcia, które w/g zdania ogrodników poprostu podcina niemal podstawy istnienia gospodarki narodowej.

Taki sposób reagowania daje się łatwo wyjaśnić — oto wszystko zależy od zewnętrznej formy, w jakiej t. zw. szkoda spowodowana przez zwierzynę występuje. Gdy szkoda występuje w postaci ukrytej, nie rzuca się w oczy, nie jest z zewnątrz łatwo i bezpośrednio dostrzegalna — wtedy nie ma o tę szkodę ani hałasu, ani krzyku, ani alarmów, ani pisaniny na łamach gazet i czasopism.

Przy szkodach łatwo widocznych każdemu, chociażby te szkody były bez większego znaczenia — zaraz powstaje wielki harmider, wielki krzyk. Oczywiście i w jednym i w drugim przypadku postępowanie zainteresowanych nie jest słuszne, albowiem nie jest oparte na głębszym zrozumieniu samego zjawiska szkód, ani tym bardziej nie jest oparte na poważnej, wszechstronnej analizie przyczyn i okoliczności, w jakich szkody powstają, kto i co i w jakich warunkach szkody powoduje. Oto poprostu idzie się po linii najmniejszego oporu, a że żyje się w czasach demokratycznych, wolności słowa i wypowiadania się — przeto robi się dużo krzyku i hałasu, bo to przecież nic nikomu nie szkodzi, a może coś pomoże. Takie postępowanie z reguły utrudnia a czasami przez dłuższy okres wręcz uniemożliwia należyte załatwienie poważnej sprawy.

Trzeba powiedzieć, że w zasadzie nie ma zwierzyny łownej, która by nie powodowała szkód w gospodarce ludzkiej, jak również nie ma zwierzyny łownej czworonożnej, któraby nie przynosiła tej gospodarce korzyści. A rzeczą gospodarującego człowieka jest takie postępowanie, które będzie w danym całokształcie warunków słuszne.

W historycznym rozwoju społeczeństwa ludzkiego wszystko ustępuje przed działalnością człowieka. Historia nas uczy, że żywiołowa walka człowieka o byt, gdy nie poznał on jeszcze, nie zbadał, nie zrozumiał praw przyrody — ta walka o byt doprowadziła do zniszczenia przede wszystkim lasów i zwierzyny, powodując zakłócenie równowagi życiowej w naturze, co odbiło się katastrofalnie w późniejszych okresach na gospodarce człowieka. W epoce panowania feudalizmu i kapitalizmu pogoń za zyskiem doprowadziła do takich zniszczeń lasów, że powstały żywiołowe katastrofy klęsk powodzi, niszczącej zarówno wszelkie uprawy, jak zabudowania, drogi i samych ludzi, np. katastrofy powodzi wskutek wylewów Missisipi i Missuri w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, żywiołowe klęski powodzi u nas i w szeregu innych krajów. Wyniszczenie zaś zwierzyny łownej np. dzika w Europie, wybitnie sprzyjało i sprzyja katastrofalnemu rozmnażaniu się wielu szkodników leśnych, np. barczatki, osnui, chrabąszcza, sówki chojnówki, paprocha cetyniaka i innych, które powodują masowe niszczenie drzewostanów na powierzchni dziesiątków tysięcy hektarów.

Z powyższych rozważań dochodzimy do wniosków, że dopiero na podstawie historycznych doświadczeń można wysunąć pewne twierdzenia, które należy przyjąć za słuszne. Słusznym jest uznanie wilka za bezwzględnego szkodnika w gospodarce ludzkiej, to też skazany on jest na bezwzględne wytępienie, jest prawie całkowicie wytępiony, pozostałe zaś resztki w naszym kraju muszą być jak najprędzej wytępione. Kuna-kamionka (domowa), tchórz i dziki królik — również podlegają wytępieniu, jako bezwzględne szkodniki. Z ptaków jastrzębie gołębiarze, krogulec i sroki — to szkodniki bezwzględne, tępimy je. Wrony również.

Z pozostałych zwierząt łownych — poszczególne gatunki powodują większe lub mniejsze szkody, ale również przynoszą poważne korzyści, to też stosujemy odpowiednie postępowanie, mające na celu nie wytępienie danego gatunku zwierzyny, lecz takie racjonalne postępowanie, aby szkody powodowane przez nie były równoważone.

Do gatunków powodujących poważne szkody w gospodarce rolnej zaliczamy: dzika, jelenia i daniela. Oczywiście, niema mowy o tym, aby te gatunki wytępić, ale też nie może być mowy o tym, aby obojętnie przechodzić obok szkód przez nie powodowanych w gospodarce ludzkiej. Prawo obowiązujące przewiduje i słusznie, że za szkody powodowane przez te gatunki w uprawach rolnych, muszą być płacone odszkodowania. Na tle ustalania szkód, szacowania szkód a potym dokonywania wypłaty samego odszkodowania, dochodzi do stałych nieporozumień i zatargów, skarg i oskarżeń. Sprawa jest bolesna i drażliwa. Szczególnie szkody, powodowane przez dziki, urosły do całego problemu, który drażni, rozjątrza, denerwuje. Można powiedzieć, że na tym tle powstała jakby choroba histerii dzikiej. Niejednokrotnie na tym odcinku dzieją się rzeczy niewłaściwe, niedopuszczalne, zarówno ze strony tych, którzy w myśl prawa obowiązującego muszą płacić odszkodowania, jak i ze strony tych, którzy domagają się odszkodowania. To też trzeba z tym walczyć, trzeba uświadamiać, trzeba kontrolować, aby prawu i słuszności stało się zadość, a usterki, niewłaściwości i wprost nadużycia były ścigane, tępione i wykorzenione. Jest tu szerokie pole do popisu i dla rolników i dla myśliwych. Jest tu również pole do popisu i wykazania się właściwym postępowaniem administracji lasów państwowych.

Ale to nie wyczerpuje sprawy. Jeżeli obecnie dziki powodują w niektórych okolicach bardzo poważne szkody w rolnictwie, to przyczyna leży nie w tym, że dzików jest w ogóle nadmierna ilość. Tak w istocie rzeczy nie jest. Przyczyna leży głównie w tym, że dotychczas nie prowadzono u nas żadnej planowej gospodarki łowieckiej. Dotychczas mówi się wiele, pisze się dużo o gospodarce łowieckiej, o hodowli i ochronie zwierzyny łownej, ale prawie nic się nie robi i nie zrobiło, zwłaszcza gdy chodzi o dzika, jelenia i daniela. Poza ochroną z mocy prawa (czasy ochronne

ustawowe) i niedostatecznym zwalczaniem kłusownictwa — hodowla w zakresie dzika, jelenia i daniela nie jest wcale prowadzona. Polowanie na tę zwierzynę, odstrzał tej zwierzyny, chwalenie się zdobytymi trofeami, jak wieńce jelenia, łopaty daniela, fajki i szable dzicze, rozpisywanie się o przeżytych emocjach z polowań na tę zwierzynę — to nie jest hodowla. To jest tylko przyjemność i powiedzmy dochód dla tych, którym powiodło się ubić tę zwierzynę, a zazdrość i zgryzota tych, którym się nie udało, którzy ponieśli koszta, ale spudłowali lub nie spotkali się ze zwierzyną. Nie ma zaś dotychczas stałej, systematycznej, ciągłej planowej gospodarki hodowlanej. Niema istotnych starań o podkarmianie tej zwierzyny, wysiłków realnych o zatrzymanie jej w terenach leśnych, w stałych miejscach pobytu, w ostojach, przy pomocy środków hodowlanych, co jak doświadczenie uczy, sprowadza do minimum szkody, czynione przez tę zwierzynę w uprawach rolnych.

Bezplanowa, histeryczna naganka na dziki, zawsze i na każdym miejscu, jakby pod hasłem, „Hejże na Soplicę" — doprowadziła do tego, że dziki zostały rozpędzone po terenie całego kraju. Dzisiaj dziki występują w takich okolicach, gdzie ich od dziesiątków lat nie było, gdzie one w ogóle nigdy nie występowały. A trzeba z całą siłą przekonania, opartą na faktach, podkreślić, że pojawienie się dzików w tych okolicach nie jest wynikiem ich nadmiernego rozmnażania się, lecz jedynie skutkiem dzikiego, bezplanowego uganiania się za dzikami. Dzik, obdarzony niesłychanie czułym (ostrym) węchem, wielką odpornością i ruchliwością, bezmyślnie stale płoszony w dotychczasowych swych ostojach — rozbiegł się po całym terenie kraju, ratując się przed zagładą, w poszukiwaniu nowych, spokojnych miejsc do bytowania.

Ze względu na wielką pożyteczność dzika w gospodarce leśnej, na wielką jego wartość gospodarczą, ze względu na wysoce cenną szczecinę, skórę i mięso, na bardzo znaczny dochód płynący zarówno z eksportu dzika, jak i ze spożycia wewnątrz kraju — nie można dzika skazywać na zagładę i wytępienie. Dzik, jako zwierzę łowne, jako jeden z koniecznych i niezbędnych czynników równowagi w gospodarce przyrody — musi być zachowany w naszych lasach w stanie naturalnym, jako zwierzyna łowna. Racjonalna gospodarka hodowlana dzika ograniczy szkody przezeń wyrządzane, aczkolwiek z pewnymi szkodami w gospodarce rolnej, powodowanymi nie tylko przez dzika, ale i przez jelenia i daniela, zawsze musimy się liczyć. Nowe prawo łowieckie, które wejdzie w życie jeszcze w bieżącym roku, nakłada ustawowy obowiązek na organizacje łowieckie prowadzenia planowej gospodarki łowieckiej, nie tylko ochrony, ale i hodowli. Będzie to poważny krok do uregulowania sprawy dziczej. Również przewidziany przez to prawo obowiązek ubezpieczania od szkód, powodowanych przez zwierzynę łowną — dziki, jelenie i daniele — pozwoli na lepsze, słuszniejsze załatwianie spraw odszkodowań za te szkody.

Mając wszystko powyższe na uwadze dochodzimy do zasadniczego wniosku, a to: prawidłowa, a więc planowa, racjonalna gospodarka łowiecka, to znaczy właściwa hodowla i ochrona zwierzyny łownej, właściwy planowy odstrzał tej zwierzyny, stała systematyczna kontrola tej gospodarki — oto skuteczna droga postępowania, która jedynie może zapewnić należyte wyniki gospodarce narodowej, uwzględniające jej wielorakie i wszechstronne potrzeby i zainteresowania.

Nie ma nowego człowieka w nowym postępowym społeczeństwie, który by nie rozumiał, że postęp to nie tylko rozszerzanie naszej wiedzy o świecie, ale że to także nowa postawa w stosunku do całego świata.

Jest to miłość i poszanowanie słabszego. Zwierzę pozostające w mocy człowieka jest zawsze słabsze. Zniesienie krzywdy wyrządzanej słabszemu, a więc zwierzęciu — to obowiązek nowego postępowego człowieka.

Iwan Miczurin „Pogadanki przyrodnicze" t. II str. 143

Współzawodnictwo gwarancją wykonania planu w łowiectwie

UCHWAŁA Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego z dn. 23 kwietnia 1950 r. wezwała wszystkich członków P.Z.Ł. do przystąpienia do współzawodnictwa na odcinku łowiectwa.

Uchwała ta świadczy, iż łowiectwo polskie w trosce o wykonanie zakreślonego planu prac PZŁ włącza swoje wielotysięczne szeregi do ogólnopaństwowego ruchu o realizację planu sześcioletniego i tym samym do budowy socjalistycznej gospodarki w naszym kraju.

Truizmem byłoby dziś dowodzić, że łowiectwo posiada poważne znaczenie gospodarcze w zaopatrzeniu rynku, zwłaszcza gdy do planu gospodarczego została wstawiona pozycja eksportu dziczyzny.

Rabunkowa gospodarka kapitalistyczna w latach przedwojennych dotkliwie wyniszczyła nasz stan posiadania w zakresie przyrody, a szczególnie dała się we znaki na odcinku hodowli zwierzyny łownej; reszty wyniszczenia dokonała gospodarka okupanta. Także po wojnie wielu jeszcze myśliwych uprawiało w pierwszych latach szkodliwą eksploatację, nie troszcząc się zupełnie o hodowlę, co graniczyło nie rzadko z sabotażem na tym odcinku naszego majątku narodowego.

Obecnie projektowana nowa ustawa łowiecka ujmuje gospodarkę łowiecką w ramy gospodarki uspołecznionej, co pozwoli na planowy odstrzał, bez szkody dla pogłowia zwierzostanu.

Plan hodowli odstrzału zwierzyny zakreśla ramy gospodarczej działalności człowieka na odcinku łowiectwa, a do wykonania jego powołany jest każdy myśliwy członek PZŁ. W planowej gospodarce społecznej dobra przyrody są wspólnym dobrem i nie można pozwolić na bezmyślne tępienie zwierzyny bez zabezpieczenia jej należytą hodowlą. Dlatego też kardynalnym warunkiem jest przystąpienie do natychmiastowej hodowli, od której zależeć będzie wykonanie planu.

Wzgląd ten był najważniejszym i decydującym momentem, który spowodował podjęcie uchwały o współzawodnictwie na terenie łowiectwa, gdyż doświadczenia wykazały, że niema wykonania planu bez ruchu współzawodnictwa. Jak wykonanie planu gwarantuje wzrost dobrobytu mas pracujących, tak współzawodnictwo przyspiesza wykonanie planu.

*

GOSPODARKA planowa i ruch współzawodnictwa zrodziły się w Polsce Ludowej na podłożu doniosłych reform społecznych, w których wyniku chłop i robotnik stał się gospodarzem w swoim kraju, bezpośrednio zainteresowanym w jego osiągnięciach. Ruch współzawodnictwa oparty jest o szlachetną rywalizację, o dobrowolne zobowiązania się do wykonania określonych zadań w dziedzinie przysparzania narodowi dóbr gospodarczych.

Dziś już — obok przemysłu — nie tylko poszczególne jednostki, ale całe wsie i majątki współzawodniczą ze sobą w dziedzinie produkcji rolnej i hodowlanej. Ruch współzawodnictwa zrodził tysiące przodowników których cechuje nowy, socjalistyczny stosunek do pracy i majątku narodowego. Współzawodnictwo jest wynikiem poczucia, że praca prowadzi do poprawy zarówno bytu jednostki jak i położenia całego kraju, gdyż masy robotników i chłopów uświadomiły sobie ścisły związek pomiędzy wzrostem produkcji a polepszeniem się warunków materialnych. Stało się to dzięki wielkim reformom społecznym, likwidacji kapitału, obszarnictwa, dzięki radykalnej reformie rolnej, unarodowieniu przemysłu; dzięki oparciu nowego ustroju Polski Ludowej na władzy człowieka pracy. Dzięki właśnie tym reformom dokonały się zasadnicze zmiany w stosunku do dobra społecznego.

W ten sposób współzawodnictwo zwraca zainteresowanie człowieka na sprawy budowy nowego ustroju, stwarza typ człowieka uspołecznionego, nie zamkniętego w kręgu własnych, egoistycznych interesów. Tym samym idea współzawodnictwa jest podstawową i skuteczną metodą budowania socjalizmu, a zarazem motorem postępu i nowych, społecznych form naszej gospodarki.

*

PRZYSTĘPUJĄC do współzawodnictwa Polski Związek Łowiecki, jako organizacja społeczna, opierająca się na szerokim aktywie swoich członków, musi wysunąć konkretne zadania związane z realizacją i przekroczeniem zakreślonego planu przez PZŁ, które są punktami wyjścia dla współzawodnictwa. Ze strony członków zaś, przystąpienie do współzawodnictwa celem podniesienia wydajności łowisk, jest świadomym aktem wzięcia na siebie określonych zobowiązań, dotyczących hodowli zwierzyny, hodowli i układania wartościowego psa myśliwskiego, szkolenia łowieckiego członków, likwidacji kłusownictwa i wnykarstwa, prawidłowego opartego na społecznej etyce łowiectwa, walki z marnotrawstwem zwierzyny, ochrony przyrody, walki z chorobami zwierzyny, przeprowadzania szczepień i odświeżania zwierzostanu itp.

Na obecnym etapie masowy rozwój współzawodnictwa spowodował już powstanie wielu różnorodnych jego form i z form tych winno łowiectwo nasze w pełni korzystać, zwłaszcza że zadania stojące przed Polskim Związkiem Łowieckim nie dadzą rozwiązać się w drodze indywidualnych tylko zobowiązań ze strony bardziej uspołecznionych jednostek. Do zadań w zakresie wykonania planu w łowiectwie muszą przystąpić Wojewódzkie i Powiatowe Rady Łowieckie w oparciu o Kółka Myśliwskie. Jest to wyższa zespołowa forma współzawodnictwa, która wymaga szczegółowych rozpracowań w skali ogólnokrajowej na specjalnie zwołanych w tym celu naradach, dotyczących ruchu współzawodnictwa, uprzednio przedyskutowanych i przygotowanych w terenie i skoordynowanych pod przewodnictwem i kontrolą Komitetu Wykonawczego P.Z.Ł. Obowiązkiem zaś Władz Naczelnych Związku jest wytypowanie zadań do wykonania, określenie terminu, celowe rozdzielenie zobowiązań, opracowanie metody współzawodnictwa, regulaminów, kryteriów oceny, nagród itp., przy jednoczesnym wyjaśnianiu mniej uś-

WALENTY PRZYBYŁA

Wezwanie do współzawodnictwa

w hodowli i układaniu psa przez myśliwego i leśnika

Realizacja zasady planowej gospodarki łowieckiej wymaga należytego postawienia sprawy posiadania i układania psa przez myśliwego i leśnika. Jest to jeden z zasadniczych warunków prawidłowego łowiectwa, gdyż „odpowiednio postawiona hodowla psa myśliwskiego w kraju świadczy o kulturze łowieckiej jego mieszkańców“ — jak słusznie twierdził niedawno jeden z kierowników naszego łowiectwa w Ministerstwie Leśnictwa.

Propagowane obecnie współzawodnictwo w każdej dziedzinie pracy nakazuje, aby i w tym kierunku coś poczyniono, zwłaszcza, że dotychczas stan jest mocno niezadowalający, czego dowodem jest choćby ostatni Ogólnopolski konkurs wyżłów w 1949 r., na który zgłoszono tylko 16 kandydatów, a doprowadzono 12, w tym 7 wyżłów kontynentalnych wszechstronnych i 5 rasy angielskiej. Zapytuję kolegów myśliwych i leśników terenowców, gdzie są nasze wyżły i co one umieją?

A przecież w każdym leśnictwie powinien się znaleźć przynajmniej jeden dobry pies — wyżeł, który nie tylko by pełnił rolę stróża, ale zarazem był obrońcą swego właściciela i pomocnikiem w polowaniu. Szczególnie każda leśniczówka powinna być miejscem hodowli dobrego wyżła, bo najbardziej odpowiednią formą hodowli psa — jest hodowla indywidualna, usuwająca ryzyko milionowych strat, powodowanych epidemiami w hodowlach stadnych, choćby prowadzonych w najbardziej sanitarnych warunkach.

Nie zawsze każdy myśliwy może sobie pozwolić na utrzymanie psa, a szczególnie ten, który mieszka w większym mieście, gdzie jest brak odpowiedniego pomieszczenia dla psów. Ale od myśliwego na wsi i leśnika terenowca, którzy mają idealne warunki ku temu należy stanowczo wymagać, aby każdy z nich posiadał dobrego wyżła. Nie trzeba dowodzić, że myśliwy, który siebie szanuje i swoją zwierzynę w łowisku, ten zawsze będzie miał dobrego psa, natomiast tych myśliwych, dla których jest obcy problem racjonalnego polowania, trzeba nauczyć i wykazać im, jak ważną rolę odgrywa pies na polowaniu.

Przecież kraj nasz jest tak bogaty w rożnorodną florę i różną zwierzynę, że racjonalne polowanie bez dobrego wyżła jest nie do pomyślenia. Szczególnie polowania na „czarnej stopie“, gdzie każdy ślad ginie, gdy zwierzyna jest raniona, ma ważną rolę do spełnienia nasz pomocnik — wyżeł, który jest przez naturę wyposażony w doskonały „wiatr“.

Jako dowód mogę przytoczyć, że mój pies w jednym roku odnalazł 100 zajęcy, 50 kuropatw, 5 lisów, 2 rogacze, 5 dzików, 1 jelenia i 2. sztuk innej zwierzyny o łącznej wartości 120 tysięcy złotych, na powierzchni jednego nadleśnictwa o obszarze 8 tys. ha, co na 1 ha czyni 15 zł. Zważywszy, że mamy w Polsce 7.200.000 ha lasu otrzymamy poważną sumę (gdyby w każdym leśnictwie znajdował się tylko jeden dobry pies) 108 milionów złotych. Tyle zysku przypadłoby gospodarce łowieckiej w lasach.

Gdyby zwiększyć ilość psów do 3 na każde nadleśnictwo, co jest zupełnie możliwe i wskazane, to otrzymamy, z dodaniem polowań na polach, wodach i szuwarach, około pół miliarda złotych zaoszczędzonych rocznie. Sumę tę przy dobrej organizacji da się u nas w Polsce łatwo osiągnąć. Przeciwnie, jeżeli uświadomionym członkom na czym polega sens współzawodnictwa w łowiectwie, do czego ono zmierza i jak do niego należy przystąpić. Inaczej zachodzi obawa, że wielu z myśliwych zrozumie współzawodnictwo wręcz przeciwnie niż należy i będzie uważało za swój obowiązek wytępić jak największe ilości zwierzyny, z czego nie omieszkają skorzystać jednostki aspołeczne. Przed tego rodzaju wypaczeniem ruchu współzawodnictwa władze P.Z.Ł. winny go strzec.

*

NIE sposób omówić w jednym artykule wszystkich form i zadań jakie wykształci w najbliższej przyszłości ruch współzawodnictwa w łowiectwie. Formy, zadania i kierunek ruchu współzawodnictwa postawi przed myśliwymi i Związkiem samo życie. Obecnie należało tylko wskazać na najważniejsze punkty zagadnienia i tym samym przygotować teren do niego. Terenowe władze P.Z.Ł. nie mogą być zaskoczone i nieprzygotowane, tym bardziej że uchwała o współzawodnictwie wypłynęła „od dołu“ i w wypadku nie ujęcia ruchu w ramy organizacyjne, mógłby potoczyć się żywiołowo, bez udziału kierownictwa P.Z.Ł., wyrządzając nierzadko szkody miast pożytku.

Zamieszczone na łamach bieżącego N-ru „Łowca Polskiego“ wezwanie znanego menera W. Przybyły do współzawodnictwa w hodowli i układaniu psa myśliwskiego, wysunięte jako pierwsza odpowiedź na uchwałę Walnego Zgromadzenia jest dowodem, że sprawa współzawodnictwa stała się aktualną i że natychmiast winny Władze P.Z.Ł. i Koła Łowieckie postawić to zagadnienie na porządku dziennym swych prac, by należycie przygotować się do niego.

Jesteśmy pewni, że w ślad za wezwaniem leśniczego Przybyły, pierwszego przodownika pracy łowieckiej P.Z.Ł., posypią się wezwania dalszych przodowników łowiectwa, obejmując szerokim ruchem współzawodnictwa wszystkie gałęzie gospodarki łowieckiej.

Trzydziestotysięczne szeregi Polskiego Związku Łowieckiego posiadają wielu wartościowych myśliwych nowego typu, którzy z entuzjazmem podejmą wezwania i władze P.Z.Ł. winny wystąpić tym budowniczym Polski Ludowej na spotkanie.

M. RUDOLF KRYSPIN

ogół myśliwych i leśników nie doceni ważności prowadzenia dobrego psa, zginie ta suma co rok bezpowrotnie z majątku ogólnego. Nie mówię już o tym, że odszukanie postrzałków daje myśliwemu przede wszystkim moralne zadowolenie, a przysparza ponadto uroku polowaniu.

Pod adresem menerów i hodowców należy zaznaczyć, że wybór rasy psa będzie w przyszłości zależał od jego uzdolnienia w praktyce łowieckiej. Konkursy wykażą nam, która rasa jest najodpowiedniejsza dla naszych terenów o różnorakim zwierzostanie. Teraźniejszy myśliwy potrzebuje psa wszechstronnego i taką rasę należy, moim zdaniem, hodować i propagować. Kto ma zamiłowanie do anglików, niech je hoduje, trzyma i układa, z tym, że będzie dobierał najlepsze sztuki eksterierowo i w pracy, aby naprawdę miał korzyść z nich. I pomiędzy nimi też się znajdują nie najgorsze egzemplarze — ba, nawet wszechstronne, tylko trenerów dla nich brak i tu jest najcięższy problem do rozwiązania.

Jeśli już jest mowa o wyborze rasy psa do polowania, to wypada również podkreślić ważność hodowli psów na dziki. Do tego celu najlepiej się nadają psy zwykłe i nie zaduże. Polowanie z psami „dzikarzami" daje wiele emocji myśliwym — obniża koszty naganki i powiększa rezultat polowania. Wiele łowisk z dzikami ma już swoje „dzikarze" i psy te, które są już zaprawiane w polowaniach należy krzyżować, hodować i rozpowszechniać. Jesienią lub zimą należy również dla tej kategorii pomocników przeprowadzić konkurs i wytypować to, co jest najlepsze. Kto z myśliwych i kolegów leśników posiada jamniki i dobre foksteriery niech również i te rasy pielęgnuje i zaprawia w łowiectwie, gdyż po uporaniu się z najważniejszymi i pilnymi pracami w sprawie wyżłów i na nie przyjdzie kolej egzaminów. Mam nadzieję, że współzawodnictwo, które powstanie przez urządzanie konkursów, powinno usunąć ogólny brak menerów i trenerów. Tu apeluję do leśników i myśliwych, którzy mają idealne warunki ku temu, aby pomogli dźwignąć ten ubogi nasz „psi" stan posiadania dla dobra łowiectwa naszego, aby na każdej leśniczówce i u każdego myśliwego na wsi znalazł się **dobry wyżeł,** obojętne jakiej rasy, byle umiał, co do niego należy.

Mam nadzieję, że Związek Łowiecki i Związek Kynologiczny w Polsce docenią mój apel i przez poparcie moralne i materialne dla biorących udział we współzawodnictwie w hodowli i układaniu wyżła przyczynią się poważnie do usunięcia braków w tej dziedzinie, co szczególnie powiększy grono menerów, których brak tak dotkliwie odczuwamy, a tym samym i brak dobrze ułożonych wyżłów,

Jestem pewien, że przy współzawodnictwie jesienią na konkursach w każdym województwie będzie sporo myśliwych i leśników brało udział, bo myśliwy z natury samej jest czynny i dumny ze swej pracy, o ile widzi poparcie od góry.

Jestem również pewien, że na mój apel zgłosi się spora ilość braci leśnej, która nie tylko lubi pracować, ale również kocha zwierzynę w swych ostojach, ozdobę naszych lasów i kniei.

Leśnicy wiedzą dobrze, że urok, który daje zwierzyna naszym lasom, to ich duma, to ich przyjemność, to ich zamiłowanie. Tym więcej, jeśli chodzi o cel szlachetny, o skrócenie cierpień zadanych zwierzynie przez postrzelenie — co może uczynić tylko dobry wyżeł przez szybkie odszukanie i doprowadzenie myśliwego do chorej sztuki. Podniesiemy przez to naszą kulturę łowiecką i na pewno każdy, kto się czuje na sile do ułożenia i prowadzenia wyżła zgłosi swój udział do współzawodnictwa. **Tym leśnikom, którzy tego nie rozumieją, lub zrozumieć nie chcą, ba, nawet przeszkadzają, radzę odstąpić miejsce ludziom naprawdę sprawie oddanym.**

Prasę pokrewną proszę uprzejmie o powtórzenie mego apelu, aby dotarł on wszędzie, gdzie się tylko znajdują ludzie chętni do pracy i dobrej woli. Obyśmy przez gorliwą pracę zasłużyli sobie na miano prawdziwego Łowca Polskiego.

Komisja Główna Kynologiczna PZŁ, przystępując w bież. sezonie do rozprowadzania wzorem roku ubiegłego **szczeniąt ras myśliwskich** wśród myśliwych — wzywa wszystkich członków Polskiego Związku Łowieckiego do zgłoszenia w Komisji Gł. Kynologicznej (Warszawa, N. Świat 35) zapotrzebowań z podaniem rasy szczeniąt, lub celów do których pies ma być przeznaczony.

Cena szczeniąt po psach rejestrowanych w księgach kynologicznych wynosi 5-8 tys.

Sprawę należy traktować jako pilną.

TADEUSZ ŚLIWIŃSKI

WIEŃCE JELENI

CZĘŚĆ I.

Warunki rozwoju, budowa, zrzucanie i wykształcanie nowych wieńców

GDY zima się kończy, byki odczuwają w głowie swędzenie, powodowane silniejszym napływem krwi i soków; trapi je niepokój dobrze znany grubym bykom, mniej natomiast młodym. Niepokój ten powoduje, że byki odosobniają się, unikają towarzystwa, w którym przebywały i stają się samotnikami, często też zjawiają się one tam, gdzie w ogóle normalnie nie bytują. Byk rozumie, że utrata wieńca czyni go bezbronnym wobec znacznie słabszego, lecz uwieńczonego jeszcze towarzysza i woli trzymać się z daleka, aby czasem ten słabszy nie spróbował powetować porażki doznanej w czasie rykowiska lub przy karmie, tym bardziej, że mocniejsze byki zrzucają wieńce wcześniej, czasem już w lutym, a młode szpiczaki dopiero w kwietniu.

Bezrogiego byka, w okresie gdy chodzi bez wieńca, nazywają gomółą.

Rozwój nowego wieńca zależny jest w znacznej mierze od paszy i wczesnej wiosny, i to tak pod względem ilości odnóg, jak też ogólnej wagi i wymiarów. W okresie zrzucania poroża byki prowadzą życie mało ustabilizowane. Organizm ich potrzebuje specjalnego odżywiania, a szczególnie fosforu i wapna, które, jako najistotniejsze składniki, są niezbędne dla stosunkowo szybko odrastającego wieńca. Tworzące się nowe poroże powoduje widocznie specjalne swędzenie, co absorbuje jelenie; wskutek tego są one mniej ostrożne aniżeli w okresie późniejszym, gdy mają już wykształcone wieńce. Jeleń wychodzi często w tym okresie w ciepłe dni na otwarte polany, żeruje chętnie na oziminach, a zwłaszcza koniczynach, w których znajduje świeżą, zasobną w proteinę i witaminy paszę. Gdy w końcu kwietnia i maja paszy jest dosyć — jelenie zmieniają okrycie, a kształtowanie się wieńca robi znaczne postępy. W czasie powstawania nowego poroża, które jest początkowo nieforemne i ma tępo zakończone odnogi, wieniec pokryty jest specjalnym pokrowcem, zwanym scypułem, który prawdopodobnie odgrywa podwójną rolę: ochrania formujący się wieniec, gdy jeszcze jest miękki, od zniekształceń przy otarciach i uderzeniach o gałęzie, a z drugiej strony izoluje tworzący się wieniec od dostępu powietrza, chroni też przed zakażeniem i inwazją pasożytów, które chętnie korzystałyby z niestwardniałej masy kostnej, jako pożywienia zasobnego w fosfor oraz z odsłoniętych arteryj, przy których pomocy postępuje odbudowa wieńca.

Wieniec stoi w ścisłym związku z potencją płciową rogala: byki dochodzą do szczytu tej potencji wraz z maksymalnym rozwojem wieńca. Gdy wieniec w rozwoju swym zaczyna się cofać, to byk zaczyna zatracać swe siły rozrodcze, a gdy np. z szesnastaka staje się wstecznikiem o wyraźnie zdeformowanym wieńcu, posiadającym po 3 lub 4 odnogi w tyce, lub gdy staje się bezrogim mnichem — jego potencja płciowa zanika i zatraca on znaczenie jako reproduktor. Taki byk może się stać szkodliwym, gdyż przez swe doświadczenie, wagę i sposoby walki potrafi on odpędzać od chmar młode byki i dezorganizować rykowisko.

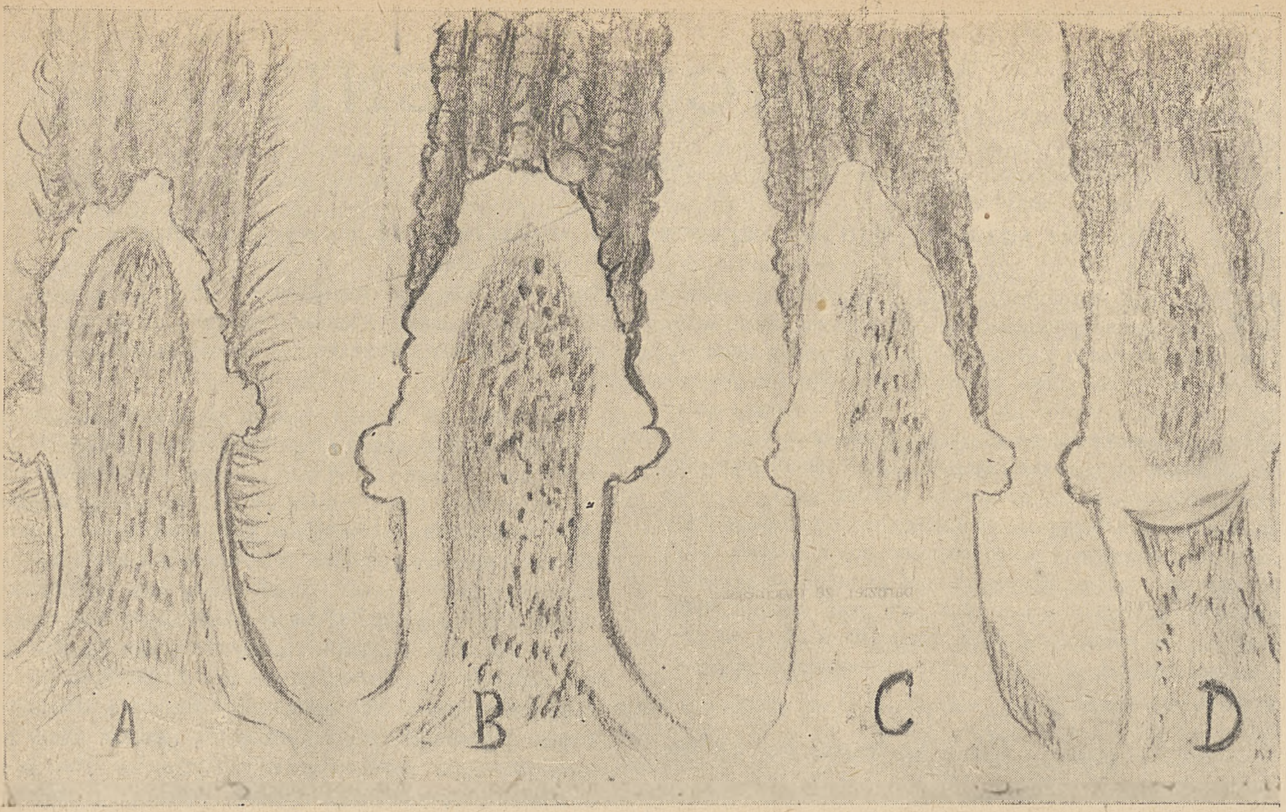
Im jeleń jest starszy, tym w zasadzie silniejszy, do pewnego wieku, nasadza wieniec. Siła ta wyraża się nie tylko w ilości odnóg, ale również i w długości tyk oraz obwodach róży, czasem tworzą się odnogi zbędne, tzw. wilcze. Wraz z wiekiem przybywa też w pierwszych latach i na rozłodze, czyli wzrasta także i rozpiętość pomiędzy tykami. Ilość odnóg nie jest zawsze wykładnikiem wieku. Czasem jeleń młody ma więcej odnóg niż inny, znacznie starszy. Niektóre jelenie już w czwartym roku życia, przy odpowiednich, a intensywnych warunkach odżywiania, stają się dziesiątakami i dwunastakami, natomiast są okolice, gdzie jelenie nawet w piętnastym roku życia, to jest przy ukończeniu optymalnego rozwoju wieńca, są ósmakami. Powodem tego jest, że w składnikach ich pożywienia brak odpowiednich czynników, wpływających na rozkrzewianie się wieńca. Nie jest więc rzeczą obojętną jakie substancje, wraz z paszą czy karmą, dostają się do żołądka płowego zwierza. Im bardziej te substancje odpowiadają naturze jelenia, tym okazalszy i piękniejszy będzie on miał wieniec, tym wcześniej staje się on bardziej rozłożysty, tym więcej przybiera odnóg, większą ma średnicę zarówno tyka, jak i odnogi i róże, tym silniej bywa on uperlony.

Kształtowanie się pierwszego wieńca odbywa się u młodych jelonków pomiędzy dziewiątym a dwunastym miesiącem życia. Wyrastają mu wówczas na czaszce dwa kołki o długości 5 — 25 cm, przy czym od razu zauważyć można pewne rozchylenie się tyk, postępujące ku górze. Według autora R. Dombrowskiego, rozwój wieńca odbywa się w sześciu stopniach:

Pierwszy stopień: W ósmym miesiącu u cielaka nabrzmiewa kość czołowa, tj. zostają utworzone pierwsze podstawy przyszłych tyk, czyli tak zwane pnie (możdżenie). Następnie po kilku tygodniach wyrastają pierwsze szpice, które młody byczek wyciera późną jesienią. Zrzucanie tego poroża odbywa się zazwyczaj później aniżeli u starszych jeleni. — Ubysz twierdzi, że młody byczek, dostający po sześciu miesiącach pierwszy wieniec, choruje.

Drugi stopień nazywa się okresem początkowego rozwidlenia. Czasem u jelenia w drugim roku wyrastają znów tylko szpice, ale wówczas już silniejsze; często młody byk staje się tak zwanym widłakiem, tj. jeleniem o tyce z dodatkową odnogą.

Nazwa widłaka nie odpowiada istocie, gdyż pod „widłami" rozumiemy dwa równomierne końce, wychodzące z jednego pnia. Właściwe widły, jako zakończenie wieńca, mają ósmaki lub bezkoronowe dziesiątaki, lecz nie młode jelenie o tyce z jedną odnogą oczną. Zdarza się też, że byk w drugim roku, przy dobrej pa-



Przekrój możdżenia i spodu tyki w różnych porach roku

szy, staje się szóstakiem, a przy intensywnym sztucznym odżywianiu rozwój wieńca postępuje jeszcze silniej. Jako początkowe rozwidlenie tyk występuje odnoga oczna — wtedy mamy tzw. „widłaka", a jeśli wyrasta i odnoga środkowa — mamy szóstaka. Przy rozwidlaniu tyki staje się już widoczna róża. Odnoga oczna siedzi u widłaka bardzo wysoko nad różą i nigdy nie znajduje się u młodego byka blisko nad nią; odnoga ta zazwyczaj unosi się ku górze. Niektórzy autorzy uważają formę widłaka za nienormalną i radzą odstrzał takich byczków.

Trzeci stopień bywa zazwyczaj w formie szóstaka. Odnoga oczna nachyla się cokolwiek bliżej ku róży. Kąt pomiędzy tyką a odnogą staje się większy niż w drugim stopniu. W miejscu gdzie wyrasta odnoga środkowa zarysowuje się przegięcie tyki, a górna część wieńca ma tendencje do zaginania ku środkowi.

Czwarty stopień cechuje się rozwidleniem górnej części tyki w ten sposób, że tworzy się nowa odnoga. Róża przybiera na sile i w stosunku do tyki bardziej się uwypukla. Pewną oznaką regularnego ósmaka, o ile nie ma nadocznej, jest symetryczne rozwidlenie osi tyki; jeśli takiego rozwidlenia nie można się dopatrzeć, to wieniec nie może być zaliczony pod tym względem rozwoju do normalnych, lecz winien być zaliczony do jeleni wstecznych, względnie selekcyjnych.

Piąty stopień występuje w dwóch odmiennych formach. Przy jednej tyka traci swój osiowy koniec i tworzy się powyżej odnogi ocznej— druga, bardzo do niej podobna, lecz nieco mniejsza — **nadoczna.** Róża powiększa się, a odnoga oczna jeszcze bardziej nachyla się w kierunku róży. Odnoga środkowa wskazuje w tej fazie takie zmiany jak oczna i jeleń staje się dziesiątakiem. Dziesiątak, posiadający koronę, nazywa się „koronnym", nie posiadający zaś korony, lecz posiadający nadoczną — „bezkoronowym".

Szósty stopień bywa w większości łowisk nizinnych ostateczny pod względem rozwoju odnóg wieńca. W tym stadium jeleń może utrzymać się przez szereg lat. Od poprzedniego odróżnia się on jeszcze jedną czwartą odnogą w koronie albo też oprócz korony składającej się z trzech odnóg, posiada odnogę nadoczną. Ogólnie biorąc, wieniec staje się silniejsz y, a tyki i róże zyskują na obwodzie; o ile jeleń utrzymuje się szereg lat w tym stopniu rozwoju, to tyki grubieją, a oczna nachyla się ku dołowi. Odnoga oczna w tym stadium tworzy z tyką bardziej tępy kąt aniżeli w piątym stopniu, a końce odnogi ocznej i środkowej zazwyczaj bardziej unoszą się ku górze. Odnoga nadoczna zbliża się do ocznej, a ta ostatnia schodzi bardo blisko ku róży. Dalszy rozwój wieńca przedstawia się jednolicie.

Na ogół wskutek rozrostu czaszki powstaje rozchylenie w możdżeniach, co wpływa na zwiększenie się rozpiętości między tykami, czyli rozłoga staje się większa. Im większa rozłoga, tym wieniec zyskuje na piękności. Róża z biegiem lat także rozwija się i wykazuje większą ilość pereł, Tyki w miarę wieku stają się silniejsze, bruzdy na nich coraz głębsze, a odnogi z czasem wydłużają się coraz bardziej, tworząc z tyką kąt bardziej tępy. **Na zdjęciach podanych w tekście mamy poglądowo przedstawiony rozwój wieńca od szpiczaka do dziesiątaka bezkoronowego, oraz dziesiątka z koroną szesnastaka.**

Wieńce dochodzą do optimum rozwoju pomiędzy dwunastym a piętnastym rokiem życia byka. Potem w normalnych warunkach bytowania następuje wstrzymanie się rozwoju, a następnie zaczyna się uwsteczanianie, czyli pogarszanie się jakości wieńca; przy bardzo dobrych warunkach ilość odnóg może być bardzo znaczna. W złych warunkach odżywiania objaw cofania się rozwoju wieńca może być przejściowym, tj. bywa w jednym roku, a w następnym jeleń wraca do dalszego polepszenia wieńca. Jeśli jednak cofanie się jest zależne od starości byka (co wiąże się ze starciem zębów), to pogarszanie wieńca potęguje się z roku na rok i robi tym większe postępy, im później stosunkowo się zaczęło i im jeleń staje się słabszy. Ostateczną formą starego jelenia jest bezrogi byk, zwany także mnichem, który odznacza się wielką grzywą i zamiast wieńca ma krótkie guzy. „Mnich" różni się od „gomóły" tym, że chodzi cały rok bez wieńca.

ZRZUCANIE I ODBUDOWA WIEŃCA

WIENIEC w chemicznym swym składzie — jak to widzieliśmy uprzednio z przytoczonych analiz — jest bardzo zbliżony pod względem składników do kości. Składniki organiczne natomiast są inne niż w kości, co uwarunkowane jest wyrastaniem wieńca na zewnątrz organizmu, podczas gdy kości tworzą się wewnątrz. Chemiczny skład wieńca oraz budowa, tak zbliżone do kości, zniewalają do wysunięcia wniosków, że tworzenie się wieńca ma ścisły związek z ogólnym systemem kostnym. Raesfeld zaznacza, że jak w czaszce tak i w pniach masa kostna nie jest systemu chrząstkowego lecz tkankowego. Na rysunku mamy w przekroju widok tyki i możdżenia; pod literą A — przy końcu wiosny, kiedy wieniec jest w scypule; pod literą B — latem, po wytarciu; pod literą C — w czasie rykowiska i pod literą D — zimą, przed zrzuceniem wieńca.



Jeleń karpacki czternastak koronny

Tyki wieńca formują się na specjalnych podstawach, zwanych możdżeniami (pniami), które stanowią jedną całość z kością czołową. Możdżeń ten jest jakby macierzystym organem dla tyk, gdyż daje im oparcie na czaszce, a w okresie rozwoju wieńca żywi tyki. W okresie zrzucania tyk, na powierzchni możdżenia, jak twierdzi Köllicher, zachodzi proces mający na celu zniszczenie spoistości pomiędzy pniem a tyką. Pojawia się rysa demarkacyjna, w której uwidoczniają się rozszerzone kanaliki. Ten sam autor mówi, że na powierzchni — gdzie tyka oddziela się od możdżenia — tworzą się mikroskopijne dołeczki, w których znajdują się specjalne wielojądrowe komórki, którym badacz ten nadaje nazwę „osteklasów", tj. czynników niszczących kości. Komórki te rozpuszczają masę kostną, a wewnętrzne kanały zwiększają swoją pojemność, skutkiem czego tyka jest coraz słabiej scementowana z możdżeniem i spoistość coraz bardziej słabnie. Czy osteklasy przekształcają fosforan wapnia zawarty w masie tyki, czy też niszczą substancję organiczną tyki, tego Köllicher nie wyjaśnia, a jest to proces bardzo ciekawy ze względu na to, że tak substancje organiczne jak i nieorganiczne wieńca są trudno rozpuszczalne i mogą leżeć w ziemi tysiące lat.

W okresie zrzucania poroża następuje pewna widoczna przemiana w miejscu oparcia tyki o możdżeń, jak to widzimy na rysunku pod literą D. Komórki kostne, stykające się z możdżeniowymi guzami, jakby traciły życie od zewnątrz i dookoła róży tworzy się coś w końcu zimy w rodzaju rysy, przez co związek pomiędzy tyką a podstawą róży zostaje osłabiony. Tyka ciężarem własnym lub przez przypadkowe zawadzenie o gałęzie w lesie, odpada, zwykle wpierw jedna, a potem druga tyka.

Odbudowa i dalszy rozwój wieńca zależy od obfitości żeru, zawierającego związki fosforu i wapnia, i im tych składników więcej, tym szybciej następuje. U byków w pełni rozwoju możemy doczekać się szesnastu odnóg i więcej. Przy normalnym odżywianiu byk w czwartym lub piątym roku bywa dziesiątakiem*), przy złych warunkach może w ogóle nie dojść do dziesięciu odnóg lub stanąć na tej ilości; przy silnym, zasobnym w fosfor odżywianiu*), jak np. u Vogta młode byki już w trzecim roku stają się czternastakami, a wieńce w 10 roku życia dochodzą do 14 kg wagi.

Wyrastanie nowego wieńca musi poprzedzić praca przygotowawcza dla zrzucenia poprzedniego wieńca. W górnej części, a przede wszystkim w pniu, następuje, jak w roślinach na wiosnę, specjalna reakcja. Możdżeń odżywa i wypełnia się nowymi sokami. Powstają w nim nowe aktywne komórki, które napełniają się krwią. Lecz soki te nie przekraczają linii demarkacyjnej i nie wchodzą do tyki, ta bowiem wraz z różą obumiera i staje się zbędna. Tyki muszą wreszcie odpaść, straciwszy silniejszy związek z możdżeniem.

Raesfeld opisuje, między innymi, wieniec dziesiątaka zabitego dn. 22 kwietnia przed zrzuceniem wieńca:

---

*) Bądź wyżej (przyp. red.).

*) Makuchami sezamowymi (przyp. red.).



Wieniec z wilczą odnogą

„Obie tyki są jeszcze w całości osadzone, siedzą mocno na czaszce i stawiają opór przy nacisku. Skóra, pokrywająca możdżeń poniżej róży, wydaje się obrzękłą, ma ona wokoło czarniawe zabarwienie, zapewne zaczątków scypułu. Poprzeczny przekrój możdżenia, tyki i czaszki wykazuje następujący stan: wewnętrzna gąbczasta część tyki okazuje się od góry do dołu jasno-szaro-biała i sucha; ku dołowi zabarwienie staje się ciemniejsze, a w części najniższej, na jakie 7 cm powyżej możdżenia, robi się bardziej czerwone. W tych też miejscach substancja staje się wilgotna. Możdżeń i czaszka są na wskoś zabarwione na czerwono i sowicie napełnione krwią i nabrzmiałymi tkankami. Linia demarkacyjna odcina się ostro, a granica między pniem, a mającą być zrzuconą tyką — wygląda na możdżeniu jak zagłębiona czasza (rysunek litera D). W zewnętrznej budowie możdżeń nie wykazuje żadnej zmiany; nie ma zwłaszcza śladów jakiegoś zaczątka tyki".

„Trzeba przyjąć — twierdzi Raesfeld — że rozstrój, poprzedzający zrzucenie tyki, tzw. „olbrzymich komórek" jest w związku z ożyciem pnia (możdżenia). Czy tyka po zrzuceniu jest już aż do linii demarkacyjnej obumarła — wydaje się wątpliwe, lecz sam proces zrzucania jeszcze nie jest nekrotyczny. Na zerwanie spoistości tyki i róży z możdżeniem decydujący wpływ ma wchłanianie dotychczasowych tkanek przez olbrzymie komórki o wielkiej pojemności wewnętrznej i o cienkich ściankach. Komórki olbrzymie tworzą się promieniami z zewnątrz do wewnątrz, tak że gdy zewnętrzny pierścień możdżenia, tj. linia demarkacyjna, jest już widoczna — wewnętrzna część tyki jest jeszcze początkowo silnie z pniem związana".

Zrzucanie wieńców odbywa się niejednolicie. Czy nie jest ono jednakże zależne od wcześniejszej lub późniejszej wiosny i pochłaniania przez płowego zwierza specjalnych hormonów znajdujących się w pączkach i gałązkach odradzających się wiosną drzew i krzaków? Czy hormony te nie biorą udziału w odbudowie wieńca, a zwłaszcza w chemicznym składzie jego części organicznych? Czy nie przyczyniają się one do tworzenia owych „osteklas" Köllichera czy „olbrzymich komórek" Raesfelda! P. Obra przypuszcza, że regularne i obfite dokarmianie zwierzyny płowej ma wpływ na wcześniejsze zrzucanie. Grubsze jelenie zrzucają obie tyki jednocześnie, natomiast słabsze chodzą często w ciągu kilku dni z jedną tyką. Chodzenie z jedną tyką przyczynia się do utraty równowagi w głowie, co denerwuje byki, skłaniając je do tego, by siłą pozbyć się również drugiej tyki. Zrzucane przez jelenie tyki odnajduje się zazwyczaj w zagajnikach. Niektórzy myśliwi (jak Ubysz) twierdzą, że jelenie zakopują swe zrzuty. Jednak wielokrotnie stwierdzono, że w miejscach zrzucania nie było żadnych śladów zagrzebywania zrzutów racicami. Często jeleń, po zrzuceniu, ogryza zrzuty, co można przypisać poszukiwaniu pokarmu fosforowego w okresie odbudowy wieńca. Drobne gryzonie leśne także ogryzają zrzuty.

Płaszczyzna zrzutu, czyli to miejsce tyki pod różą, w którym tyka rozstała się z możdżeniem, ma kształt charakterystyczny, odmienny dla każdego wieńca. Bywa ona nazywana „pieczęcią" jelenia i niektórzy hodowcy twierdzą, że pomiędzy 100 zrzutami nie znajdą się chociażby dwie pary podobne do siebie. Pieczątka ta ma indywidualny rysunek i jest odmienna od pieczątek innych jeleni. Pieczątka odnawia się corocznie w tej samej formie. Stwierdzono to w zwierzyńcach i u jeleni na wolności *.

Odbudowę wieńca jedni autorzy przypisują skórze, otaczającej możdżeń, inni — kości czołowej, której tyka jest jakby przedłużeniem, a bardzo jest do niej zbliżona pod względem składu chemicznego i mikrostruktury. Twierdzenie o odbudowie przy udziale skóry, nie może być uważane za słuszne. Różnica w składzie chemicznym skóry i wieńca jest zbyt wielka, aby twierdzenie tego rodzaju miało jakiekolwiek podstawy. Pośrednikiem między tyką a kością czaszki jest wymieniony pień, zwany możdżeniem, który ma okrągławe zakończenie. U młodych byków jest on dłuższy, u starszych — krótszy lub grubszy. Przy odrastaniu wieńca możdżeń stopniowo zapełnia się tkankami; po ukształtowaniu się i wytarciu wieńca — kostnieje. U młodego byka, który utonął w końcu kwietnia, a miał zaczątki nowego wieńca — znaleziono, że cały pień wypełniony był krwią i tkankami czerwonymi. Górna część skóry, pokrywająca pień, wykazała grubość 6 m/m, podczas gdy dolna zaledwie 3 m/m. Na przekroju pień wykazał zwiększające się stopniowo ku górze poszerzenie.

Nietsche stwierdza, że czynnikiem odtwórczym wieńca nie jest ani skóra, ani scypuł, tylko masa kostna, czyli „okostna możdżenia". I w rzeczywistości nie może być inaczej, jeśli weźmiemy pod uwagę wysiłek, jaki jeleń wykonuje podczas walki z rywalem. Tylko mocne oparcie na czaszce i związek z całym systemem kostnym może stworzyć tak długi i silnie mechanicznie umocowany oręż, jakim jest wieniec byka. Na pniu, jako silnej podstawie, opierają się tyki, co nie miało by miejsca, gdyby wieniec był pochodną skóry.

Wieniec pokryty jest w czasie odbudowy — jak to już zaznaczaliśmy — włochatą skórką scypułu (rys. 4a), pod którą znajduje się masa okostna, a dalej w głąb — masa kostna tyki. Masa kostna tyk składa się z twardej kory i wewnętrznej, gąbczastej przestrzeni.

Po zrzuceniu wieńca — na czaszce pozostają jakby rany, które bardzo prędko się zasklepiają i pokrywają krwistą skorupą. Po kilku dniach rany stopniowo zmniejszają się, zaś wokoło nich występuje okrągłe

*) Obserwacja zrzutów daje możność zidentyfikowania obserwowanego byka (przypisek Redakcji).

obrzmienie w rodzaju pierścienia, a następnie rany zwolna zanikają, wypukłość coraz bardziej uwydatnia się i rozszerza. Rozpoczyna się intensywna praca komórek nad odbudową tyk, przy czym rozwija się najpierw okostna, która w dalszym ciągu wytwarza kość. Krwista skorupka powierzchni zrzutu zaczyna wykazywać przemiany: wytwarza się tkanka odtwórcza, dająca podstawę tykom. Po trzech tygodniach od czasu zrzucenia zarysowuje się już odnoga oczna, a cała wypukłość zostaje pokryta jaśniejszym włosem (fot. nr 8). W dalszym ciągu rozwija się tyka, pokrywając się skórką o białawej sierści, z „myszatym" odcieniem, o grubości 5 mm. W ciągu dalszych dwóch tygodni, czyli w 5 tygodni po zrzuceniu, cały wieniec jest już w głównych zarysach ukształtowany, wszystkie odnogi w swych ostatecznych kierunkach są zaznaczone, a końce stopniowo zaostrzają się. Według Rana uperlenie i tworzenie się bruzd odbywa się przy końcowym



Wieniec dziesiątaka bezkoronowego

formowaniu wieńca pod scypułą, lecz pewien zaczątek uperlenia powstaje wtedy, kiedy kolby są młode. Również i róża nie tworzy się wraz z odbudową nowego wieńca, lecz nieco później. W czasie powstawania nowego poroża są czynne w wieńcu specjalne rurkowate arterie, które doprowadzają z możdżenia do tyki i odnóg materiały dla budowy.

Wieniec ósmaka zabitego 25 czerwca wykazuje według Raesfelda w okresie odbudowy wieńca następujące cechy: „Tyki są w 3/4, licząc od dołu, stwardniałe i tylko w 1/4 górnej części — miękkie. Owłosienie na wieńcu jest koloru szaro-białego; na dole włos jest dłuższy i gęstszy, u góry — krótszy. Owłosienie w dotyku sprawia wrażenie aksamitu, opierak — niezupełnie sformowany. Scypuł zdziera się łatwo, a spod niego ukazuje się śnieżno-biała masa kostna. Połączenia scypułu za pomocą tkanek brak zupełnie. Może powstaje ona z tkanek podskórnych. Stwardniałe części tyk, róży i odnóg, wraz z bruzdami i perłami, są całkowicie wykształcone. Grubość scypułu wynosi 2 mm, długość włosów natomiast — 2 — 3 mm. Scypuł wykazuje nieznaczne żyłki, które potrzebne są w tym okresie dla jego własnego odżywiania. W bruzdach tyki i odnóg, a mianowicie pośród tkanek masy rogowej, znajdują się żyły, które wypełniają bruzdy. Okostna pokrywa całą tykę; w górnych częściach jest ona cieńsza, lecz pokrywa je szczelnie. W dolnej części kość tyki jest twarda, wewnątrz — gąbczasta: w zewnętrznych warstwach — w rodzaju kości słoniowej — biała, pod światło przezroczysta, różowa, łamliwa można ją w tym okresie nożem krajać. Górne 7 cm tyki — miękkie, a w samej górze przedstawiają galaretowatą masę, lecz całość pokryta scypułem; miejsca nieowłosionego nie ma. Poziomy przekrój poniżej górnej odnogi, wykazuje miękkie tkanki; z zewnątrz do wewnątrz widzi się włos, skórę scypułu, okostną i tkanki. Dalszy przekrój, o 5 cm poniżej — wykazuje już wyraźne tkanki kostne i dwa rozwidlenia"

Górna część tyki jest jeszcze jakiś czas miękka przy odrastaniu, podczas gdy spod jest już twardy. Korona, początkowo zwarta, rozgałęzia się dopiero po 2,5 miesiącach, a tyki ciągle jeszcze są pokryte scypułem. W tym okresie jeleń nie jest zbyt ostrożny, gąszczów na ogół unika, obawiając się urazów niestwardniałego jeszcze wieńca. Dopiero po czterech miesiącach następuje całkowite stwardnienie wieńca, przy tym zewnętrzna powierzchnia rogu tworzy bardzo twardą i zbitą kość, wewnątrz natomiast róg jest gąbczasty, mniej ścisły i twardy, a pokrywający tyki scypuł jeszcze żyje, bo krwawi widocznie. Dopiero przy końcu piątego miesiąca, tj. kiedy tyki na całej długości stwardnieją, byki zaczynają wycierać wieniec. Stary scypuł rzadko daje się zauważyć. Niektórzy twierdzą, że jelenie same go zżerają.

Wycieranie scypułu trwa czasem bardzo krótko, nie dłużej niż jedną noc, a czasem natomiast kilka tygodni i wtedy byk chodzi z taśmami zwisającego scypułu. Drzewa, o które jeleń wyciera wieniec, są widoczne z daleka, miejsca wycierania są pozbawione kory. Zwisający wewnątrz wieńca scypuł może tworzyć różne kształty, możliwie więc, że widziana u jelenia w legendach forma krzyża pośród tyk z tego bierze swój początek. Na pierwszego sierpnia wieniec jest zazwyczaj wytarty. Młode jelenie wycierają wcześniej, stare jelenie później.

Wycieranie wieńca to jeden z najbardziej tajemniczych i ciekawych przejawów życiowych byków, który bardzo rzadko daje się zaobserwować na swobodzie. Jeśli się obserwuje wycieranie w zwierzyńcach to można zauważyć przy świeżym rozdarciu scypułu, że pod nim ukazuje się biała tyka. Natomiast, jak wiemy, wieniec w kolorach bywa od żółtego do czarno-brązowego. Czasami też zdarza się, że byk nie wyciera wieńca, lecz go obija. Niektóre jelenie wycierają drzewa bardzo wysoko.



Dwunastak z puszczy Iłżeckiej

Zabarwienie wieńców należy przypisać trzem czynnikom, mianowicie: sokom roślinnym, z którymi tyka w czasie wycierania wieńca o drzewa się styka, wpływowi tlenu powietrza na substancje organiczne, wchodzące w skład wieńca, wreszcie na zabarwienie wpływają też resztki krwi i organicznych składników z okresu odbudowy wieńca. Jak wiemy, świeże soki drzew są na ogół przezroczyste i ciemnieją dopiero stopniowo przy zetknięciu się z tlenem powietrza, co widzimy na świeżo i dawniej naciętych drzewach. Na powierzchni tyk to zetknięcie się soku drzewnego z masą poroża jest bardzo znaczne, biorąc pod uwagę bruzdy i uperlenie wieńca. W zależności od wieku i gatunku drzewa powstają te lub inne odcienie barwy brązowej, sepia lub żółtej. Po wytarciu scypułu powierzchnia tyk nie jest jeszcze zupełnie skostniała, przeciwnie, stanowi ona masę szorstką, zdolną do napawania się, czyli asymilowania soków z drzew. Końcowe wycieranie wieńca ma na celu ostateczne oszlifowanie jego końców. Według koloru wytartego drzewa można wnioskować jak dawno jeleń wycierał.

WYKSZTAŁCENIE WIEŃCA

TYKI wieńca ostatecznie wykształconego i wytartego przedstawiają w przekroju trzy warstwy: pierwsza — to zewnętrzna, uformowana z pereł, za którą idzie ścisła i bardzo twarda, właściwa masa kostna. Wenątrz zaś tyki znajduje się masa porowata, gąbczasta, o ciężarze właściwym, mniejszym i strukturze zupełnie odmiennej. W wieńcach po wytarciu rogów, jak twierdzi prof. Schechtel (Kalendarz leśny z 1938 r. str. 209) „zachodzą jeszcze pewne zmiany w budowie tkanki kostnej rogu i to w taki sposób, że zbita tkanka kostna przybiera na grubości, zwłaszcza u podstawy pnia rogu, wykazując największy zasięg przed rykowiskiem. Wtedy postawa rogu składa się prawie z samej tkanki zbitej".

Najciemniejsze wieńce powstają przy wycieraniu o olszynę, dającej, jak wiadomo, przy polerowaniu sztuczny heban, najjaśniejsze — o dębinę i brzezinę. Szare wieńce u jeleni starszych, poczynając od dziesiątaków, należy uważać za nienormalne. Wpływ na taki kolor wieńca może mieć nadmiar substancyj nieorganicznych w stosunku do kleistych substancyj organicznych, cementujących wieniec.

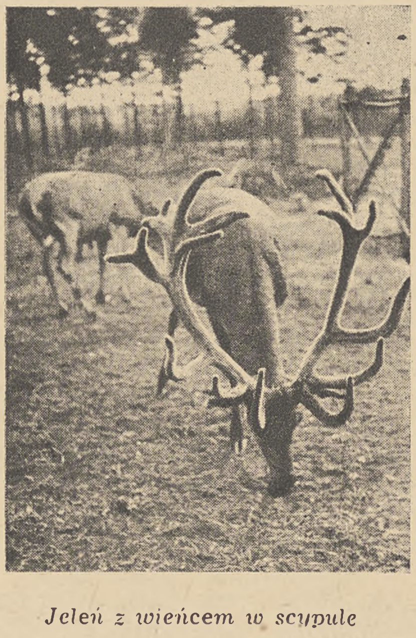
Po zupełnym stwardnieniu nowego wieńca jeleniowi wycieka z łzawicy lepka ciecz, która przestaje wydzielać się po zrzuceniu wieńca i podczas jego odbudowy.

Zmiana wieńca ma miejsce u jeleni co roku. Towarzyszy tym zmianom przy zrzucaniu i odrastaniu również szereg przemian i przekształceń czaszki i możdżenia. Ten ostatni staje się co rok krótszy i grubszy; u bardzo starych byków możdżeń jest tak krótki, że tyka zdaje się siedzi wprost na czaszce. Wraz z odpadaniem tyk, górna część możdżenia jak gdyby się odłupywała. Wraz z wiekiem zwiększa się także rozpiętość pomiędzy dwoma pniami. Wysokość możdżenia wynosi u szpicaków 4 — 5 cm, a średnica — 1,8 do 3 1/2 cm; u grubych jeleni długość — 1,5 do 3,0 cm, a średnica — 4,9 — 6,5 cm. Wieniec natomiast w przeciwieństwie do możdżenia, staje się wraz z wiekiem do pewnego okresu wyższy; jednocześnie i tyki stają się silniejsze i ulegają przekształcaniu i wzbogacaniu się w nowe odnogi w koronach, a nawet przyrostowi w dolnych odnogach (nadoczna). Powierzchnia tyk wykazuje z roku na rok większą ilość bruzd i pereł. Końce stają się bardziej zaostrzone i twardsze oraz bielsze, a róża większa i wyrazistsza. W związku z długością i objętością tyk rozwija się również i róża; zyskuje ona na obwodzie, a ilość pereł na niej zwiększa się. Odnoga oczna i opierak powiększają się z wiekiem tak samo i zyskują większe rozmiary. Kąt pomiędzy tykami a odnogami staje się wraz z wiekiem coraz bardziej tępy, zaś końce odnóg wyginają się bardziej ku górze. Korony jeleni zyskują z roku na rok na odnogach wówczas, kiedy warunki bytowania są pomyślne; korona wtedy może dojść do 6 — 7 i więcej odnóg. Te warunki bytowania mają najistotniejszy wpływ na rozwój całego wieńca. Bywa, że szóstak przekształca się od razu w dziesiątaka. Zdarza się jednak, że czternastak staje się w złych warunkach bytowania w następnym roku szpiczakiem, wyróżniającym się jednak niezwykłą wysokością poroża i wielkością róży (szydlarz).

Zachodzi pytanie dlaczego byki co roku tracą wieńce? — Wieniec byka jest wyrazem potencji płciowej, podlega też zarazem silnie warunkom, jakie powoduje więcej lub mniej intensywne i właściwe odżywianie. Wieniec przybiera na sile i wadze aż do rykowiska, podczas którego spełnia on swe istotne zadanie: byk walczy za jego pomocą jako orężem.

Silniejszy oręż pozwala mocniejszemu bykowi zwyciężać. Wieniec może wtedy być skuteczną bronią i wytrzymywać tak silne uderzenia i przepierania się walczących byków; jeśli wieniec jest nieczuły, to związek nerwowy między wieńcem a resztą systemu kostnego został przerwany.

Darwin w swym dziele o powstawaniu gatunków podkreśla znaczenie doboru płciowego i to znaczenie, jakie posiada specjalnie oręż u samców: „Ten rodzaj doboru" — pisze ten znakomity badacz — „zależy nie od walki z innymi zwierzętami lub z zewnętrznymi warunkami, lecz od walki pomiędzy osobnikami jednej płci, głównie samcami o posiadanie drugiej płci. Rezultatem walki bywa przeważnie nie śmierć, ale



Jeleń z wieńcem w scypule

mniejsza ilość lub zupełny brak potomstwa u pokonanego przeciwnika. Dobór płciowy jest więc mniej surowy od naturalnego. W ogólności najwięcej potomstwa zostawiają najsilniejsi samcy, najlepiej przystosowani do miejsca zajmowanego w gospodarstwie przyrody. W wielu wypadkach zwycięstwo zależy nie tyle od ogólnej siły osobnika, ile od posiadania specjalnych organów, służących za broń samcom... Walka ta bywa najgwałtowniejsza pomiędzy samcami, żyjącymi w wielożeństwie, one też najczęściej są zaopatrzone w specjalne organy do walki. Sądzę przeto, że jeżeli samce i samice jakiegokolwiek zwierzęcia prowadzą podobny sposób życia, ale różnią się w budowie barwą lub ozdobami, to różnice te mogły powstać głównie pod wpływem płciowego doboru; to znaczy, że niektóre osobniki samcze posiadały w ciągu pokoleń pewną drobną przewagę nad innymi samcami w swych środkach walki lub obrony, luż też w swych powabach, i że przenosiły ją dziedzicznie jedynie na samców".

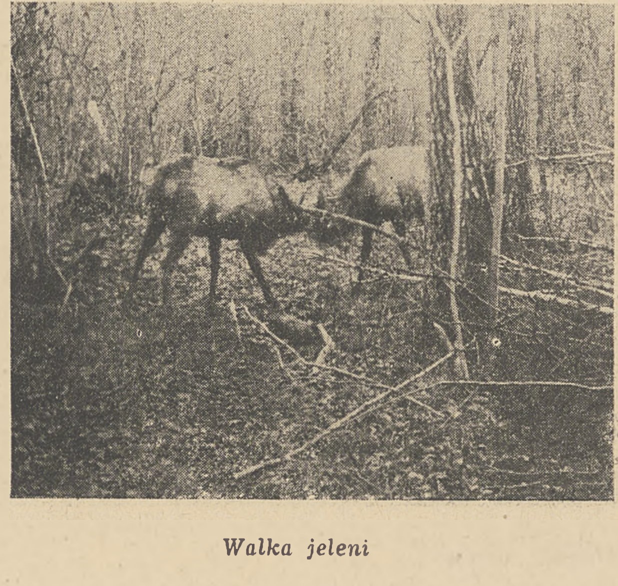


Przyszłościowy ósmak

Czy nie było by poniekąd rzeczą słuszną patrzeć na wieniec jelenia jako twór zbliżony do rośliny, zwłaszcza kłączowej? Zewnętrzne podobieństwo jest uderzające, ale oprócz tego powstanie wieńca, należy przypuszczać, jest związane ze specjalnymi hormonami wzrostowymi auksinami, które znajdują się w drobnych gałązkach drzew i krzewów na wiosnę, a które przy kształtowaniu wieńca szukają ujścia dla swej specyficznej energii. Możdżeń, podobnie jak bulwy dla niektórych roślin, jest jakby korzeniem dostarczającym wieńcowi soków odżywczych i materiałów budowlanych, przyciąganych drogą niezbadanego bliżej powinowactwa, a potrzebnych dla ukształtowania wieńca. Gdy zbliża się zima, a minęło już rykowisko, na którego okres wieniec, jako oręż, był predysponowany, wieniec obumiera, podobnie jak obumierają zewnętrzne części rośliny kłączowej na zimę, pozostawiając jednak w ziemi bulwy, które z wiosną zaczynają na nowo się odradzać, tworząc nową roślinę. Związki nerwowe wcześniej, jesienią, zostały przerwane w wieńcu, to jest pomiędzy możdżeniem a tyką, a arterie odżywiające wieniec, po wykształceniu tegoż, podległy atrofii. Z nastaniem zimy potencja płciowa rogali zanika. Wieniec na długi okres czasu staje się zbędny. Treść pożywienia ma inne przeznaczenie,ześrodkowuje się w obronie przed zimnem dla podtrzymania niezbędnego ciepła w organizmie; wieniec, gdyby potrzebował w tym czasie odżywki, byłby niepotrzebnym balastem, odbierającym środki, konieczne dla samoobrony zwierzęcia przed mrozami i wichrami.

Gdy nadciąga wiosna, jeleń dobiera się do młodych pędów krzewów i drzew, odżywcze hormony napełniają wraz z krwią czaszkę i możdżeń. Zaczynają one przede wszystkim przyczyniać się do destrukcyjnego działania, mającego na celu rozerwanie spoistości pomiędzy zeszłorocznymi tykami wieńca a możdżeniem. Rozkładają one substancje wiążącą możdżeń z tyką, na skutek czego tworzy się demarkacyjna rysa, odcinająca miejsca żywo, dokąd dochodzi krew, od martwej już tyki.

Dlaczegóż jednak wieniec nie pozostaje z roku na rok, jaki jest cel corocznej zmiany? Na to trzeba szukać odpowiedzi w warunkach rozwoju wieńca. Jego progresywny coroczny przyrost, a następnie w starości stopniowy zanik, wskazuje, że wieniec rozwija się wraz ze spotęgowaniem się potencji płciowej, wykształca się on przez jakiś czas, o ile ma odpowiednią paszę, coraz lepiej, następnie utrzymuje się na pewnym, mniej lub więcej stałym poziomie, wreszcie zanika. Jeleń młody do pięciu lat życia, jak również jelenie bardzo stare, mają bardzo słabe wieńce. Silny wieniec ukazuje byk w fazie najważniejszej potencji płciowej i wtedy ten oręż jest widomym znakiem zdolności rozrodczej, która trwać może około dziesięciu lat, po czym wieniec zaczyna się w swym rozwoju cofać, tak pod względem ilości odnóg, jak i wymiarów. Ta zmienność siły rozrodczej jest w związku z możnością utrzymania przy sobie drogą walki pewnej ilości łań w czasie rykowiska, a to może mieć miejsce przy posiadaniu należytego oręża. Dlatego właśnie wieniec przybiera, początkowo wraz z wiekiem, na sile, potem kiedy jeleń jest już reproduktorem, ustala się na pewnym poziomie, a wreszcie stopniowo zanika. Przyroda zmienia jeleniowi wieniec, gdyż siła tegoż jest uwarunkowana wartością potencji płciowej. Stary jeleń, posiadający słaby, uwsteczniony wieniec, nie może być reproduktorem, również nie może być młody widłak lub szóstak, bo jednego i drugiego odbije od łań byk w sile wieku, oczywiście, o ile taki jest w łowisku. O takiego reproduktora powinni dbać myśliwi, bo jeśli go nie ma,



Walka jeleni

to nie należy spodziewać się silnego przychówku, wśród którego byki będą mieć wieloodnogowy wieniec. Należy w zabiegach dążyć o dobre, przyszłe pokolenie, w myśl tych wskazań, jakie daje przyroda i odstrzeliwać byki o źle rozwijającym się wieńcu oraz cofnięte w rozwoju, a zachowywać przynajmniej jednego tęgiego reproduktora o normalnym wieńcu. Jeśli ten reproduktor przestaje zdobywać sobie chmarę, a zaczyna chodzić z jedną, zazwyczaj starą łanią, jest to oznaka, że byk przestaje być głównym reproduktorem, i że przy najbliższej zmianie wieńca może nastąpić cofanie, to jest początkowe zmniejszanie się ilości odnóg, a następnie zanikanie tyk oraz osłabianie całego wieńca.

Jeśli więc byk taki jest czternastakiem — szesnastakiem lub wyżejodnogowym, a w łowisku są mocne dziesiątaki i dwunastaki, jest to czas, aby takiego szesnastaka odstrzelić, gdyż w następnym roku, przy gorszych warunkach odżywiania, wieniec tego szesnastaka może stracić od razu kilka odnóg, tj. zbyt dużo stracić na swej wartości.

Po rykowisku wieniec jeleniowi przestaje być potrzebny dla głównej jego czynności, tj. dla walki o łanie. W bardzo rzadkich wypadkach walczyć on nim może z drapieżnikami. Zrzucenie jednak wieńca w lutym i marcu, kiedy drapieżniki, zwłaszcza wilki i wychodzące z gawry zgłodniałe niedźwiedzie atakują zazwyczaj jelenie — wskazuje, że nie dla samoobrony przed drapieżnikami wieniec jeleniowi jest dany, lecz dla funkcji związanych z podtrzymaniem gatunku. Jelenie „wapiti" w Ameryce, które walczą z drapieżnikami, dostają rogi w sierpniu, a zrzucają w kwietniu. Gdy więc okres rykowiska się kończy, wieniec jakby zamiera, a organizm płowego zwierza ma w nadchodzącej zimowej porze roku inne zadania. Strata na wadze, dochodząca podczas rykowiska u byka do 50 — 60 kg, jest też jakby kryzysem dla wieńca, przyczynia się do ostatecznego zamarcia życia w wieńcu i w związku z tym, do utraty zespolenia z ogólnym całokształtem organizmu.

Pra-pra-jelenie, po zniknięciu lodowców, zapewne bytowały w pierwotnych stepach, nie miały wieńców, lecz biły się łbami i uderzały kością czołową. Przez dłuższe okresy czasu, przez tysiąclecia, kość ta stopniowo grubiała i na niej zaczęły się tworzyć najpierw guzy, potem wyrostki, które z czasem przekształciły się w coraz mocniejsze wieńce. Kiedy jelenie przekoczowały do lasów, rozwojowi wieńców sprzyjał żer, składający się wiosną w lasach z gałązek i pąków drzew oraz krzewów, które w swym składzie zawierały hormony, mające tendencję do rozkrzewiania się.

Przyroda przeznaczyła jeleniowi specjalną rolę, tj. ogryzanie nadmiernie rozwijającego się podszytu, aby dopuścić promienie słoneczne do niższych pięter lasu dla rozwoju runa, a więc jagód i innych nisko rosnących krzewów.



Tokujące mewy. fot. W. Puchalski

ZBIGNIEW KOWALSKI

Polowanie letnie na ptactwo wodne i błotne

(Wskazówki i rady praktyczne przed sezonem)

POLOWANIE letnie na ptactwo wodne i błotne, a w szczególności polowanie na kaczki, stanowi w naszej rzeczywistości łowieckiej polowanie najbardziej popularne i najszerzej przez ogół myśliwych uprawiane. Jest też ono przeważnie pierwszą i bodaj najlepszą przez swą różnorodność zaprawą myśliwską dla młodych łowców. Ponadto otwarcie polowań na ptactwo wodne i błotne przypada na połowę lipca, sierpień i wrzesień, więc też może być okresem najbardziej wykorzystanym łowiecko przez ludzi pracy w czasie letnich urlopów, wczasów, a przez młodzież w czasie wakacji.

Polowanie na ptactwo wodne i błotne dzielimy na następujące polowania:

A. Polowania na kaczki

1) Na brodzonego z podrywu,
2) z łódki,
3) z naganką,
4) na przelotach,
5) na zlotach wieczornych,
6) na osadach.

B. Polowania na inne ptactwo wodne

C. Polowanie na ptactwo błotne

1) Na dubelty,
2) na kszyki,
3) na inne ptactwo błotne

A. POLOWANIE NA KACZKI

Kaczka jest najpospolitszym naszym ptakiem wodnym i choć rozmieszczanie jej jest wysoce nierównomierne: od bardzo dużego zagęszczenia w białostockim i w okolicach nadmorskich, aż do najsłabszego na przemysłowym Śląsku, nie mniej występuje ona we wszystkich powiatach RP. Jeżeli zapewnimy kaczkom minimum spokoju w miejscach ich lęgów i dopilnujemy niewybierania jaj z gniazd, to wtedy możemy skutecznie polować na kaczki nie tylko na rozlewach większych i mniejszych rzek, pobrzeżach jezior, bagniskach czy stawach rybnych, ale również na wszelkich okach wodnych, znajdujących się wśród pól i lasów, na starych gliniankach i zarośniętych rowach.

Najpospolitszą kaczką występującą w naszym kraju jest krzyżówka i cyranka, licznie występuje również duża podgorzałka (głowienka) krakwa, mała podgorzałka, płaskonos, cyraneczka i czernica; do rzadziej występujących należą: świstun, rożeniec, ogorzałki, gągoł i kilka gatunków traczy. Uhla, lodówka, tracz nurogęś i inne gatunki, notowane na terenie Polski przez ornitologów, występują sporadycznie na przelotach, tak że spotkanie z nimi należy do przypadków i wspominać o nich w dalszym ciągu niniejszej pracy nie będę.

1) Polowania na brodzonego z podrywu. Ze wszystkich rodzajów polowania na kaczki ten rodzaj polowania jest najpospolitszy i najczęściej stosowany przez myśliwych. Polega on na wyszukiwaniu kaczek i płoszeniu ich przez samego myśliwego, bądź towarzyszącego myśliwemu psa czy pomocnika.

Teren, na którym polujemy na kaczki, jest przeważnie ciężki, toteż trzeba wiedzieć gdzie należy ich szukać, przy jakiej pogodzie i o jakiej porze dnia czy roku.

Wczesnym rankiem znajdziemy kaczki na odkrytych taflach wody, na pobrzeżu trzcin, bądź na łąkach o niskiej, niewiele niższej od poziomu traw wodzie, w pobliżu pastwisk i nad groblami stawów rybackich. Jako ogólną zasadę można przyjąć, że rankiem spotkamy kaczki tam, gdzie one w nocy żerowały. Należy zatem nie lenić się z wczesnym wstaniem z łóżka i wymarszem z domu z takim wyliczeniem, aby znaleźć się w miejscach żeru kaczek o świcie i przed innymi ludźmi, którzy idąc do pracy czy jadąc na ryby, ewentualnie obchodząc groble czy też wypędzając bydło na paszę — mogą kaczki wypłoszyć.

W ciągu dnia szukać będziemy kaczek po jednolitych zalanych łąkach, w pokrytych trzciną stawikach, wśród suchych łąk, pól czy lasów albo też w zarośniętych środkowych częściach stawów rybnych.

Przy tym, szukając kaczek na stawach rybnych, należy przede wszystkim zwrócić uwagę na miejsce o mniej wybujałej, niższej roślinności, na bagnach przetrząść szuwary w pobliżu czystych tafli wodnych. Zaznaczam, że na łąkach kwaśnych, w wysokich na dwa metry trzcinach, na rudawiznach i w kępiastych łąkach zarosłych karłowatą sosną — kaczek nie znajdziemy.

W lipcu i w pierwszej połowie sierpnia kaczki siedzą twardo, wypłoszyć je bez psów jest trudno. Toteż kiedyśmy zobaczyli zapadające stadko lub pojedyńczą sztukę należy, nie zrażając się, pobuszować dłużej w zaobserwowanym miejscu, a w końcu na pewno kaczka zerwie się, dając okazję do łatwego strzału.

Często zdarza się, że wydeptywana kaczka zerwie się z wielkim kwakaniem, ciągnie nisko nad ziemią, okrąża myśliwego w koło, czasem, szczególnie uchodząc przed psem, udaje postrzeloną, zapadając co kilkadziesiąt kroków. Nie strzelajmy do takiej kaczki — starki, gdyż ma ona gdzieś niedaleko młode jeszcze, nie lotne potomstwo. Odwołajmy więc psa, darujmy życie starce, a po kilkunastu dniach w pobliżu tego miejsca lub w tym samym miejscu znajdziemy stadko władających już wprawnie skrzydłami podlotków, które dadzą nam emocję o ileż przyjemniejszych strzałów w powietrzu, a na trokach zawiesimy pęk pięknie wypierzonych, o granatowych lusterkach w skrzydłach — krzyżówek.

Przyjmijmy zasadę, że **do młodych nielotnych kaczek klapaczy nie strzelamy w ogóle**, a złapanego klapacza przez psa, o ile nie jest on pokaleczony zębami, wypuszczamy na wodę, zamiast ukręcać mu łeb bez litości, zawieszać z triumfem u pasa i liczyć sobie jedną więcej upolowaną kaczkę.

W dnie dżdżyste, ciemne, kaczki trzymają się bardziej otwartych wód, są ostrożniejsze, rwą się dalej; w dnie gorące, szczególnie w godzinach południowych, siedzą tak twardo, że zapadłe stadko można z dobrym psem wybrać do ostatniej sztuki. Ale nie robimy tego, podobnie jak nie wystrzeliwujemy do końca, do ostatka stada kuropatew. Po odstrzeleniu 4—5 sztuk szukajmy innych kaczek, by na następny rok mieć znów kaczki w tym samym rejonie. Kaczka bowiem, choć w lwiej większości jest ptakiem przelotnym, wraca do tych samych miejsc lęgowych co roku.

W końcu sierpnia, września i później kaczki robią się coraz bardziej ostrożne i harde, rwą się daleko od razu całym stadkiem.

Jeżeli więc, brodząc za kaczkami w okresie późniejszym, dochodzimy do tafli odkrytej wody czy miejsc gdzie wiemy, że kaczki lubią przesiadywać, należy iść ostrożnie, nie chlupocząc głośno nogami i chowając się o ile możności za trzcinami czy

krzakami. Na polu w jesieni należy też do odkrytego stawiku podchodzić mocno schylonym lub podkradać się.

Ważną rolę odgrywa w polowaniu na brodzonego ubranie myśliwego. Musi być ono stare, bez większej wartości, gdyż często wypadnie brodzić aż po pachy. Jednocześnie ubranie musi być jednak całe, nie podarte, a by ostre trawy i szuwary nie pocięły nam ciała w krwawą kratkę.

Nie łatwym problemem do rozwiązania w czasie brodzenia jest noszenie ze sobą zapasowych naboi, aby ich nie zamoczyć. Niektórzy myśliwi noszą je w czapce, co jednak jest o tyle niewygodne, że po zdjęciu czapki z głowy naboje często wypadają lub przepadają w wodzie. Najlepsze rezultaty daje noszenie naboi w niewielkiej ilości, by się nie obciążać i nie utrudniać tym samym strzałów, w torbie o tak skróconym pasku, by torba znajdowała się na wysokości ramion. Jako obuwie najlepsze są czeskie trampki lub stare, wygodne buty już dziurawe i nie nadające się do innego użytku.

2) **Polowania z łódki.** Polowanie z łódki, jak na brodzonego, polega również na szukaniu kaczek. Na stawach rybnych, na pobrzeżach jezior jest ono łatwe ze względu na stosunkowo niewielką zarośniętą przestrzeń, na której kaczki mogą się znajdować. Dużych natomiast umiejętności wymaga szukanie kaczek na rozlewiskach rzek. Tam należy szukać kaczek przede wszystkim w mało uczęszczanych przez ludzi i rybaków miejscach, ślepych zatoczkach lub niedostępnych okach wodnych, do których podpływamy możliwie jak najbliżej łódką, a potem podchodzimy, brodząc lub skacząc z kępy na kępę.

W lecie polowanie jest najowocniejsze również rankiem. W upalne dni kaczki zaszywają się bowiem w trawy i stają się niemożliwe do znalezienia nawet dla psa — wobec wysuszenia śladu.

Strzał z łódki jest łatwy, o ile przewoźnik pamięta, że w chwili kiedy kaczki zrywają się, należy przestać wiosłować i kołysać łodzią, a myśliwy — iż strzelać należy z pozycji siedzącej. Siedzenie powinno być wysokie, zrobione z wiązki słomy mocno związanej powrozem. Należy też pamiętać, aby myśliwy miał strzał na lewą stronę lub wprost przed siebie.

W okresie późniejszym równie ważne jest podjeżdżanie kaczki łodzią pod wiatr. Wskazane jest też, by przewoźnik miał do użytku dwa wiosła, jedno długie na pych, drugie krótkie do wiosłowania w łodzi na siedząco, dla bliższego podpływania kaczek za często niską osłoną pasa trzciny. Lepiej też tak manewrować łodzią, by słońce miał myśliwy za plecami, świecące bowiem w oczy słońce i jego odblask w wodzie bardzo utrudniają strzelanie.

Właściwe polowanie z łodzi na podryw rozpoczyna się dopiero w końcu wrześnią, kiedy to kaczki zbierają się w stada, zasiadają ną większych wodach i są już dobrze zaprawione do lotu do ciepłych krajów.

Z dobrym przewoźnikiem amatorem polowania, który umie prowadzić czółno bez drgnięcia, szelestu, a do tego wiosłować kiedy potrzeba dla ukrycia się, polowanie z łodzi staje się nie lada rozkoszą łowiecką. Kaczki są już pod jesień dorodne, w piórach, kaczory wypierzone pięknie. Dziczyzna nie marnuje się wobec chłodnego dnia, co często ma miejsce w czasie polowania w upalne dni letnie. Przestrzegam w tym miejscu przed strzelaniem większej ilości kaczek w skwarny lipcowy czy sierpniowy dzień, kiedy to nie można zdobyczy natychmiast, tego samego dnia oskubać i wypatroszyć.

Przypominam, że dzisiaj nie wolno nam jest gnoić i marnować mięsa zabitej zwierzyny, jest to niezgodne z dobrymi obyczajami zdemokratyzowanego łowiectwa.

Z tego też względu należy systematycznie i uparcie szukać każdej zabitej sztuki. Po strzeleniu kaczki należy dobrze zapamiętać miejsce, gdzie zniknęła ona w trawach, utrwalając sobie w pamięci to miejsce przez znajdujący się w jego pobliżu charakterystyczny krzak, kępkę zieleni czy pojedynczy kwiat, rosnący na łące.

Kaczka markuje strzał wyraźnie. I tak: kaczka trafiona całym nabojem zatrzymuje się jakby w powietrzu i otoczona chmurką piór spada nieruchomym kształtem na ziemię; zbarczona spływa na dół ukośnie, machając szybko zdrowym skrzydłem; przy złamanych obu skrzydłach widać jak kaczka spadając trzepie się i kręci szyją.

Kaczka trafiona słabo jedną śruciną w płuca leci dalej, ruszając tylko szybko końcami skrzydeł, potem pada nagle martwa. Trafiona w łeb, bijąc skrzydłami leci prosto w dół i trzepoce się mocno i głośno w miejscu upadku. Trafiona w brzuch lub w nogi leci powoli, coraz zniżając lot z opuszczoną jedną lub dwiema nogami. Po zapadnięciu potrafi się jeszcze czasem zerwać i musi być wtedy dostrzelona.

Podkreślam raz jeszcze, że sztuk zabitych szukać należy uważnie i dokładnie, gdyż kaczkę w wysokich trzcinach i trawach trudniej jest znaleźć niż kuropatwę w burakach. Płynącą po strzale zbarczoną kaczkę musimy niezwłocznie dostrzelić, gdyż w przeciwnym wypadku prawie zawsze przepada. Strzelając do kaczki na wodzie pamiętajmy, że musimy strzelać nieco pod nią.

Na wodzie zbarczoną cyrankę należy szukać w miejscu jej upadku nie tylko na wodzie, ale i pod powierzchnią, gdyż cyranka często tam, gdzie spadła nurkuje i trzymając się dziobem traw pozostaje i ginie pod wodą.

Zbarczoną, uciekającą spod dzioba łodzi kaczkę najlepiej dobić wiosłem, uderzając na płask w wodę.

Zbarczona krzyżówka na wodzie trudniejsza jest do odszukania niż cyranka, jedynym sposobem na jej odnalezienia to obejść z psem po 5—10 minutach wzdłuż brzegu, gdyż pies z dobrym wiatrem odszuka kaczkę, która dopłynęła do brzegu i tam na suchym przywarowała.

Zbarczonych kaczek nurkowatych jak głowienka i inne prawie nigdy odszukać nie można. Najłatwiejszy do odszukania jest zbarczony płaskonos, który niechętnie ucieka na nogach.

Kaczkę zbarczoną na suchym czy płytkiej wodzie łatwo odszukać będzie przez psa a nawet człowieka, gdyż uciekając próbuje się na zdrowym skrzydle poderwać.

Polowanie na brodzonego i z łodzi może być kombinowane, np. jeden myśliwy idzie lądem, a drugi równolegle jedzie czółnem.

3) **Polowanie z naganką.** Polowanie z naganką odbywa się według tych samych zasad jak wszystkie inne polowania z naganką. Niemniej stanowiska myśliwych muszą być nieco zamaskowane przed wzrokiem ostrożnych kaczek, a jako naganka wystarczy zaledwie kilku ludzi brodzących lub jadących łodziami przez stawy ławą.

Podczas polowania z naganką na kaczki należy pamiętać o dwóch zasadach. Po pierwsze, nie wskazane jest strzelanie do zbyt wysoko ciągnących, ruszonych jako pierwsze, stad kaczych, bo to i nie po myśliwsku słać śruty aż gdzieś pod niebo i poza tym płoszymy hukiem inne kaczki, które dosiadując — spłoszone później pociągną niżej.

Po drugie nie wolno strzelać do kaczek płynących, gdyż jest to sprzeczne z dobrymi obyczajami myśliwskimi. Do kaczek płynących wolno strzelać tylko i wyłącznie z budki (na zlocie z wabikiem); wreszcie strzelanie takie może być bardzo niebezpieczne dla naganki czy też innych myśliwych, stojących na łamanej linii.

Najodpowiedniejszym numerem śrutu używanym na kaczki jest nr 4 (3 mm). Strzelanie cieńszym numerem 6 może mieć miejsce tylko na podryw w pierwszym miesiącu polowań na kaczki, kiedy strzela się na bliskie odległości.

Po zakończeniu każdego pędzenia należy dokładnie i spokojnie poszukać strąconych kaczek, by nie pozostawić zabitej zwierzyny jako łup dla jastrzębi.

4) **Polowanie na przelotach.** Kiedy kaczki zaczną już dobrze latać wyruszają wieczorami ze swych lęgowych miejsc na żer na pola lub na żyzne łąki.

Polowanie na szlakach ich wędrówek nazywamy polowaniem na przelotach. Zaobserwowawszy miejsce przelotu należy stanąć na jego szlaku w 15 minut po zachodzie słońca i oczekiwać na ciąg. Pierwsze stada

idą kluczami wysoko poza granicami strzału potem jednak, im staje się ciemniej, tym niżej zaczynają płynąć kaczki. Ostatnie lecą przeważnie zapóźnione czy odbite od stad pojedynki. Te ostatnie ciągną przeważnie już o kompletnym zmroku, toteż na przelotach wskazane jest tak wybierać stanowisko, aby strzał był w kierunku jasnego tła nieba na zachodzie.

Nie mając dobrego psa należy też tak zajmować stanowisko, aby kaczki spadały na miejsce suche i nie zarośnięte, aby można je było łatwo odszukać. Jeżeli wieczorem nie uda się nam podnieść wszystkich zabitych sztuk, to ze wszech miar warto jest powrócić rankiem a na pewno znajdziemy resztę strzelonych sztuk, a przy tej okazji może się udać strzelić kota włóczęgę lub jastrzębia, który zabrał się do zjadania jednej z zabitych kaczek. Kilkakrotnie po wieczornych przelotach czy zlotach miałem wypadki ubicia drapieżnika czy szkodnika.

5) **Polowanie na zlotach wieczornych.** Jeżeli wypatrzymy miejsce wieczornych przelotów, to posiadając odpowiednio rozległy teren łowiecki, możemy bez większego trudu odnaleźć też miejsce wieczornych zlotów kaczek. Zloty będą miały miejsce na owsiskach, pszeniczyskach i jęczmieniskach, na żyznych śródpolnych jeziorkach, w których pobliżu panujący w dzień ruch uniemożliwia kaczkom żerowanie, albo też w podmokłych olszynach czy krzakach na pobrzeżu wsi, gdzie stale pasą się stada bydła oraz na spuszczanych świeżo stawach rybnych, bądź stawach zarybkowych.

Polowania na zlotach trwają krótko, gdyż po paru dniach kaczki przenoszą się na inne miejsca. Toteż po zaobserwowaniu miejsca zlotu należy zasiąść najbliższego wieczoru i zapolować. Kaczki na zlot zaczynają nadciągać w 20—30 minut po zachodzie słońca. Zlot trwa pół godziny czasem dłużej, ale ostatnie kaczki, szczególnie te odstraszone pierwszymi strzałami, nadlatują już tak późno, że o strzale nie może być mowy.

Pies na zlotach jest bardzo pożądany, poszukiwanie nazajutrz rankiem — również. Strzelanie dymnymi nabojami na zlocie jest nie wskazane, gdyż obłok spalonego prochu wisi długo w powierzu, zasłania cel i płoszy inne nadlatujące kaczki.

6) **Polowanie na osadach.** Osadem (sadem) nazywamy poranny zlot kaczek na jeziorka, na łąkach czy w lesie, na które kaczki po całonocnym żerowaniu zasiadają o świcie na całodzienny odpoczynek. Osad trwa godzinę do kilku godzin, przy czym kaczki niezrażone strzałem zapadają w jedno i to samo miejsce.

Jeziorka takie muszą być ukryte, nie odwiedzane i nie płoszone przez ludzi. Na osadzie może się zbierać od kilkudziesięciu do paru tysięcy kaczek. Wbrew ogólnemu mniemaniu pozwolę sobie swierdzić, że osady nie są bynajmniej wyłącznością poleską, znakomite osady mamy bowiem na Narwi, Biebrzy i całym szeregu innych rozlewisk rzecznych, ponadto w każdej prawie okolicy, gdzie kaczki występują w większej ilości, znaleźć można miejsca, gdzie one zlatują się rankiem w większej lub mniejszej ilości. Należy tylko bywać często w łowisku i nauczyć się patrzyć na przyrodę okiem myśliwego. Znajdziemy np. po ukończeniu robót na polach, jeziorka czy stawiki albo też bagnisko w lesie lub też podmokłą mocno olszynę, z których po zbliżeniu się zrywa się chmura kaczek i odlatuje poza zasięgiem śrutów.

Jeżeli zauważymy, że kaczki wracają w to samo ustronne miejsce, a ponadto stwierdzimy na trawie liczne pióra i odchody kaczek, możemy być pewni, że tam znajduje się sad.

Spróbujmy nad takim jeziorkiem czy bagnem zasiąść nad ranem, a zobaczymy, że na 40 minut czy pół



Kacze tereny fot. W. Puchalski.

godziny przed wschodem słońca zaczną się zlatywać kaczki. Będzie to właśnie sad. Dla przykładu podaję, że w roku 1938 odkryłem w ten sposób wraz z inż. Knothem sad na półhektarowym leśnym jeziorku w Państwowym Nadleśnictwie Skierniewice 1. Mokre, sad, na którym następnego ranka padło 365 strzałów.

Łódkę na osadzie należy zamaskować sitowiem, zaś stanowisko powinien myśliwy wybrać sobie w krzaku dla częściowego ukrycia.

Jako zasadę należy podać, że na osadzie nie wolno jest strzelać do pierwszej kaczki, która nadleci, zwanej kucharką, gdyż psuje to również sad, jak zabicie cietrzewia tokowika psuje tokowisko lub jelenia byka organistę — rykowisko.

Polować na sadzie można najwyżej dwa razy, robiąc przerwę po pierwszym zapolowaniu 3—4-dniową. Po drugiej pukaninie osad przeniesie się gdzie indziej.

Na osadzie można polować w 2—3 strzelby, określając przed polowaniem dokładnie miejsca każdego z myśliwych, by uniknąć ewentualnego wypadku.

Na osadzie zbierają się albo same krzyżówki, albo też same cyranki, czasem zlatuje się kilka gatunków kaczek, ale zawsze przeważać będzie pośród nich w 90% jeden gatunek.

Strzelanie w osadzie nie jest trudne, ale o ile dozwolone jest strzelać do siedzącej kaczki, o tyle **poważnym wykroczeniem** przeciwko dobrym obyczajom łowieckim jest **strzelanie w kupę do siedzącego stada.** Wskazane jest też od połowy września wybierać i strzelać przede wszystkim kaczory, które już dobrze wyfarbowane, łatwe są do poznania.

Po zakończeniu sadu koło godziny 8 należy przystąpić do szukania zabitych sztuk. Dobry pies odda też nieocenione usługi, podnosząc rezultat znalezionych sztuk nawet o 100%.

Dobre rezultaty daje też na zlocie czy na sadzie sadzanie na wodzie krekuchy czy bałwanków, do których wodujące kaczki zasiadają. Specjalnie piękne jest polowanie na osadzie w październiku w mgłach porannych i więdnącej florze wodnej, gdy wypierzone kaczki są ubarwione jak na wiosnę.

B) POLOWANIE NA INNE PTACTWO WODNE

Spośród innego ptactwa wodnego większość gatunków nie powinna być w ogóle przez myśliwych strzelana. Traktowanie mew, kurek wodnych, rybitew, perkozów, nurów i podobnych, jako ruchomych tarcz strzeleckich, choć prawo łowieckie polować na nie zezwala, uważam za niedopuszczalne. Może to być jedynie darowane młodemu adeptowi łowiectwa, uczniakowi, któremu pierwsza zabita czajka potrafi dać emocję łowiecką czy strzelecką, albo myśliwemu kolekcjonerowi, który zabitego ptaka jeszcze w kolekcji nie posiada.

Z ptactwa wodnego — poza kaczkami — można polować na łyski będące szkodnikami łowieckimi przez odstraszanie kaczek od zakładania gniazd wiosną w danym łowisku.

C) POLOWANIE NA PTACTWO BŁOTNE

O ile polowanie na rozliczne ptaki wodne uważane jest za pozbawione etyki, o tyle polowanie na ptactwo błotne zalicza się do wysokiej klasy myślistwa.

Ubita zwierzyna nie przedstawia co prawda wielkiej wartości, ale strzał jest ciekawy, praca psa interesująca, emocja polowania wielka.

1) **Na dubelty.** Dubelt, ongiś bardzo pospolity u nas ptak, wobec wielkich robót melioracyjnych, osuszania łąk, a przede wszystkim wycinania łóz, stał się zwierzyną rzadką. Niemniej i dzisiaj na przelocie, który trwa od ostatnich dni lipca do połowy sierpnia, są okolice nad Bugiem, Narwią i Wartą, gdzie można ustrzelić kilka sztuk tego pięknego ptaka.

Nieco mniejszy od słonki, nie spiesząc się i mało klucząc, wycieka przed psem, potem bardzo twardo dosiadując zrywa się tuż przed nosem psa z charakterystycznym głosem „khöp" i ciągnie równo i łatwo do strzału. Strzelać dubelta nie należy zbyt blisko, by uniknąć rozbicia ptaka. Choć niewielki — dubelt ma wybitnie smaczne mięso.

O ile polowanie na kaczki psuje młodego wyżła, o tyle na dubeltach wskazane jest tresować nawet niespełna rocznego legawca. Dubelty znaleźć można na suchych łąkach o niskim poziomie wody i licznie rozsianych krzakach oraz na łączkach śródleśnych i mszarach sosnowych. Zbarczonego dubelta, zarówno jak i kszyka, łatwo jest odszukać, gdyż przy zbliżeniu się człowieka uciekając zawsze stara się podfrunąć na zdrowym skrzydle. Strzelać do dubelta należy śrutem nr 6 (2 i pół mm) do nr 8 (średnicy 2 mm).

2) **Na kszyki.** Kszyk jest najpospolitszym u nas przedstawicielem rodziny bekasów. Lot ma chyży, nierówny, po zerwaniu się robi trzy — cztery koziołki. Trafienie przez słabiej strzelających myśliwych jest prawie nieosiągalne. Spotkać kszyka można na wszystkich niemal kwaśnych łąkach w odrostowych olszynach, na rudawiznach i torfowiskach. Spotyka się go też na brzegu stawów i rzek w trzcinach, a nawet w mokrych latach na polach.

Ostrzejszy jest od dubelta, rwie się dalej, dla psa jednak łatwy jak i dubelt do wypracowania, gdyż siedzi twardo, krótko cieknie, zrywając się z łatwością w lot.

Chcąc nauczyć się strzelać do kszyków i trafiać — należy trzymać się następujących zasad: strzelać trzeba szybko rzutowo albo przed rozpoczęciem przez ptaka koziołków, albo też po ich zakończeniu, kiedy lot wyrówna. Najlepsze wyniki daje strzelanie śrutem nr 8 (2 mm) albo też nr 10 (1,5 mm) — tak zwanym dunstem.

Choć polowanie na kszyki nie daje prawie żadnych wartości gospodarczych, gdyż mięso jego, choć bardzo smaczne, stanowi mikroskopijną porcję, serdecznie radzę każdemu z myśliwych, by zechciał poświęcić kilka naboi na kapitalną wprawę strzelecką, jaką daje strzelanie do kszyków. Lepsza jest ona i przyjemniejsza niż strzelanie do rzutków i opłaca się niewątpliwie w nabraniu przez myśliwego lepszej formy w strzelaniu do innej łatwiejszej zwierzyny.

Specjalnie przyjemne jest polowanie na kszyki wczesną jesienią, kiedy zaczynają się ich przeloty, występują one bowiem wtedy w większej ilości, oblane są tłuszczem i rwą się bystro i daleko.

3) **Na inne ptactwo błotne.** W czasie letnich polowań spotykamy szereg ptaków błotnych, do których, choć są jadalne, nie warto strzelać, jak: rycyki, kuliki, letnie bataliony itp. Niemniej strzelanie niektórych ptaków błotnych, jak kuliga wielkiego, czapli czy kulona piaskowca, które nadleciały przypadkiem, albo derkacza, który porafił wodzić za nos naszego psa przed strzałem przez dobre parę minut, czy późną jesienią przelotnego bekasika, rzadkiego, najmniejszego z bekasów — stanowi przyjemną atrakcję łowiecką i zgadza się całkowicie z przykazaniem prawidłowego myślistwa.

*

Na zakończenie zaznaczam, że polowanie na ptactwo wodne i błotne rozpoczyna się w br. 16 lipca a kończy się z odlotem, bądź na kaczki i kaczory w województwach, poza gdańskim, olsztyńskim i szczecińskim, z dniem 31 grudnia.

Oszczędzajmy nielotne kaczki-kłapaki

INŻ. EDWARD FRANKIEWICZ

Postępowe łowiectwo a ochrona przyrody

„Stosunek danego narodu do przyrody jest wykładnikiem jego kultury"

W ARTYKULE „O postępowe metody w hodowli zwierzyny" (Łowiec Polski nr 4 z kwietnia br.) starałem się wykazać błędy dotychczasowej gospodarki łowieckiej oraz konieczność unaturalnienia naszych zwierzostanów. Moim bowiem zdaniem, gospodarka ta, wprowadzona w ubiegłym stuleciu w krajach Europy Środkowej i Zachodniej pod nazwą „prawidłowej", wyrządziła w przyrodzie spustoszenia nie mniejsze od rabunkowego użytkowania zwierzostanów w Europie Południowej ze słoneczną Italią na czele, sprowadzając jednocześnie szereg klęsk nie tylko w łowiectwie, lecz również w innych gałęziach gospodarstwa wiejskiego.

Nic więc dziwnego, że przy takim stanie rzeczy większość przyrodników i ochroniarzy dopatrywała się rozbieżności pomiędzy wymogami „prawidłowego" łowiectwa, a ideą ochrony przyrody. Pogląd ten był powodem wzajemnej wymiany zarzutów, mniej lub więcej słusznych, pomiędzy myśliwymi a ochroniarzami. Jako przykład wymienię artykuł W. Garczyńskiego „Śrutem czy papierem", drukowany przed wojną w nrze 2 Łowca Polskiego ze stycznia 1939 r. i zamieszczone w dalszych zeszytach (nr 11 i nr 13) tego pisma wypowiedzi A. Sandera i prof. J. Domaniewskiego. Artykuły te zostały wywołane złożonym wówczas do Polskiego Związku Łowieckiego memoriałem kilku stowarzyszeń „ochroniarskich" w sprawie zmian w liście zwierząt łownych.

Nasuwa się pytanie po czyjej stronie była słuszność? Przy bezstronnym rozważaniu tej sprawy musimy dojść do wniosku, że, jak to często bywa, źródłem tych sporów było zasadnicze nieporozumienie.

Ze strony ochroniarzy polegało ono: po pierwsze — na przeważnie lub nawet wyłącznie konserwatorskim pojmowaniu ochrony przyrody i niesłusznym dążeniu do wyłączenia licznego szeregu gatunków zwierząt łownych z gospodarki człowieka; po wtóre — na zbytnim przeświadczeniu o skuteczności wydawanych przepisów, wprowadzających całkowitą ochronę ginących gatunków.

Ze strony zaś przedstawicieli łowiectwa nieporozumienie tkwiło w zbytnim uogólnieniu osobistych poglądów garstki czołowych postępowych działaczy PZŁ. Koledzy ci mieli zupełną słuszność twierdząc, że łowiectwo przez bezpośrednie zainteresowanie myśliwych w ochranianiu szeregu gatunków zwierząt łownych lepiej służy idei ochrony przyrody niż papierowe nakazy i zakazy ochroniarskie. Natomiast trudno podzielić zdanie, że poglądy wyrażane przez PZŁ na łamach Łowca Polskiego lub Kalendarza Myśliwskiego, dające wyraz przychylnemu i właściwemu ustosunkowaniu się łowiectwa do idei ochrony przyrody, były poglądami ogółu naszych myśliwych. Tak nie było i, niestety, dziś także jeszcze nie jest. Poza tym poglądy te nie znalazły przed wojną całkowitego zrozumienia i poparcia ówczesnych władz państwowych.

Twierdzę stanowczo, że np. idea ochrony drapieżników, głoszona już przed 90 laty przez Władysława Taczanowskiego, a następnie przez Jana Sztolcmana, Janusza Domaniewskiego, Juliana Ejsmonda, Bolesława Świętorzeckiego i innych wybitnych naszych zoologów i ideowo przodujących myśliwych, była jeszcze obcą dla szerokich rzesz „polujących".

I dlatego słuszne były zarzuty ochroniarzy pod adresem ogółu myśliwych, wytykające im brak poważniejszego zainteresowania przyrodą, hołdowanie nienaukowym teoriom w poczynaniach gospodarczych, bezmyślne wybijanie zwierząt, rzekomo szkodliwych, itp.

Gdzie leżała przyczyna takiego ustosunkowania się do przyrody naszego społeczeństwa i władz? Przyczyny tej musimy szukać w **ustroju społecznym.**

Zbyt ciążyła na nas i nawet obecnie ciąży jak zły sen na większości naszego społeczeństwa moralność burżuazyjna. Doraźny, jak najwyższy i w jak najkrótszym czasie osiągnięty zysk — oto cel życia przeciętnego obywatela; egoistyczny, bezwstydny, nagi interes, pozbawiony jakichkolwiek wartości nie materialnych — kulturalnych, naukowych i estetycznych — wartości społecznych i ogólnonarodowych, był i jest bożyszczem kapitalistycznego świata, usiłującego podstępnie zaszczepić nowemu ustrojowi bakcyla szału, któremu sam uległ — szału szerzenia zniszczeń i spustoszeń w przyrodzie.

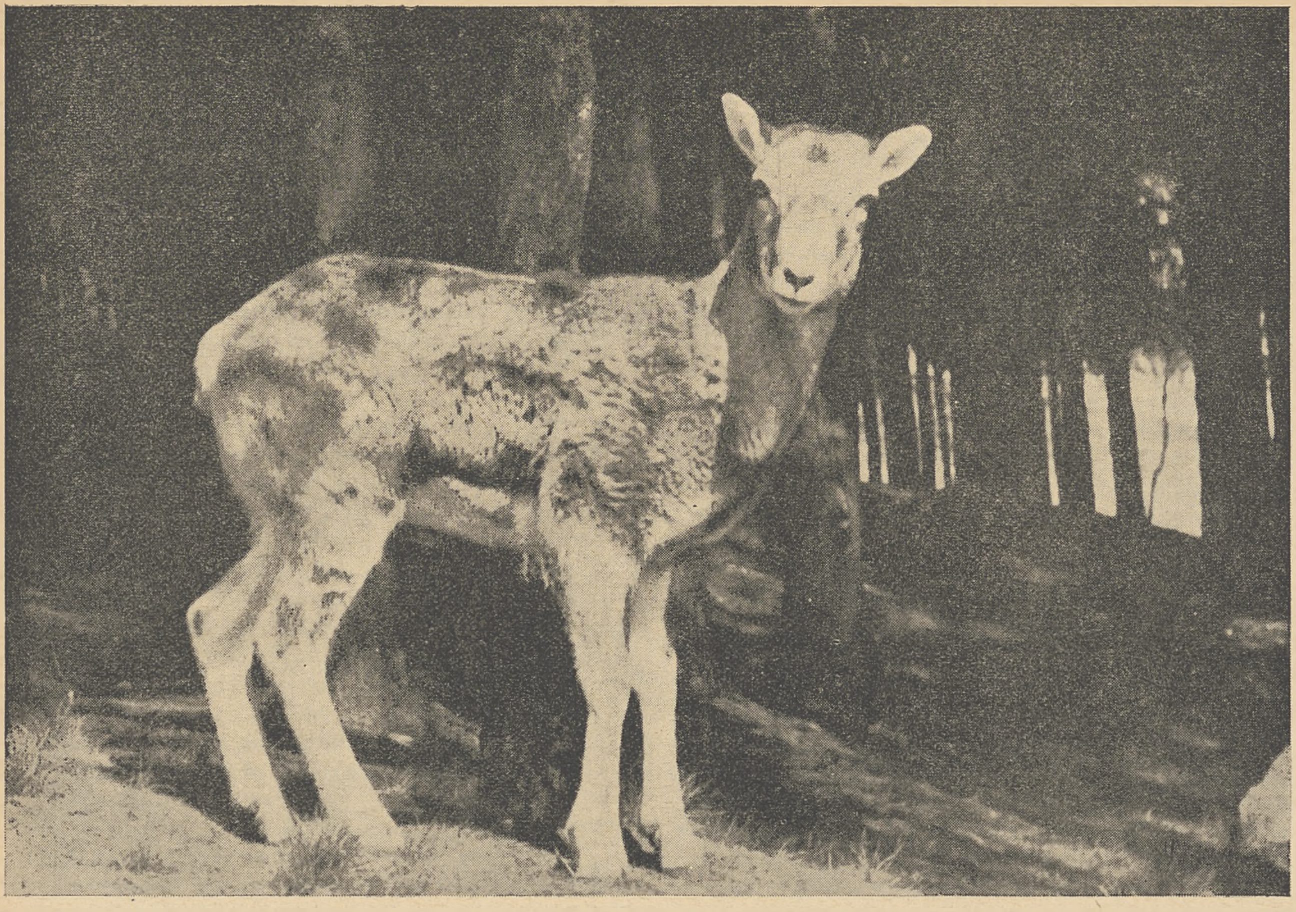
Na próżno jednak ten dogorywający świat stara się przekazać nam swoją nienawiść do natury, obłudnie wmawiając w nas, że umiłowanie przyrody i uprawianie łowiectwa są szkodliwymi dla interesu społecznego przeżytkami, jako rzekome nawyki burżuazyjne.

Świadomi słuszności sprawy, obowiązku społecznego i odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń, stoimy i stać będziemy na straży bogactwa narodowego, jakimi są nasze zwierzostany łowne i niełowne.

Jak już w wymienionym na wstępie artykule powiedziałem, walka postępowej myśli przyrodniczo - łowieckiej toczona na przestrzeni stu lat z zachłannością, krótkowzrocznością i nieuctwem klas posiadających i rządzących, została uwieńczona zwycięstwem dopiero obecnie, po dokonanym u nas przewrocie polityczno - społecznym. Ustawa o ochronie przyrody z dnia 7 kwietnia 1949 r., ustawa o gospodarstwie leśnym z listopada tegoż roku oraz projekt nowej ustawy o prawie łowieckim uzgodniły całkowicie interesy łowiectwa z wymogami ochrony przyrody i potrzebami innych gałęzi gospodarki człowieka w przyrodzie.

Dlatego też, podzielając szereg poglądów dra Bronisława Ferensa, wyrażonych w artykule „Nowa ustawa łowiecka a zagadnienie ochrony zwierząt", drukowanym w nrze 1—2 br. organu Komietu Ochrony Przyrody Polskiej Akademii Umiejętności „Chrońmy Przyrodę Ojczystą", nie mogę się zgodzić z autorem co do proponowanej listy zwierząt łownych, z której miałyby zostać skreślone takie czworonogi i ptaki, jak niedźwiedź, łoś, żbik, łabędź, drop i żuraw.

Dotychczasowe doświadczenie przestrzega nas przed tym; bowiem brak zainteresowania świata łowieckiego tymi zwierzętami równałby się wydaniu na nie wyroku śmierci. Natomiast uważam za konieczne wprowadzenie dla gatunków zagrożonych wytępieniem lub wymierających — kilkuletniej, całorocznej ochrony, która by ułatwiała rozmnożenie ich w ciągu tego czasu, przez stosowanie zabiegów gospodarczych, do takiej



Muflonka fot. J. Puchalska

ilości, żeby mogły się znów stać przedmiotem łowów. Przykłady z okresu międzywojennego z łosiem i głuszcem są niezbitym dowodem słuszności takiej metody ratowania świata zwierzęcego od zagłady.

Objęcie zwierząt poważnie zagrożonych w swym bycie ochroną gatunkową jest celowe tylko wówczas, gdy mają one swe stanowiska nie w łowiskach otwartych, lecz wyłączne w rozległych parkach przyrody, jak np. kozica i świstak. Wątpliwą jednak wydaje się skuteczność takiej ochrony w stosunku chociażby do niedźwiedzia, bobra, norki, żbika, rysia, łosia, łabędzia, dropia i żórawia, które, bytując w łowiskach otwartych lub wydzielonych dla nich niewielkich rezerwatach, bez zainteresowania i opieki myśliwego byłyby niechybnie skazane na wytępienie.

Inna sprawą jeśli chodzi o ochronę gatunkową zwierząt pospolitych, bądź to pożytecznych dla rolnictwa, a niesłusznie dotychczas tępionych przez myśliwych jak np. gronostaje i łasice oraz będących już pod całoroczną ochroną sów lub innego ptactwa osiadłego i przelotnego, które to zwierzęta występując nawet dość licznie, ale nie dostarczając ani dziczyzny ani cennego trofeum, a nie wyrządzając przy tym żadnej szkody lecz przeciwnie, oddając często usługi w gospodarce człowieka, nie powinny być strzelane. Wszelkie nury, perkozy, czajki, kurki wodne, mewy, rybitwy, bąki, bączki itp. oraz ptaki drapieżne, za wyjątkiem jastrzębia gołębiarza, krogulca i błotniaka stawowego, powinny się znaleźć pod całkowitą ochroną gatunkową. Zgadzam się również z drem Ferensem co do wprowadzenia czasu ochronnego dla kuny domowej i tchórza, lecz tylko w okresie rozmnoży tj. 5—6 miesięcy, a nawet proponowałbym wziąć pod opiekę prawną krogulca i wilka. Nie podzielam jednak poglądu autora co do potrzeby objęcia ochroną gatunkową kruka, który jest ptakiem pospolitym, występując w niektórych okolicach nawet bardzo licznie; będąc groźnym dla drobnych zwierzostanów, a nie mając sam wrogów, przy całkowitej ochronie może on stać się dla łowiectwa plagą. Wystarczy dla niego czas ochronny przyznany dla innych ptaków krukowatych.

Jednym słowem jestem zwolennikiem:

1) wprowadzenia czasów ochronnych w okresie rozmnoży i lęgów dla wszystkich gatunków zwierzyny, za wyjątkiem królika, wrony siwej, sroki i gołębiarza,

2) objęcia ochroną gatunkową wszelkich zwierząt, ssaków i ptaków, pożytecznych dla gospodarki człowieka lub dla niej pozornie obojętnych, a nie stanowiących przedmiotu zainteresowania łowiectwa.

3) stosowanie ochrony gatunkowej dla zwierząt łownych, będących już niestety w chwili obecnej „pomnikami przyrody", tak zwanymi reliktami, tylko w wyjątkowych przypadkach, kiedy mamy całkowitą pewność skuteczności takiej ochrony,

4) wprowadzenie dla zagrożonych w swym bycie gatunków łownych całorocznej ochrony na okresy stosunkowo krótkie, zależnie od potrzeby, od kilku do dziesięciu najwyżej lat, żeby nie zniechęcić myśliwych do roztoczenia nad nimi opieki i łożenia kosztów na nią.

Poczuwam się do obowiązku wyjaśnić, że w poglądach swoich nie jestem odosobniony, gdyż podziela je w zasadzie Naczelna Rada Łowiecka, która przy uzgadnianiu z Biurem Ochrony Przyrody i Samodzielnym Wydziałem Łowiectwa Ministerstwa Leśnictwa listy zwierząt łownych i objętych ochroną gatunkową oraz przy układaniu czasów ochronnych dla zwierząt łownych — kieruje się wyżej przytoczonymi przesłankami.

Współpraca ochroniarza ze wszystkimi bezpośrednio czy pośrednio zainteresowanymi w zachowaniu naszej fauny, a więc z myśliwym — hodowcą, leśnikiem, rolnikiem i rybakiem, oparta nie tylko formalnie na wytycznych naszych ustaw państwowych, lecz również na pełnym wzajemnym zrozumieniu i przepojona głęboką troską o dobro sprawy, będzie najlepszą rękojmią szybkiego podniesienia naszych zwierzostanów łownych i niełownych, a tym samym zarówno rozkwitu łowiectwa jak i uzdrowienia naszego krajobrazu.

Zwracam uwagę, że nowa ustawa o ochronie przyrody, urzeczywistniająca ideę, której pionierem i szermierzem był prof. Adam Wodziczko, i w której ujęciu ochrona przyrody jest rozumiana nie tylko jako konserwatorskie zabiegi w celu zachowania reliktów, lecz przede wszystkim, jako właściwe gospodarowanie siłami, zasobami i tworami natury, jest kamieniem węgielnym dla ustaw dotyczących poszczególnych gałęzi gospodarstwa wiejskiego, jak leśnictwo, łowiectwo itp. Gospodarcze metody w tych dziedzinach działalności ludzkiej, oparte na wiedzy przyrodniczej, będą służyły ze swej strony idei ochrony przyrody.

Jak widzimy, myśliwy — hodowca i ochroniarz znajdują w obecnym naszym ustroju państwowym nader pomyślne warunki dla swojej pracy i współpracy. Do podniesienia naszych zwierzostanów przyczynią się niewątpliwie postępowe metody gospodarcze w leśnictwie, zmierzające do odbudowy naturalnych zespołów leśnych, a zwłaszcza jeden z warunków stosowania tych metod — znaczne ograniczenie, włącznie do zupełnego zakazu, wypasu bydła w lesie.

Również o doniosłym znaczeniu dla łowiectwa i krajobrazu jest przebudowa ustroju rolnego. Dążenie do tworzenia gospodarstw o dużym obszarze gruntów i do podniesienia kultury rolnej, zaniechanie przedwojennego rozdrobniania wsi polskiej i zaprzestanie tworzenia kilkuhektarowych kolonii, nazwanych kiedyś przez W. Garczyńskiego bardzo trafnie zabudową „zajęczo - kotlinową", na pewno będą dodatnim czynnikiem w gospodarce łowieckiej.

W naszej pracy i walce o właściwy stosunek człowieka do przyrody mamy jeszcze jednego potężnego sprzymierzeńca — oświatę.

Poprzez szkolnictwo, organizacje społeczne i polityczne, organizacje młodzieżowe oraz nasze powiatowe rady łowieckie i kółka myśliwskie winniśmy szerzyć w społeczeństwie wiedzę przyrodniczą oraz krzewić, zwłaszcza wśród ludu wiejskiego, umiłowanie przyrody i zrozumienie znaczenia jej tworów dla gospodarki i kultury człowieka.



Słonka na gnieździe fot. A. Wiśniewski

A przecież o tego człowieka chodzi. Musimy wychować nowego człowieka, zdrowego moralnie i fizycznie, uspołecznionego obywatela, troszczącego się o dobro swego kraju. Podobnie jak wilgotna, duszna i ciemna suteryna nie wpływa dodatnio na rozwój umysłowy i fizyczny ludzkiego organizmu, tak również zniszczony, okaleczony i martwy krajobraz nie przyczyni się do wychowania pełnowartościowego człowieka.

Napiszmy więc wielkimi zgłoskami na tablicach szkolnych, na murach naszych urzędów i instytucyj społecznych, na ścianach chat chłopskich, mieszkań robotniczych i inteligenckich, obok innych dzisiejszych szczytnych haseł, jeszcze jedno, nie mniej wzniosłe: „Poprzez umiłowanie oraz poznawanie przyrody i ojczystego krajobrazu ku wiedzy przyrodniczej — dźwigni postępu i kultury".



Młode lisy fot. A. Wiśniewski.

„Koń przeciążony pracą, smagany batem, zdychający pies, więziony w klatce ptak — to dokument tych czasów, z którymi walczymy i które zwyciężymy, czasów głuchego sobkowstwa burżuazyjnego. Nowy człowiek musi być przyjacielem zwierząt".

Maksym Gorkij—na Zjeździe Pisarzy Radzieckich w 1935 r.

JADWIGA I JULIAN BOHUSZOWIE

Bułgarska ustawa łowiecka

SPRAWY ustawodawstwa łowieckiego wciąż jeszcze są przedmiotem nie słabnącego zainteresowania naszego społeczeństwa łowieckiego w okresie oczekiwania na nowelizację polskiego prawodawstwa w tym zakresie.

Wiele już napisano na temat projektowanych form naszej nowej ustawy łowieckiej. Wydaje się rzeczą ciekawą porównanie tego, czego spodziewamy się u nas, z nową ustawą łowiecką, wprowadzoną niedawno w Bułgarii, jako bliskim nam usrojowo państwie Demokracji Ludowej. Pamiętać należy oczywiście przy porównywaniu i wyciąganiu wniosków, że Bułgaria znajduje się w wysoce odmiennych warunkach hodowlano-łowieckich, niż Polska i pod tym kątem widzenia należy rozpatrywać specyficzne dla tamtych stosunków łowieckich postanowienia ustawy, często dla naszych warunków najzupełniej nieodpowiednie, a nawet wręcz szkodliwe.

Nowa ustawa łowiecka Bułgarii datuje się z dnia 1 października 1948 r. Uchyla ona ustawę poprzednią, obowiązującą od dnia 25 stycznia 1926 r.

Nowa ustawa łowiecka Bułgarii zamyka się w siedmiu rozdziałach, które obejmują kolejno sprawy:

Postanowień ogólnych,
Zezwoleń na polowanie,
Nadzoru nad gospodarką łowiecką,
Zwalczania szkodników,
Handlu zwierzyną bitą, żywą i skórami zwierzyny,
Kar za wykroczenia łowieckie oraz
Postanowień przejściowych.

Jak widzimy z samego zestawienia tytulatury rozdziałów ustawy, nie zajmuje się ona sprawami hodowli zwierzyny i planowej gospodarki łowieckiej w pełnym znaczeniu tych pojęć. Fragmentarycznych postanowień ustawy w tym zakresie nie można traktować, jako wystarczającego prawnego ujęcia zagadnienia. Sprawa ta jest zresztą zrozumiałą w świetle uwag, jakie znajdujemy na temat stosunków łowieckich w Bułgarii w nr. 4/50 Łowca Polskiego, w artykule pod tym właśnie tytułem.

Punktem wyjścia dla prawnego ujęcia sprawy łowiectwa jest w Bułgarii zasada, że zwierzyna jest własnością państwa, a prawo polowania nie jest związane z prawem posiadania gruntu. Gospodarkę łowiecką, w specyficznym zresztą, jak wspomnieliśmy już wyżej, rozumieniu tego słowa, prowadzi w zasadzie na terenie całego kraju państwo. Pojęcia obwodu łowieckiego, prawa wyłączności użytkowania obwodu, dzierżawy i zagospodarowania łowieckiego terenów przez indywidualnych myśliwych lub kółka łowieckie ustawa nie zna wogóle.

Myśliwy jest uprawnionym do wykonywania polowania na obszarze całego państwa, za wyjątkiem terenów specjalnie przez władze od użytkowania łowieckigo wyłączonych oraz z zastrzeżeniem ograniczeń, co do sposobów i terminów wykonywania polowania.

Właśnie te ograniczenia wykonywania polowania są głównym tematem postanowień ustawy i zarazem podstawowym środkiem utrzymania, ewentualnie usiłowań poprawy liczebności i jakości zwierzostanów.

O tym, jak ustawodawstwo bułgarske kwalifikuje rodzaje zwierzyny, pisaliśmy już we wspomnianym artykule w nr. 4/50 Łowca Polskiego, więc nie będziemy się w tym miejscu powtarzali. Treść samej ustawy zawiera w tym zakresie jedynie zasady ogólne. Postanowienia szczegółów i obszerniejsze komentarze ustawy zawiera rozporządzenie wykonawcze ministra Rolnictwa i Lasów, jakie ukazało się w parę tygodni po ustawie, z datą 19 listopada 1948 r.

Wogóle zauważyć należy generalnie, że sama ustawa jest aktem prawnym dość krótkim i zawierającym postanowienia zasadnicze, zaś rozwinięcie tych postanowień zawiera się właśnie w rozporządzeniu wykonawczym. Zastrzedz jednak równie należy, że zasada ta nie jest zachowana z należytą konsekwencją tak, że znajdujemy w treści ustawy sformułowane postanowienia w kwestiach o stosunkowo drugorzędnym znaczeniu, gdy jednocześnie sprawy zupełnie zasadnicze są odsyłane do uregulowania przez rozporządzenie wykonawcze. Takie ujęcie redakcyjne całości aktu ustawodawczego nie wydaje się właściwym.

Prawo polowania przysługuje w Bułgarii każdemu obywatelowi, który posiada kartę łowiecką i jest członkiem Narodowego Związku Łowiecko-Rybackiego. Prawo polowania dla cudzoziemców określają odrębne przepisy. Warunki i procedurę uzyskania karty łowieckiej określają odpowiednie przepisy władz. Ustawa gwarantuje bezpłatne wydanie kart łowieckich dla funkcjonariuszy służby terenowej leśnej, łowieckiej i rybackiej.

Bezpłatne piętnastodniowe w każdym roku karty łowieckie otrzymują uczniowie szkół leśnych i praktykanci poszkolni.

Posiadanie broni myśliwskiej bez karty łowieckiej jest dopuszczalne z zastrzeżeniem warunku, że broń ta będzie przez właściwe władze opieczętowana w sposób uniemożliwiający jej użycie.

Drobną stosunkowo w całości zagadnień łowieckich kwestię ustawa reguluje w sposób zdecydowany. Postanawia mianowicie, że psy myśliwskie mają być wolne od wszelkiego rodzaju opodatkowania. Wskazuje to zarówno na znaczenie psa dla sposobów polowania, powszechnych w Bułgarii, jak i na właściwe podejście państwa do sprawy propagandy hodowli psa myśliwskiego.

Rozdział III ustawy, o nadzorze nad gospodarką łowiecką, oddaje władzę państwową w tej dziedzinie ministrowi Rolnictwa i Lasów. Dodać należy, że w 1948 r. nie istniało jeszcze w Bułgarii odrębne ministerstwo Leśnictwa. Następnie uprawnienia ustawowe w dziedzinie łowiectwa przeszły automatycznie na ministra Leśnictwa.

Organem wnioskodawczym i opiniodawczym w sprawach łowiectwa przy ministrze jest Rada Łowiecka, funkcjonująca pod przewodnictwem wiceministra i złożona z naczelnika wydziału łowiectwa w Ministerstwie Leśnictwa, głównego inspektora łowiectwa i dwu przedstawicieli delegowanych przez Narodowy Związek Łowiecko-Rybacki.

Nadzór nad przestrzeganiem prawa łowieckiego sprawują z ramienia ministra Leśnictwa: straż leśna, milicja, straż polna i straż łowiecka, personel administracji leśnej, organy Gminnych Rad Narodowych, funkcjonariusze ochrony celnej i akcyzowej, a także wszyscy członkowie

Narodowego Związku Łowieckiego i Związku Ochrony Przyrody.

W wypadku stwierdzenia wykroczeń łowieckich przedstawiciele wszystkich wymienionych tu organów państwowych i organizacji są obowiązani do sporządzania odpowiednich protokułów, opatrzonych podpisami świadków oraz obwinionych. Protokuł taki służy jako podstawa do wdrożenia postępowania karnego. Szczegółowe przepisy procedury dochodzeniowej i karnej są określone przez rozporządzenie wykonawcze do ustawy, a także przepisy o postępowaniu w sprawach karnych.

Jak widać, ustawodawca bułgarski nałożył na bardzo liczny i rozmaity zastęp obywateli ścisły obowiązek czynnego udziału w akcji zwalczania wykroczeń łowieckich. W naszych warunkach obowiązek ten dotyczy tylko bardzo ogólnikowo i w sposób pośredni urzędników państwowych z tytułu obowiązku przestrzegania ogólnej zasady poszanowania prawa, oraz wyłącznie już obowiązek moralny i organizacyjny dla członków Polskiego Związku Łowieckiego. Subiektywnie rzecz traktując, rozwiązanie sprawy przez ustawodawstwo bułgarskie wydaje nam się bardziej właściwym i znacznie korzystniejszym dla interesów łowiectwa, jak i samego autorytetu prawa łowieckiego.

Sprawy hodowli zwierzyny potraktowane są w ustawie bardzo ogólnikowo i fragmentarycznie. Mówi się tam tylko o tym, że na terenie państwa będą założone i prowadzone trzy rodzaje ośrodków gospodarki łowieckiej. Ośrodki te w przeniesieniu na stosunki panujące u nas moglibyśmy określić, jako:

1. Farmy hodowlane zamknięte, dla sztucznej hodowli zwirzyny na potrzeby przemysłowe (futerkowe), zasilenia innych terenów łowieckich, produkcji ras i odmian oraz badań naukowych.

2. Gospodarstwa łowieckie otwarte, w naszym rozumieniu tego słowa, w których będą stosowane wszelkie zabiegi hodowlano-łowieckie, jak: dokarmianie, odstrzały selekcyjne, odświeżanie krwi, regulowanie liczebności pogłowia.

3. Tereny łowieckie, na których ma być stosowany odstrzał planowy pod względem ilościowym, a także w pewnym stopniu jakościowy. Te ostatnie dzielą się na tereny łowieckie zwierzyny grubej i zwierzyny drobnej.

Tyle o zasadach hodowli zwierzyny w ustawie łowieckiej.

Nie można powiedzieć, aby było to zbyt wiele. Aby to nawet było niezbędne minimum.

Rozporządzenie wykonawcze dodaje do tego pewną ilość szczegółów. Określa więc, że gospodarstwa łowieckie określone pod p. 2 mogą być urządzane jako stałe, tj. na okres dłuższy, niż lat 10, lub jako czasowe — na okres krótszy.

Widzimy z tego, że gospodarka łowiecka w takim rozumieniu, w jakim stosuje się, lub przynajmniej stosować powinna u nas na terenie całego kraju, w Bułgarii jest określona ustawowo jedynie dla terenów wybranych, na niewielkim obszarze i o charakterze niejako wyjątkowym. Generalną zasadą dla obszaru całego kraju jest jedynie eksploatacja zwierzostanów, regulowana przez państwo rozmiarem odsztrzału i terminami ochronnymi oraz utrudnieniami w formie zakazu pewnych sposobów polowania.

Dla prowadzenia ośrodków hodowli zwierzyny i gospodarki łowieckiej ustawa przewiduje różne formy pomocy ze strony państwa. Gwarantuje więc bezpłatne przydzielenie terenów ze strony państwowych władz administracji rolnej i leśnej, bezpłatny wydatek paszy z lasów państwowych, jak również drewna na budowę ogrodzeń, paśników i innych urządzeń gospodarczo-łowieckich, przydział terenów pod pólka łowieckie, ograniczenia lub całkowity zakaz wypasu bydła na terenach wydzielonych dla zagospodarowania łowieckiego.

Szczególnie duży nacisk kładzie ustawa na sprawę zwalczania szkodników łowieckich, nakładając w tym względzie zupełnie określone obowiązki na myśliwych.

Niszczenie zwierząt określonych ustawowo, jako szkodliwe dla zwierzostanów, jest określone, jako obowiązek wszystkich posiadaczy kart łowieckich. Zarządzenie ministra Leśnictwa określa corocznie kontyngent drapieżników, których zniszczenie obowiązuje każdego myśliwego. Bez wykazania się wypełnieniem tego kontyngentu myśliwy nie otrzyma przedłużenia karty łowieckiej na rok następny.

Wilki, jastrzębie, sokoły, sroki i siwe wrony są uznane przez ustawę jako zwierzęta szczególnie szkodliwe. Dopuszczalne i zalecone jest tępienie ich wszelkimi sposobami i państwo wyznacza specjalne nagrody pieniężne za każdą ubitą sztukę, zarówno indywidualnie przez myśliwego, jak i na polowaniach zbiorowych i obławach specjalnych, jakie organizowane są np. na wilki. Podobne nagrody wypłacane są za zniszczenie gniazd i młodych wymienionych zwierząt. Osoby, wykazujące się szczególnie dużymi wynikami tępienia szkodników, mogą uzyskać specjalne nagrody i odznaczenia przyznane przez państwo.

Straż leśna polna i rybacka może otrzymać specjalne zezwolenie władz na strzelanie szkodników z broni myśliwskiej. Zezwolenie to nie zastępuje karty łowieckiej i nie upoważnia do uprawiania polowania.

Władze państwowe mogą zarządzać urzędowe obławy na szkodniki łowieckie. Ustawa przewiduje obowiązek uczestniczenia w urzędowych obławach wszystkich myśliwych danego okręgu do lat 50-ciu oraz osób wyznaczonych do naganki w wieku lat 18 — 40. Niestawiennictwo w takich wypadkach jest karane tak, jak przekroczenie przepisów ustawowych.

Handel zwierzyną i jej częściami jest przedmiotem dość obszernie potraktowanych postanowień ustawy.

Generalną zasadą ustawową jest, że zwierzyna upolowana w sposób prawidłowy jest wyłączną własnością myśliwego, który ją ubił. Myśliwy może ubitą zwierzynę według swobodnego uznania zużyć na własne potrzeby, sprzedać, lub podarować, z zachowaniem oczywiście obowiązujących przepisów proceduralnych.

Za ubitą zwierzynę grubą myśliwy opłaca do skarbu państwa odpowiednią taksę cennikową, co jest konsekwencją faktu, że zwierzyna, jako taka, jest przez prawo uznana za własność państwa i obowiązkiem państwa jest ponoszenie kosztów hodowli i ochrony zwierzostanów.

Zwierzyna i skóry zwierząt łownych dopuszczone są do obrotu handlowego po uprzednim ich oznakowaniu przez właściwą władzę, przyczym sprawdza sę legalność pochodzenia zwierzyny.

Skup skór zwierzyny łownej jest monopolem państwa. Postanowienie to nie dotyczy skór zwierzyny, które myśliwy przeznacza na własny

użytek. W tym zakresie myśliwy nie jest skrępowany żadnym zakazem, ani ograniczeniem. Wyprawa skór przeznaczonych na własny użytek myśliwego jest dopuszczalna bez ograniczeń z zastrzeżeniem jedynie prawidłowego oznakowania skór tak, jak obowiązuje to dla obrotu handlowego.

Każdy myśliwy jest obowiązany do prowadzenia rejestru ubitej zwierzyny, drapieżników oraz odbytych polowań. Rejestry takie w formie sprawozdań oraz wszelkie żądane przez władze materiały statystyczne jest obowiązany przedkładać w terminach i w formie określonej odpowiednimi przepisami. Nie zastosowanie się do tego postanowienia ustawy jest również ścigane sankcjami karnymi, odpowiednio określonymi.

Rozdział o karach za przekroczenie ustawy łowieckiej jest rozdziałem ustawy bardzo obszernym. Dość powiedzieć, że na 50 artykułów ustawy na postanowienia karne przypada ich 27.

Kary stosowane są naogół w wymiarze wysokim. Są to z reguły kary pieniężne. Kary aresztu lub więzienia wymienione są w ustawie stosunkowo rzadko i za wykroczenia szczególnie ciężkie w rozumieniu stosunków łowieckich Bułgarii. Wogóle uważne przestudiowanie rozdziału ustawy o karach daje bardzo interesujące naświetlenie sytuacji bułgarskiego łowiectwa i tych jego dziedzin, które wymagają szczególnej uwagi państwa i opieki prawa.

Najwyższe normy karne stosowane są względem osób polujących bez karty łowieckiej (15.000 — 20.000 lewów) oraz za bezprawne ubicie: jelenia, łani, kozicy i sarny (50.000 — 100.000 lewów lub do roku więzienia lub obie kary łącznie). Rzuca to charakterystyczne światło na sytuację hodowlaną i stan pogłowia tej zwierzyny. Podobnie wysokie kary (10.000 — 20.000 lewów) wymierzane są za bezprawne ubicie dzika.

Jako bezprawne ubicie zwierzyny ustawa uznaje w równym stopniu polowanie bez karty łowieckiej, jak polowanie w czasie zakazanym i w obu wypadkach wymierza równy stopień kary.

Przekroczenie normy odstrzału ilościowego zwierzyny przez myśliwego, która w pewnych wypadkach jest ustalana przez władze, jest traktowane tak, jak polowanie w czasie niedozwolonym.

W wypadku schwytania młodych jeleni, sarn lub kozic istnieje obowiązek dostarczenia ich w ciągu 2 tygodni do najbliższego organu administracji leśnej lub kółka łowieckiego. Niedopełnienie obowiązku jest karane grzywną 5.000 — 10.000 lewów i w każdym wypadku konfiskatą zwierzęcia.

Rozmyślne uszkodzenie jakichkolwiek urządzeń hodowlano-łowieckich jest karane grzywną 3.000 — 10.000 lewów, a w każdym wypadku uszkodzenia obowiązuje pokrycie kosztów jego naprawy.

W wypadkach przekroczeń kilku różnych artykułów ustawy, kary ulegają kumulacji. W wypadku powtórnego przekroczenia ustawy łowieckiej w okresie krótszym od lat dwu wymierza się następną karę dwukrotnie wyższą niż jest przewidywana ustawowo dla danej kategorii wykroczenia.

Bezprawne posiadanie broni nieopieczętowanej przez osobę nie posiadającą kary łowieckiej jest karane stosunkowo łagodnie grzywną 2.000 — 5.000 lewów.

Grzywny pieniężne za przekroczenia łowieckie są wymierzane w trybie administracyjnym przez organy administracji leśnej z upoważnienia ministra Leśnictwa na podstawie protokułów określających wykroczenie. W wypadku przestępstwa, za które ustawa przewiduje karę pozbawienia wolności, protokuły przekazywane są do prokuratora dla wdrożenia postępowania sądowego.

Od decyzji administracyjnej, orzekającej grzywnę powyżej 5.000 lewów służy ukaranemu prawo odwołania do sądu.

Scharakteryzowany w ten sposób pokrótce system kar zastosowany przez ustawodawstwo łowieckie oddaje wyraźnie intencję ustawodawcy, która zmierza do maksymalnego zabezpieczenia bytu zwierzyny grubej, której pogłowie i jakość są w Bułgarii bardzo niskie i do ograniczenia zakresu eksploatacji zwierzostanów, dla zapobieżenia nadmiernemu ich wyniszczeniu.

Wysoce charakterystycznym jest brak w ustawie wszelkiego określenia odpowiedzialności za szkody wyrządzane przez zwierzynę. Obowiązek takiego odszkodowania w Bułgarii nie jest wogóle znanym. Zapewne przyczyną takich stosunków jest przede wszystkim fakt małej liczebności zwierzyny, która szkody wyrządza, tj. jeleni i dzików, o czym zresztą już pisaliśmy na łamach Łowca Polskiego.

Ustawa nie obejmuje również postanowień co do kwesii zrzeszania się myśliwych, charakteru i roli Narodowego Związku Łowiecko-Rybackiego. Przynależność do tej organizacji jest warunkiem niezbędnym dla uzyskania karty łowieckiej, jednakże warunek ten nie jest określony ustawą ale przepisami administracyjnymi. Narodowy Związek Łowiecko-Rybacki nie jest również zależnym od władz państwowych, tj. ministerstwa Leśnictwa, a jest z nim powiązany jedynie przez swych delegatów do Rady Łowieckiej przy ministrze Leśnictwa, o której mówiliśmy wyżej.

Rozporządzenia wykonawcze do ustawy określają jedynie organizację służby łowieckiej i straży łowieckiej.

Organizacja łowiectwa w Bułgarii, tj. Narodowego Związku Łowiecko-Rybackiego i towarzystw łowieckich stanowią już zagadnienie odrębne i musiałaby być przedmiotem specjalnego omówienia.

Pamiętajmy, że strzał na wodzie powoduje niebezpieczne rykoszety

---

HENRYK ZAPOLSKI

Czy można samemu ułożyć wyżła?

Ułożenie samemu wyżła nie jest zbyt trudne, wymaga tylko trochę cierpliwości. Posiadanie ułożonego wyżła jest przeto dostępne każdemu myśliwemu.

Wielu myśliwych mniema, że ułożenie wyżła jest możliwe tylko dla zawodowego trenera, że tylko wyżły układane przez trenerów są coś warte. Przekonanie takie powstaje zwłaszcza po przeczytaniu „fachowych" dzieł, hołdujących systemowi tresury „par force" (przez siłę).

Gdy się tam czyta o pozwalaniu młodemu wyżłowi hasać samopas, ganiać zające itp. dla umożliwienia mu lepszego rozwoju fizycznego, a później czyta się o batożeniu dla przełamania narowów nabytych przez takie początkowe wychowanie, gdy się czyta o potrzebie umocowania w podłodze przy ścianie kółka żelaznego dla przeciągania linki od obroży, ażeby tą linką przyciągnąć do podłogi i ściany bitego psa, (ażeby katowany nie rzucił się na swego „nauczyciela") i dalszym biciem przełamać opór, zmusić do uległości, wybić z psa jego indywidualność — nic dziwnego, że dochodzi się do wniosku o niedostępności układania wyżła przez przeciętnego myśliwego.

Tresura „par force" traktuje psa jako stworzenie pozbawione zdolności myślenia i przeżywania uczuć, jako stworzenie posiadające instynkt myśliwski po to tylko, ażeby na podłożu tego instynktu wrodzonego można było stworzyć z psa maszynę do wykonywania czynności potrzebnych na polowaniu.

Jeżeli jednak będziemy uważali psa za istotę podobną do człowieka (co jest jedynie słuszne), a różniące się głównie niższym rozwojem sił umysłowych, jako istotę zdolną do myślenia i przeżywania uczuć, zagadnienie tresury przedstawi się nam w odmiennym świetle — zrozumiemy, **że nie biciem układa się wyżła, lecz daniem mu do zrozumienia, czego się od niego wymaga,** co powinien czynić i czego czynić mu nie wolno. W tym zrozumieniu i ujęciu układanie wyżła stanie się dostępne dla każdego myśliwego. Być może układany przez nas wyżeł nie będzie posiadał wszystkich cech wymaganych przy konkursowych próbach polowych, lecz będzie posiadał to, co jest przeciętnie praktycznie potrzebne myśliwemu na polowaniu.

Decydując się na osobiste układanie wyżła musimy przede wszystkim uświadomić sobie, jakiej pomocy wymagamy od niego na polowaniu, i że nie należy wymagać zbyt wiele. Duszenie małych drapieżników, tropienie postrzelonej grubej zwierzyny i oszczekiwanie jej, „anonsowanie", to znaczy, wyszukiwanie zwierzyny, wrócenie do myśliwego i prowadzenie go do niej, są to rzeczy, bez których można obejść się zupełnie. Wystarczy gdy wyżeł dobrze szuka, dobrze wystawia i podaje ubitą lub postrzeloną zwierzynę. Są to trzy niezbędne, lecz najzupełniej wystarczające czynności wyżła dla osiągnięcia przez myśliwego zadowolenia i dobrych wyników na polowaniu. Hodując wyżła od szczenięcia i układając go, postępujemy tylko tak i o tyle ażeby posiadł wymienione trzy umiejętności oraz unikamy wszelkiego, co nie prowadzi do osiągnięcia tych umiejętności a może prowadzić do przetresowania, a przez nie zaś do zabicia indywidualności psa. Należy mieć na uwadze, że **najlepiej pies wykonuje taką wymaganą przez nas umiejętność, do której** dochodzi **własnym rozumem.**

Gdy nabywamy wyżła, powinniśmy przede wszystkim starać się o psa rasowego, dobra bowiem rasa gwarantuje posiadanie wrodzonych zalet, przez co ułatwia układanie. Ma to znaczenie zwłaszcza odnośnie zdolności wystawiania, co do której dziedziczne właściwości bardzo dużo znaczą, gdyż wystawianie jest wyrobione u wyżła przez człowieka sztucznie, a następnie jest przekazywane potomstwu drogą dziedziczenia cech nabytych. Z tego ostatniego względu należy też, obok rasy, zwracać uwagę czy przodkowie wyżła, szczególnie rodzice, odznaczają się potrzebnymi zaletami.

Ważnym momentem w układaniu wyżła jest przywiązanie, jakim pies powinien obdarzać swego wychowawcę, gdyż łatwiej wówczas podporządkowuje się mu. Osiąga się to przywiązanie przez troskliwe opiekowanie się psem i łagodne obchodzenie się z nim. Duże znaczenie ma przy tym osobiste karmienie młodego psa przez myśliwego, przez żołądek bowiem do serca trafia się nie tylko u zwierzą, łagodne traktowanie nie oznacza jednak rozpieszczania psa. Pies winien znać swe miejsce i rygor. Bicie może być stosowane, lecz bardzo rzadko, tylko przy dużym zawinieniu, gdy widzimy, że pies rozumie, czego od niego wymagamy, a mimo to nie chce przez upór wykonać. Pies powinien rozumieć za co jest karany. Samo karanie ma na celu nie tyle przyprawienie bólu, ile danie psu do zrozumienia, że źle uczynił, i że jest się z niego niezadowolonym. Przez łagodne obchodzenie się wyrabiamy w psie łagodny charakter, dzięki któremu pies staje się bardziej uległy.

Obcując z psem należy do niego mówić, gdyż pies potrafi rozumieć wiele wyrazów. Mówi się do psa, używając wyrazów prostych. Ułatwi to zrozumienie ich znaczenia. Do rozkazywania lub nazwy psa należy dobierać słowa krótkie i dźwięczne, dosłyszalne na większą odległość. Są to wyrazy o przewadze samogłosek.

Układanie wyżła dzieli się na dwie fazy: układanie wstępne i układanie polowe.

Wyżeł pies nadaje się do polowania dopiero po osiągnięciu około 1 roku wieku, suka po osiągnięciu około 10 miesięcy, gdyż suki prędzej dojrzewają. Do wstępnej tresury przystępujemy jednak wcześniej, gdy wyżeł ma już około 5 miesięcy.

Przede wszystkim uczymy posłuszeństwa. Do wyrobienia posłuchu służy nauczenie psa przychodzenia na zawołanie słowem lub gwizdem. Uczymy tego, wynagradzając psa głaskaniem lub smakołykiem za usłuchanie rozkazu, karceniem zaś słownym za nieusłuchanie. Bicia stosować nie wolno, gdyż odstraszając psa od zbliżania się, raczej oduczałoby się od posłuszeństwa. Można natomiast doprowadzać przemocą.

Również do wyrobienia posłuszeństwa służy uczenie psa chodzenia przy nodze na smyczy, a później bez smyczy. Wyżeł, idąc z myśliwym, musi zawsze iść przy jego nodze. Wyżeł powinien czuć się związany wewnętrznie z myśliwym. Wówczas będzie posłuszniejszy i na polowaniu nie będzie odbiegał zbyt daleko, będzie rozumiał, że musi pilnować myśliwego. Prowadzi się wyżła u lewej nogi tak, ażeby nie wybiegał

przed prowadzącego. Idąc na smyczy, pies nie powinien ciągnąć. Ażeby psa do tego przyzwyczaić lub oduczyć od ciągnięcia, można zastosować smycz ze ściąganą pętlą, dławiącą szyję lub z obrożą z koralami, które przydadzą się też w polu, o czym będzie mowa. Gdy idzie się z wyżłem na spacer, nie należy pozwalać mu biegać swobodnie i uganiać się za innymi stworzeniami. Biegać swobodnie wyżeł może tylko na podwórzu. Przyzwyczajenie się wyżła do swobodnego hasania utrudnia opanowanie go później w polu. Należy pamiętać, że wyżeł nie jest psem gończym, od którego nie wymaga się wystawiania zwierzyny. Iść przy nodze powinien pies na rozkaz: „do nogi". Tego też zwrotu używamy, gdy chcemy przywołać psa zupełnie blisko siebie.

Wreszcie do wyrobienia posłuchu służy nauka warowania. Kładąc psa brzuchem na ziemi, z łapami przed nimi wyciągniętymi przed siebie i pyskiem ułożonym pomiędzy łapami, każemy tak leżeć aż do pozwolenia wstania. Mówiąc: „waruj", początkowo układamy psa przemocą i przemocą utrzymujemy w tej pozycji. Gdy pies wykona żądanie, przywolujemy do siebie i wynagradzamy. Przy pierwszych lekcjach nie wymaga się długiego leżenia, stopniowo jednak przedłużamy warowanie do kilkunastu minut. Z czasem pies nauczy się leżeć tak długo, dopóki nie pozwolimy mu wstać, co można będzie wykorzystać do pilnowania rzeczy. Gdy pies na rozkaz słowny będzie sam się kładł, zaczynamy równocześnie z tym rozkazem podnosić do góry wyciągniętą rękę i stopniowo przyuczamy psa do kładzenia się na sam znak ręką. Dobrze też jest, dając psu smakołyk, kazać przed tym położyć się i dopiero wówczas dać. Pies nauczy się nawet prosić tym sposobem o jedzenie, a samo kładzenie się straci charakter przymusu i pies będzie chętniej go wykonywał, należy zaś pamiętać, że kładzenie się na rozkaz słowny lub na znak dany ręką służy nie tylko do wyrobienia posłuszeństwa, lecz, co ważniejsze, służy też do powstrzymania psa w polu, gdy odbiegnie zbyt daleko lub gdy będziemy chcieli położyć go w czasie stójki, ażeby nie spłoszył zwierzyny i czekał spokojnie aż zbliżymy się. Mając na uwadze tę ostatnią potrzebę, ćwiczymy z wyżłem kładzenie się nie tylko w mieszkaniu, lecz i na podwórzu lub na spacerze w polu.

Jednym z zasadniczych obowiązków wyżła jest podawanie ubitej zwierzyny. Psy niewyuczone same tego nie wykonują. Psy dorosłe z trudem uczą się podawania. Natomiast bardzo łatwo wyżeł uczy się podawania w wieku szczenięcym w drodze zabawy z nim, gdy rzucamy kawałek drewienka lub inny odpowiedni przedmiot. Wprawdzie wówczas pies niechętnie oddaje pochwycony przedmiot i zazwyczaj gryzie go, lecz od tych nawyków daje się oduczyć. Gdy pies nie oddaje przyniesionego przedmiotu i gryzie go, pokazujemy mu smakołyk, którym chcemy go wynagrodzić, a wówczas odda z łatwością. Nie można tylko pozwalać, ażeby rzucał na ziemię. Przyniesiony przedmiot wyżeł powinien podawać do rąk, sam przy tym siadając. Tego należy przestrzegać. Na polowaniu przyuczamy psa do brania zwierzyny całym pyskiem, z góry za grzbiet, do niegryzienia podawanej sztuki, którą musi przynosić do rąk, jak w czasie tresury. Bez rozkazu wyżeł nie powinien podawać, aczkolwiek nie jest dużą wadą, gdy czyni to samorzutnie, nie czekając rozkazu, czym niekiedy ułatwia i przyśpiesza odnalezienie postrzałka. Postrzelonego ptaka wyżeł powinien podawać żywego, nie dusząc.

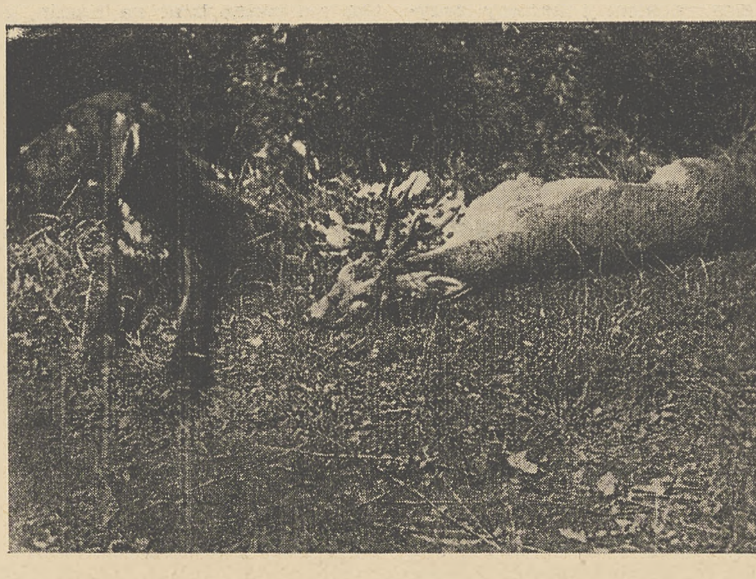
Obok uczenia się podawania młody wyżeł uczy się równocześnie szukania rzucanego przedmiotu. Należy stopniowo utrudniać mu to szukanie i nie pozwalać na zaniechanie szukania, zanim nie znajdzie i nie poda. Wyrabia to u wyżła przyzwyczajenie do starannego szukania na polowaniu zwierzyny żywej lub martwej.

Wreszcie oswajamy młodego wyżła z hukiem wystrzału. Należy czynić to oględnie, ażeby nie wystraszyć go. Pierwsze strzały powinien pies słyszeć z oddalenia. Pozostawiając psa z kimś na smyczy, odchodzimy na jakieś 100 lub więcej kroków i dopiero wówczas strzelamy. Po kilku takich próbach strzelamy na bliższej odległości, aż spostrzeżmy, że pies nie zdradza obawy. Nigdy jednak nie strzelamy przy wstępnym układanu nad samym psem, dopóki na polowaniu nie pojmie znaczenia strzału. Wystraszony pies będzie po usłyszeniu strzału uciekał i nie da się od tego oduczyć.

Na nauce przychodzenia na zawołanie, chodzenia u nogi, warowania, podawania i oswajania się z hukiem wystrzału kończy się wstępne układanie wyżła.

Z chwilą gdy pies będzie miał niespełna rok, a suka 10 miesięcy, rozpoczynamy układanie w polu. Jednak nie całkowity kurs tego układanie początkowe należy przeprowadzić przed sezonem polowań, bez strzelby, ażeby swego zainteresowania nie rozpraszać i mieć uwagę całkowicie skupioną na psie.

Wyprowadzamy psa w pole przy nodze i tak też wracamy z pola. Do układania w polu potrzebna jest zwierzyna dobrze dotrzymująca przed psem. W naszych przeciętnych warunkach są to młode kuropatwy. W polu bierzemy wyżła na otok długości około 25 m i każemy mu szukać, mówiąc: „szukaj". W czasie nauki szukania idziemy przed



Norma i ósmak fot. Z. Kowalski

siebie a pies powinien biegać przed nami, kolejno w prawo, w lewo, co dajemy mu do zrozumienia przez chwilową zmianę kierunku osobiście i wskazywanie kierunku ręką. Zrozumienie przez wyżła znaczenia wskazówki ręką jest szczególnie korzystne, gdy później na polowaniu nie możemy sami wejść w teren, a chcemy pokazać psu w jakim kierunku ma szukać zwierzyny lub znaleźć postrzałka. Dobrze pracujący w polu wyżeł powinien szukać, biegając galopem, kolejno w prawo i w lewo na odległość do 100 — 150 kroków w każdą stronę i do 100 kroków przed myśliwym. Prowadząc na otoku, nie możemy puszczać psa na taką odległość. Dopiero później pozwalamy chodzić na większej odległości. Szukanie przez wyżła zbyt blisko myśliwego i w tempie powolnym, co niekiedy zdarza się przy przetresowaniu lub braku temperamentu, jest dużą wadą, gdyż prowadzi w istocie rzeczy do szukania i wypłaszania zwierzyny przez samego myśliwego. Jeżeli wyżeł szukając bez otoka, odbiegnie zbyt daleko, każemy mu głosem lub podniesioną ręką położyć się i czekać aż podejdziemy. Należy zawsze podchodzić do psa tak, ażeby ten widząc, że idziemy ku niemu, spokojnie leżał i czekał. Wyrabia to w wyżle przyzwyczajenie do czekania na myśliwego podczas wystawiania zwierzyny.

Skoro prowadzony na otoku wyżeł znajdzie zwierzynę i wystawi ją, podchodzimy bliżej, skracając otok w ręku a doszedłszy do psa na jakieś 10 — 15 kroków każemy iść dalej, mówiąc: „dalej". Wyżeł powinien ruszyć z miejsca i wypłoszyć zwierzynę. Jeżeli z chwilą porwania się zwierzyny pies chciałby gonić ją, szarpiemy otokiem i każemy przywarować, dając tym do zrozumienia, że tak czynić nie wolno. Młode wyżły stają nie tylko do zwierzyny, lecz i do skowronków lub innych małych ptaków. Później jednak na polowaniu wyżeł sam zrozumie, że należy szukać i wystawiać tylko zwierzynę. Gdy się spostrzega, że pies nie może zrozumieć, że porywającej się do ucieczki zwierzyny nie wolno gonić i wciąż usiłuje to czynić, zakładamy otok z pętlą na szyję, tak żeby dusiła, gdy otok jest silnie naciągany, a gdyby i to nie poskutkowało, używamy obroży z kolcami (z tępymi gwoździami, wystającymi z 3 — 4 kłódek, nadzianych na obrożę w kształcie duszącej pętli). Choć taka obroża może wydawać się narzędziem tortury, lecz w istocie jest środkiem łagodnym, prowadzącym wyżła do łatwiejszego zrozumienia czego od niego wymagamy, środkiem o wiele łagodniejszym niż bicie. Obrożę z kolcami, lecz bez otoka, można zakładać wyżłowi na cały czas polowania, ażeby pamiętał, że nie wolno gonić zwierzyny, na otok zaś bierzemy wyżła wówczas, gdy jest na tropie zwierzyny. Można też psu zbyt gorącemu założyć na polowaniu w polu otok na stałe (lecz ze zwyczajną obrożą), tak, ażeby pies ciągnął go za sobą. Sznur ciągniony przez psa, hamuje go, przypomina, że jest uwiązany i nadto umożliwia myśliwemu łatwiejsze powstrzymywanie. Jeżeli otok jest szybko ciągniony przez psa, nie należy sznura chwytać ręką, gdyż zetnie skórę do krwi, należy tylko nadepnąć nogą. Gdy pies wystawia, nie należy też brać na polowaniu sznura w rękę lub przywiązywać do pasa, bo szarpnięcie psa uniemożliwi celny strzał. Na polowaniu powinien trzymać otok ktoś będący obok myśliwego.

Młodego wyżła (w pierwszym polu) nie wolno brać na kaczki, gdyż kaczka nie dotrzymuje przed psem i wycieka. Młody wyżeł goniąc za nią uczy się zrywać stójkę. Dopiero później wyżeł zrozumie różnicę pomiędzy zwierzynę dotrzymującą, a nie dotrzymującą.

Stójka wyżła powinna być „twarda", lecz nie „martwa". To znaczy, jeżeli zwierzyna dotrzymuje, powinien stać w miejscu aż do czasu zbliżenia się myśliwego i otrzymania rozkazu ruszenia dalej, gdy zaś zwierzyna wycieka, jak np. stare koguty cierzewie lub kuropatwy w stadzie późną jesienią, wyżeł powinien ostrożnie posuwać się za nią. Wyżeł o stójce „martwej" nie idzie za wyciekającą zwierzyną. Stare cietrzewie, koguty uciekają tak szybko, że taki wyżeł nie nadąży, a zaś kogut odbiegnie i zerwie się poza zasięgiem strzału.

Jak widzimy, układanie wyżła nie jest skomplikowane, nie jest niczym nadzwyczajnym i nie wymaga szczególnych umiejętności. Podane sposoby podejścia do wyżła i układania go potrafi każdy myśliwy odpowiednio do swych warunków przystosować, a nawet ulepszyć, traktując je jako wskazówki zasadnicze.

Dobry wyżeł jest dla myśliwego na polowaniu niezastąpionym pomocnikiem: wyszuka zwierzynę, wystawi, wypłoszy kaczkę z szuwarów, odnajdzie i przyniesie zastrzeloną sztukę, odnajdzie, złapie i przyniesie postrzałka. Polowanie na ptactwo z wyżłem daje lepsze rozkłady. Dobrze ułożonego, karnego wyżła możemy brać na polowania w polu i z naganką w lesie; w polu idzie przy nodze, w lesie leży obok myśliwego, i tu i tam złapie i przyniesie postrzelonego zająca. Potrzebny jest też wyżeł na ciągach słonek i na przelotach kaczek, gdyż o zmroku odnalezienie bez psa zabitej sztuki jest trudne, a postrzelonej niemożliwe. Prawdziwe polowanie na ptactwo, polowanie w całym tego słowa znaczeniu, to polowanie z wyżłem.

ALEKSANDER DANILCZUK

Z PRZYNĘTĄ

Wielkie zainteresowanie się myśliwych i nie myśliwych „Gawędami łowieckimi" („Nad brzegami Sujfunu" i „W Ussuryjskiej Tajdze") Aleksandra Danilczuka, które opracowałem literacko i przygotowałem do druku w roku 1947, spowodowało, iż zacząłem się dalej grzebać w stercie pozostałych rękopisów. Udało mi się z jeszcze bardziej zresztą niekompletnych i mocno podniszczonych kartek zestawić kilka opowiadań, z których jedno pt. „Z przynętą" oddaję do rąk czytelników Łowca Polskiego, by mogli znów zetknąć się z egzotycznym światem łowieckim i daleką tajgą.

Zbigniew Kowalski

W POŁOWIE grudnia r. 1889 mocniej przymroziło, przez parę dni dął ostry północny wiatr. Z dróg i placów ćwiczebnych śnieg zwiało zupełnie. Grunt stał się miejscami śliski, miejscami wystąpiła ostra gruda. Należało pomyśleć o przekuciu koni na ostre hacele. W asyście wachmistrza i starszego podkuwacza przeglądałem pluton po plutonie, kiedy zameldowano mi, że „jakiś z tajgi" chce uzyskać u mnie niezwłocznie „audiencję".

Kazałem go wołać. Do ujeżdżalni wkroczył znajomy chłop, chudy jak szczapa, podobny dwumetrowej tyce, z grymasem wiecznej trwogi na pooranej przedwczesnymi zmarszczkami twarzy.

— Zdrowia życzę!

—Jak się macie Onufry? A z czym przychodzicie? — przywitałem go przyjaźnie.

— Zwierza mam dla was...

— Od Pawła?

— Na ten raz od siebie.

— No i cóż tam wytropiliście dobrego? — zapytałem z niedowierzaniem.

— I tropić nie trzeba było... Sam przyszedł i przez dwie noce się ciągiem melduje...

— Gadajcie co za zwierz, bo jak widzicie czasu nie mam.

— Dokładnie wytłumaczyć nie potrafię, bo trop należycie rozeznać trudno. Ale będzie to tęgi bars albo drobniejszy tygrys. Ale, że kot to na pewno.

— Biegnijcie zatem do Fedi, żeby was nakarmił a przy herbacie zaczekajcie tam na mnie...

Onufry widać był mocno głodny, bo bardzo pośpieszał w kierunku mojej kwatery.

Nieznośnie długo wlókł mi się czas przeglądu tych nieszczęsnych kopyt. Jak zwykle w takich wypadkach pan wachmistrz był nazbyt elokwentny, a podkuwacz popisywał się obszernymi wiadomościami ,zaczerpniętymi na dorocznym kursie. Ale służba nie drużba. Choć wątroba puchła mi ze złości, a ciekawość wyciskała z mej skóry zimne poty, musiałem wytrwać do końca. Dobre dwie godziny minęły od rozmowy z Onufrym, zanim skończyłem z przeglądem i, na wszelki wypadek, wydałem podporucznikowi K. dyspozycje, dotyczące poobiednich zajęć w szwadronie.

Nareszcie szybkim krokiem dobiegłem do domu. Onufry już czekał na mnie w przedpokoju.

— Opowiadajcie teraz, gdzie, co i jak, bo czasu nie wiele pozostało do wieczora.

— Zaraz wszystko po porządku zamelduję. Było to tak: wczorajszego ranka przybiegł do mnie Koreańczyk Wan-Cap. Koło jego futoru przejeżdżałeś, wasza miłość, nie raz, jadąc do Pawła, a będzie to ze sześć wiorst drogi od Kluczowej Padi*). Powiada on do mnie: „Ty Onufry jakiego kapitana**) do mnie sprowadź, bo na futor duży kot przychodzi. Dzisiejszej nocy — powiada — dach w przybudówce rozwalił i prosiaka wyniósł. Trzeba mu — powiala — zrobić czykiczyki***), bo jak się znęci... zrujnuje mnie ze szczętem.

Nie miałem czasu wczoraj do niego skoczyć i sprawdzić czy to prawda, bo na zrębie obiórkę kloców kończyłem. Dziś o świcie wybrałem się do niego. W pół drogi spotykam Lin-Capa, syna starego Capa, żonatego już, który w oddzielnej fanzie mieszka. Przywitał się i powiada: „Do ciebie biegnę szybko. Chudo*) na naszym futorze się dzieje. W nocy znowu łamaza**) przechodził i moją sukę zabrał".

Przybiegłem z nim na futor, widzę, Koreańczycy rzetelną prawdę mówią. Trop wyraźny na śniegu znać, łapa kocia. Dach nad przybudówką rozwalony i farbą mocno zbroczony, widać, że prosiaka zarznął i tamtędy wyniósł. Za Lin-Capa fanzą znać jak kot uganiał się za psem, przy samej ścianie go złapał i poniósł... No, mówię do nich, oczekujcie chłopi. Dziś jeszcze wieczorem kapitana tu przyjedzie... jak on nie poradzi, powiadam, łamaza was tu wszystkich wyżre... Wziąłem nogi za pas, no i jestem z meldunkiem.

— I dobrze, mój kochany, zrobiliście. Zaraz jedziemy.

— O zmierzchu trzeba by być na miejscu i zasiąść w sposobnym do strzału kącie. A ja ręczę, że zwierz przyjdzie. Inaczej nie może być, bo mocno przynęcony.

Kazałem Fedce siodłać konie, a sam zasiadłem do drugiego śniadania.

Było już po dwunastej. Odległość do koreańskiego futoru wynosiła około dwudziestu wiorst. Podróż musiała trwać nie mniej niż dwie godziny. O czwartej rozpoczyna się szarówka... Należało się zatem śpieszyć... Naprędce, byle jak, spałaszowałem co było na stole i pośpiesznie się przebrałem. Zanim osiodłano konie i wrzucono do kobur prowizję i termosy, a w sakwy nasypano obroki, byłem już gotów do drogi.

Piekielna to była droga. Jechaliśmy pod ostry północny wiatr, którego podmuchy zrywały ze wzgórz tumany zamarzniętego śnieżnego pyłu i niosły, siekąc niemiłosiernie twarz.

Na dobrze wyjeżdżonej drodze konie ślizgały się i stale skracały krok... Dopiero minąwszy tartak i skręciwszy w dolinę rzeki Czychezy, wydostałem się na nieco wygodniejszą ścieżynę. Musiałem teraz nadrabiać czas, więc spróbowałem ruszyć kłusem.

W czasie takiej drogi można dopiero należycie ocenić, jakim niezastąpionym środkiem lokomocji jest dobry, syberyjski, stepowy wierzchowiec. Na luźno rzuconych wodzach, bez najmniejszej interwencji ze strony jeźdźca, świetnie trzymając drogę, biegnie on równym sporym kłusem. Nie potknie się, nawet nie utknie. Z własnej inicjatywy przechodzi w stęp, by przebrnąć przez sięgające mu po kłęby nawiewy śnieżne. Włazi w te lodowate zwały zgrzany, dymiący parą — nic to — gramoli się z kąpieli cały oszroniony z płatami śniegu na sierści. Potem otrząśnie się tak, że mało jeźdźca z siebie nie zrzuci i rusza znów przed siebie, jakby nigdy nic, równym kłusem dalej i dalej, aż do nowej zapory.

A po tak ciężkiej pracy w terenie nie potrzebuje ciepłej stajni, dery ani nawet dachu nad głową. Rad, jeżeli postawią go na mrozie nie na wydmuchu, a gdzieś w zaciszu. Wtedy zbierze do kupy wszystkie cztery kopyta, opuści łeb ku ziemi i drzemiąc wypoczywa. Można mu podrzucić wiązkę siana, podstawić skrzynkę z obrokiem. Nie dotknie paszy, dopóki zamróz trząść nim nie przestanie. Wiekami, z pokolenia na pokolenie przelewane doświadczenie, od źrebięcia uczy go, że po ciężkim, prawie wilczym gonie, każde pożywienie,

---

*) wąwozu; **) oficera; ***) zabić.

*) bardzo źle.

**) duży kot.

łyk wody czy śniegu, to trucizna, to ochwat, to kalectwo, a za nim niechybna śmierć, zadana przez wilcze kły...

Z mocno podwiązanymi nausznikami mołochaja*), kuląc się i wykręcając twarz od wiatru, brnąc przez śnieżne zaspy z wodzami w ręku, to znów kłusując po lepszej drodze, dotarłem wreszcie do ujścia wielkiego wąwozu, Kluczową Padią zwanego, przez który biegnie ciepły ruczaj. Wiekowy mięszany las, gęsto podszyty, chronił wolne, nieznające lodowych kajdanów wody, przed mroźnymi podmuchami północnych wichrów. Za tę przysługę rodziciele ciepłego strumyka ,rozległe oparzeliska, odwdzięczały się tajdze, wysyłając wody przy sercu matki ziemi ogrzane ,niezbędne jako poidło dla zwierza i zimowisk kaczek. Jak rok długi ,ujście Kluczowej, teren kilkunastu setek hektarów, był i jest dla człowieka nieprzystępny.

Rezerwat ten ufundowała i trwałość jego egzystencji zabezpieczyła sama przyroda. Długie jeszcze lata ,a może i wieki, spokojnie bytujące tu cisy, machonie ,jesiony, hebany, cedry, aksamitki, buki i dęby płodzić będą miliony swych nasionek, a te nowe zarodki prażycia rozniosą wichry i burze hen po wzgórzach i jarach żyznej ussuryjskiej ziemi.

Przeprawiwszy się na prawy wysoki brzeg ruczaju, zatrzymałem konia.

Było jeszcze wcześnie, dochodziła trzecia. Do koreańskiego futoru pozostało nie więcej jak pięć wiorst drogi, pośpiech stał się zbyteczny. Zdecydowałem dać wytchnąć mocno zgrzanym koniom, a samemu rozprostować gnaty i wypalić w zaciszu fajkę.

Zaledwie zsiadłem z konia, Onufry już stał przede mną.

— Niezwyczajny jestem na szkapie bebechy wytrząsać. Pozwólcie mi łaskawie naprzód pójść, bo całkiem zesztywniałem.

— Umykajcie! Tylko żebyście się nie spóźnili.

— Bądźcie spokojni! Na przełaj ja! Nadążę!

Po kilkunastu minutach wypoczynku, punktualnie o trzeciej ruszyłem w dalszą drogę. Stale rozglądałem się za Onufrym, nie chcąc go zostawiać samego w tajdze. Ale Fedka zapewniał, że Onufrego w ogóle nie dogonimy.

— On z każdej górki biegiem zlatuje i na przełaj drogę sobie skraca. Juczek nasz tak mu kiszki wymieszał, że jak przed ogniem, zmiatać przed nami będzie...

Miał rację. Kiedy jeszcze za dnia zajechałem przed fanzę Wan-Capa, na czele witających trzech Koreańczyków stał Onufry.

Po przywitaniu oprowadzono mnie po całym futorze.

*) czapki futrzanej.

Składał się on z trzech fanz mieszkalnych: dużej ,do której podjechałem, zamieszkałej przez samego Wan-Capa, i dwu mniejszych, wybudowanych w jednej z nią linii, w odległości około stu kroków jedna od drugiej. Pomiędzy domostwem starego Koreańczyka, a fanzą starszego syna, stał duży budynek gospodarski ,mieszczący kilkanaście sztuk bydła. Do południowej ściany tego budynku przystawiona była komórka, z której zwierz wyciągnął świniaka. Na drugi dzień na tejże drodze napatoczył mu się pies, więc zadowolił się tym przysmakiem...

Było to ilościowo niezbyt wiele na dużego kota, syty więc na pewno nie był... Przykarmiony na futorze ,niezawodnie i dziś tu, nie gdzie indziej, będzie próbował szczęcia. Należało więc zasiąść w fanzie Lin-Capa, gdzie koło północnej ściany zwierz dwukrotnie przechodził. Nie mogłem sobie zdać sprawy z jakiego rodzaju kotem mam do czynienia ,przekonany byłem jedynie, że nie był to ryś z którego tropami byłem dobrze obznajmiony. Tropy tygrysa i barsa oglądałem zaledwie kilka razy w życiu.

— Oni tu obmyślili przynętę... pytają się czy się na taki fortel zgodzicie i gdzie każecie umieścić przynętę — odezwał się do mnie Onufry. — Ot proszę zobaczyć...

Poprowadził mnie za fanzę starego Koreańczyka i pokazał mi coś w rodzaju skrzyni czy paki, skleconej z dość grubych dębowych dyli. Przyrząd ten miał nieco ponad metr wysokości i około półtora metra w poprzek i wzdłuż, a ustawiony był na dwukołowej koreańskiej arbie*).

— Cóż to jest takiego? — spytałem Onufrego, obejrzawszy dookoła całą instalację.

— Oni chcą do tej klatki wsadzić świnię i postawić ją w miejscu przechodów zwierza. Powiadają, że mają tucznika, co i tak za parę dni ma być zarznięty, więc jeżeli kapitana w pośpiechu zamiast łamazy świnię zastrzeli, straty nie będzie.

— Pomysł dobry! Powiedźcie im Onufry, żeby tę klatkę postawili o trzydzieści kroków przed oknem lincapowej fanzy, a ja w niej na noc zasiądę, bo na powietrzu nie wytrzymam. Widzisz jaka kurzawa na noc idzie.

Onufry wytłumaczył naszym gospodarzom, co mają robić i dwaj młodsi skierowali się w stronę obory.

— Po woły poszli, do arby chcą zaprząc, bo w rękach skrzyni nie udźwigną.. za ciężka — objaśniał Onufry.

Poszedłem obejrzeć fanzę Lin-Capa. Po drodze podszedł do mnie Fedia.

— Melduję posłusznie, że konie

*) wozie.

na noc do stodoły postawiłem... gliną osmarowana, zaciszna, a i dobrego siana kilka fur tam leży. Od wypadku ja sam z końmi tam przenocuję; jakby się kot do koni zechciał dobijać, to go z berdana poczęstuję... Kobury i śpiwór dokąd mam przynieść?

— Do tej oto fanzy — wskazałem na mieszkanie Lin-Capa, przed którym akurat stanęliśmy...

Przed fanzę, skrzypiąc osiami, przyjechała arba. Onufry z Koreańczykami zabrali się do jej rozładowywania.

Wichura jakby trochę przycichła, ale dęło jeszcze rzetelnie. Mocniejsze podmuchy wiatru zrywały tumany śniegu i układały go w wysokie zaspy przy północnych ścianach budynków i oboczach pokaźnych kup mierzwy, wyrzuconej z obory.

Ziąb dokuczał mi mocno. Na dworze nie miałem nic więcej do roboty. Wszedłem zatem do fanzy Lin-Capa.

Było tam ciepło i względnie czysto .Spora lampka naftowa zawieszona nad kanem*) nieźle oświetlała izbę...

Na kanie*) pod lampą siedziała z podwiniętymi pod siebie nogami młoda Koreanka. Najmniejszym nawet ruchem nie zareagowała ani na moje wejście, ani na pozdrowienie. Przed kobietą na czworakach stał półtoraroczny golas i zawzięcie ssał matczyną pierś. Z pod lewej pachy kobiety wyglądał czarny łebek dziecka, porośnięty prostymi ,sztywnymi włosami. Czuła mamusia grzebała we włosach synka wszystkimi dziesięcioma palcami, polując na insekty. Szło jej nie najgorzej, bo coraz kładła sobie do ust złowioną zdobycz i z cichym ,ale wyraźnym trzaskiem zębów, uśmiercała ją.

Nie zdążyłem zaobserwować czy ubitą zwierzynę natychmiast konsumowała, czy gromadziła w ustach, bo w pewnej chwili rozległ się desperacki wrzask pakowanego do skrzyni świntucha i młoda pani, pilnie nasłuchując, zaniechała zabiegów pielęgnacyjnych.

Jednocześnie do fanzy wszedł Fedka, położył na kanie moje rzeczy i oświadczył:

— Gotowe!

— Nie zupełnie — odrzekłem mu. Trzeba teraz tu zrobić porządek.

— Słucham.

— Najpierw trzeba wyjąć okno, bo przez te pęcherze przecież zwierza nie zobaczę, a potem gosposia z bachorami musi wyjść, bo ja tu pewnie strzelać będę.

Onufry począł tłumaczyć Koreańczykom o co mi chodzi. Milcząc kiwali głowami. Stary wolnym ruchem brał w garść swą rzadką siwą brodę i delikatnie pociągał ją ku dołowi, co miało o-

*) piec z gliny.

znaczać niezwykłe skupienie uwagi.

Kiedy Onufry skończył, Wan-Cap wymamrotał kilka niewyraźnych słów. Kobieta oderwała od piersi golasa, rozpięła swą szatę i wpakowała dzieciaka pod watowaną kacaweję, w którą była ubrana. Potem zeszła z kana i ruszyła ku wyjściu. Stary Wan-Cap wyszedł za nią.

Bracia stanęli koło okna, coś tam opukiwali, obmacywali, po czym Lin-Cap opuścił fanzę, zewnątrz za oknem rozległy się ostrożne pukania, trzasnął kilka razy papier i stojący przy oknie młody Koreańczyk wyjął okienną ramę i postawił ją przy ścianie.

Do izby wpadła wichura, zakręciła się, zaszumiała i zgasiła lampę... Na dworze panowała już szarówka. Wyszedłem... Naprzeciw wyjętego okna stała owa klatka wzmocniona teraz sznurami i lina mi .Leżał w niej pochrząkując — czarny wieprz. Cuchnęło świńską mierzwą, bo zapobiegliwi Koreańczycy obłożyli klatkę i oprószyli koło niej śnieg świńskim nawozem. Od klatki do okna było około trzy dziestu kroków.

Uznałem przygotowania za skończone i wróciłem do fanzy. Światło mroźnego zimowego wieczora półmrokiem oświetlało wnętrze. Było tu znacznie cieplej niż na dworze. Na kanie siedzieli w kucki dwaj młodzi Koreańczycy i pociągali z długich cybuchów śmierdzący dym surowego tytoniu. Onufry siedząc na kanie drzemał.

Prawie po omacku rozpakowałem kobury. Wydostałem termos, chleb, słoninę i kiełbasę. Widząc moje zabiegi jeden z Koreańczyków wyszedł do sieni i powrócił z dymiącym czajnikiem. Po zapachu poznałem, że zagotowana w nim nim była cegiełkowa herbata. Obudziłem Onufrego, poczęstowałem go wianuszkiem suchej kiełbasy i półbochenkiem chleba. Zabraliśmy się do wieczerzy..

Spokojnie spożyłem z pół kilograma słoniny z odpowiednią porcją chleba, wypiłem pół termosa herbaty, zaprawionej rumem, schrupałem tabliczkę gorzkiej czekolady, po czym zapaliłem fajkę.

W międzyczasie ciemnica zalała już wszystko. Gdzieś tam na dworze, zdawało się z daleka, majaczyła jakaś plama. Pochrząkujący dotąd tucznik umilkł, widocznie zasnął. Powoli załadowałem sztucer i położyłem go koło siebie na kanie.

Wpatrywałem się w czerniejący przede mną kwadrat okna.

— No — myślałem sobie — teraz może nie tylko bars czy tygrys, ale cały słoń pod okno podejść, na pewno go nie wypatrzę... Naładowałem fajkę świeżym tytoniem i paląc wpatrywałem się w ciemności... Zmęczenie już dawało mi się we znaki. Sięgnąłem po bakłażkę i wprost z gardziołka pociągnąłem porządny łyk... Widocznie wódka rozjaśnia nie tylko umysł, ale również i wzrok... Jakąś wyraźniejszą wydała mi się owa ciemna plama, mająca markować skrzynię z uwięzionym w niej wieprzem.

Otucha wstąpiła we mnie, zdawało mi się, że ciemności jakoś rzedną, noc jakby prześwietlała się... Niestety, było to tylko złudzenie, kiedy bowiem po jakimś czasie podniosłem sztucer do oka i próbowałem się złożyć, okazało się, że muszkę można było namacać tylko palcami, oko zupełnie nie chwytało jej kształtu.

Zrezygnowany, położyłem broń na kan i z beznadziejną tęsknotą wpatrywałem się w ciemną pustkę... Wiatr wyraźnie cichł, zadymka powoli uspokajała się i nawet jej silniejsze podmuchy już nie wpadały do fanzy.. Siedziałem w bezruchu, drzemiąc... Fajka mi zgasła... Nie chciało mi się sięgnąć po kapciuch, więc i fajkę położyłem na kanie... Ogarniał mnie co raz większy bezwład, morzyło zmęczenie i sam nie wiem kiedy na dobre zasnąłem...

Trudno określić, jak długo trwał ten wypoczynek, myślę jednak, że nie mniej, jak koło dwóch godzin... Podświadomie raczej wyczułem niż usłyszałem, że świntuch rusza się w klatce. Wystarczyło to jednak, bym odzyskał natychmiast ostrość wszystkich zmysłów. Wątpliwości nie było najmniejszych, wieprz kręcił się w swej pace... Parę razy coś głośniej trzasnęło... Widocznie świnia napierała na ściany swego więzienia, pragnąc się z niego wydostać. Nagle rozległo się mocniejsze stuknięcie, po czym wieprzak wrzasnął...

Zacząłem wypatrywać w ciemności.

Gęsta żółtawa poświata spływała na ziemię... Domyśliłem się, że to gdzieś za górzystym brzegiem rzeczki wschodzi na podniebne szlaki zbereźnik i filut, bladolicy księżyc. Teraz ciemna plama w okiennym kwadracie nabierała wyraźniejszych kształtów. Chwyciłem za sztucer... Złożyłem się... Niepewnie jeszcze, ale złapałem muszkę... Broń warto już było trzymać w ręku...

Wkrótce wieprz począł szamotać się w swym więzieniu z takim wysiłkiem, że przekonany byłem, iż za chwilę go rozwali... W wycinku okna czarna plama skrzyni jakby zwiększyła się, rozrosła. Nagle deski zatrzeszczały i zaskrzypiały... Świntuch znów wrzasnął...

Podniosłem broń do oka... To składałem się, to nie mogąc złapać muszki przenosiłem sztucer na jaśniejsze otoczenie i znów próbowałem mierzyć do coraz wyraźniejszej wielkiej czarnej masy, wyrosłej wyraźnie na skrzyni. Tak, to niewątpliwie wielki kot rusza się, przesuwa... Wycelowałem w sam środek, huknął strzał. Ciemna masa w ciemnościach nocy jakby osunęła się w dół, rozpływając się powoli... Raptem, jak nożem dźgnięty, przeraźliwie wrzasnął wieprzak i począł rozpaczliwie rzucać się w klatce... Jeszcze chwila i wszystko ścichło... Nie, nie wszystko... tam przy tej ciemnej plamie słyszę mocne szmery, niby drapanie. Coś się rusza... Czy to nie złuda... Nie! Z czarnej plamy wznosi się ku górze jakiś słup... Dokładnie mierzę. Strzelam.

Za prawą szczytową ścianą mojej fanzy rozlega się wyraźny galop uchodzącego zwierza... Nic nie rozumiem... Ręce mi drżą, oczami biegam po kwadracie okna... Ze wzruszenia nic nie widzę... Owszem, spostrzegam, że mrok się przerzedza...

Jak piorun z nieba trzaska strzał Fedki! Co się dzieje?... Jeszcze chwila i gdzieś zza lewej krawędzi mego okna wypływa jakiś wydłużony cień... Nie namyślam się... Mierzę... Cień przystanął... Strzelam... Wniebogłosy drze się świnia...

Nerwy moje nie wytrzymują tych wrażeń. Kilkakrotnie wstaję i znów opadam na kan... Zlewa mnie rzęsisty pot, w głowie huczy... Jeszcze trochę, a chyba stracę przytomność...

W tej krytycznej dla mnie chwili srebrzyste światło rozlało się po ziemi... Nocny włóczęga, czarodziej nocy, raczył nareszcie wyjrzeć zza gór... Z ukosa zajrzał i do mojej fanzy, kładąc zielonkawy kształt okna na podłogę. Kurczowo obmacując koło siebie kan znalazłem fajkę. Drżącymi rękami zaświeciłem zapałkę, potem zacząłem wciągać wonny dym w płuca... Powoli nerwy uspokajały się, choć głowa mi ciążyła, a dreszcze przejmowały ciało zlane zimnym potem.

Z fanzy wyszedł Onufry, za nim Koreańczycy... Słyszałem, że o czymś głośno rozprawiają... Na dworze robiło się coraz widniej... Nocne zmory znikły. Odetchnąłem pełną piersią.

— Ach ty patałachu! — myślałem z goryczą. — Znowu stracona okazja! Partacz z ciebie kochanku i kwita. Już trzeciego kota z rzędu puszczasz. A może Fedia go rozłożył? Nic by dziwnego. Strzela dobrze, chłopak spokojny. Czego ten wieprz tak się darł i gdzie się zapodział?

Te gorzkie rozmyślania przerwał Onufry, który wbiegł do fanzy.

— Ale fart zesłał wam Pan Bóg tej nocy. Czysty zwierz! A futro, futro! Cała garść jak w wodzie tonie.

Mówił coś jeszcze, ale ja bez mołochaja na głowie, bez fajki w zębach, już wypadłem z fanzy. W kilkunastu krokach za ciemną plamą rozwalonej świńskiej klatki Fedia i trzej Koreańczycy przyglądali się czemuś. Gdy doszedłem do nich, podobne do cylindrów koreańskie

kapelusze schyliły się do ziemi, nad głowami azjatów sterczały pionowe, ukręcone z włosów szyszki. Mówili wszyscy razem, powtarzając wyrazy „kapitana" i „łamaza".

— I na naszej ulicy dziś święto, panie poruczniku! Ot jakiego kotka Bóg nam zesłał — pełnym radosnego wzruszenia głosem witał mnie Fedka.

Patrzyłem z ukosa na pręgowaną skórę zwierza. Jeszczem nie wierzył sobie, że to nie sen. Skronie ściskał mi wściekły ból, całe ciało zlewał zimny pot. Dopiero potrochu, w miarę szczegółowego przyglądania się mej zdobyczy, burzliwa radość poczęła wypełniać mi piersi. Spojrzałem na stojącego obok Onufrego i odruchowo sięgnąłem za plecy po manierkę. Nalałem metalową czarkę i zwracając się do sprawcy mojego szczęścia, rzekłem:

— Za wasze zdrowie stary! Myślałem, że tylko tumaki tropić potraficie. Przepraszam was! Dłużnikiem waszym jestem. Wpadnijcie do mnie którego dnia, wynagrodzę jak należy.

Nalałem wychyloną czarkę i podałem Onufremu.

— Na szczęście w łowach — wychylił kusztyczek duszkiem.

Fedka już stał za mną z małochajem, fajką i kapciuchem w rękach. Ta poczciwa moja niańka okryła mi pałającą głowę, włożyła fajkę do ust i przyłożyła do niej palącą się zapałkę.

— Zabierz no się Onufry do obielenia tygrysa. A ty Fedia pozbieraj moje rzeczy i szykuj się do drogi. Trzeba wracać do domu, bo boję się na dobre tu rozchorować.

Pomimo fatalnego samopoczucia, sam przystąpiłem do starannych, drobiazgowych badań, mogących mi ułatwić wyświetlenie istoty wypadków, przeżytych tej niesamowitej nocy. Obejrzałem dokładnie ubitego zwierza, przeszedłem jego tropem. Potem krok za krokiem zbadałem tropy wieprza i dokonałem szczegółowych oględzin jego tuszy.

Wszystko co zaszło, stało się jasne i proste. To noc czarodziejka, napięte nerwy i początki ciężkiej influency były autorami bajki łowieckiej.

Już zupełnie spokojny stanąłem, pociągając fajkę, nad moją zdobyczą, przyglądając się jak Onufry wyłuskuje tygrysa z jego futra. Przez głowę, niby taśma filmowa, przesuwała mi się przeżyta przygoda.

Więc tygrys podszedł od zachodu do budynku, w którym Koreańczycy trzymali bydło. Tu zawietrzył zamkniętego w klatce tucznika i począł się do niego skradać. Przeszedł w odległości nie większej jak cztery kroki od okna, przed którym siedziałem, widocznie w czasie mojej drzemki. Wielkim susem dopadł klatki i próbował łapami dobrać się do świntucha, a hałas, jakiego przy tym narobił, obudził mnie zresztą. Starając się dosięgnąć swą ofiarę, kot przeorał wieprzowi pazurami szynkę i zostawił kresę na boku. Dwukrotnie ranny wieprz, wrzasnął dwukrotnie.

Nie mogąc sobie poradzić z bokami klatki, zwierz wlazł na nią przodem i od góry rujnował ją łapami. W tym momencie posłałem mu pierwszą kulę, którą przyjął nieco powyżej nasady ogona. Tygrys spadł z klatki i znacząc trop kresami pazurów po śniegu, powlókł sparaliżowany pośladek. O dziesięć kroków od klatki próbował się podnieść na przednie łapy. Tu otrzymał drugą szczęśliwą kulę: prawie między łopatki, zwalił się na prawy bok i wkrótce zakończył żywot, bo nie znać było, by się tłukł w agonii.

Gdy ranny kot porzucił już prawie zrujnowaną klatkę, wieprz przykryty powiązanymi między sobą dylami, starał się z nich wydostać. Czy to uwięził prawą tylną nogę między drągami, czy zaplątał ją w postronkach, dość, że desperacko szamocząc się po drugim moim strzale, zerwał sobie prawą tylną rać i za tę cenę odzyskał swobodę. Wrzasnął z bólu i pogalopował na oślep przed siebie. Jego rejteradę wziąłem za odwrót strzelanego zwierza.

Feldka, zaalarmowany moimi pierwszymi strzałami, wylazł za śpiwora i stanął z berdanem w ręku w przymkniętych wrotach stodółki. Usłyszawszy odgłos świńskiego galopu, wziął go jak i ja za wielkiego kota i strzelił w jego kierunku — i chybił.

Wieprz tymczasem krwawiąc z okaleczonej nogi, truchtem skierował się ku fanzie Wan-Capa, gdzie był tuczony, a wysunąwszy się zza południowego rogu budynku, trafił w pole mojego widzenia i... otrzymał nieco za niską kulę komorową. Ot, i wszystko.

Rozważania moje na ten temat przerwał Onufry.

— Kłopot będziecie mieli z przewiezieniem skóry. Pewnie koń nie da ją na siebie przytroczyć.

— Poradzimy sobie Onufry! Złóż skórę porządnie sierścią na zewnątrz i wpakuj ostrożnie do mojego śpiwora. Gospodarzem pachnąć będzie, ani się Juczek spostrzeże. Tylko jak skórę zwiniesz, ręce czysto o nią wytrzyj, żeby śpiwora nie zafarbować.

Śpiwor wypchany tygrysią skórą już leżał przy drzwiach fanzy, kiedy Fedia podprowadził konie. Juczek bez protestu przyjął na swój grzbiet niezwykły bagaż. Pochrapywał tylko i niespokojnie strzygł uszami.

Dosiadłem nie bez trudu Deresza. Byłem już mocno osłabiony, ale fajeczka dymiła mi pod nosem, a w siodle poczułem się mocniejszy.

— Wy pewnie zostaniecie Onufry?

— Nie może inaczej być! Jakże tu taki kapitał bez dozoru rzucić?! Więcej jak stówka tu leży *) — wskazał na obielonego zwierza.

— No to bądź zdrów! Bóg ci zapłać jeszcze raz...

Skroczem wyjechałem z futoru. Koreańczycy odprowadzali mnie niskimi ukłonami. Wichura całkiem ustała. Potrzaskiwał kilkunastostopniowy mróz. Spojrzałem na łagadnie świecącą w biały dzień tarczę księżyca. Księżyc dobrotliwie uśmiechał się do mnie, jakby podzielając moją radość.

Nie złażąc z konie, dowlokłem się przed kwaterę o własnych siłach. Tu jednak musiano mnie z konie zdjąć i doprowadzić do łóżka.

Pierwszą w życiu tygrysią skórę opłaciłem dwoma tygodniami bardzo ciężkiej gorączki o charakterze infekcyjnym i prawie miesiącem rekonwalescencji.

Zdobyty zwierz okazał się dwuletnią kocicą, nieco słabo wyrośniętą, ale odzianą w futro o ślicznym, wyraźnym rysunku, gęste i puszyste. Tak czy inaczej był to tygrys zdobyty własną kulą. Było się więc z czego cieszyć.

---

*) Chińczycy używają wnętrzności tygrysa do wyrobu cennych leków.

Strzelajmy przede wszystkim rogacze selekcyjne

TADEUSZ OBUTELEWICZ

Proch »Sokół« i amunicja śrutowa

W ubiegłym roku strzelałem dużo nowymi nabojami „long" kal. 12, ładowanymi śrutem Nr. 6, średnicy 2,5 mm. Naboje strzelały pewnie, miały dobre pokrycie i przebicie, odrzut podczas strzałów był normalny i równomierny. Oddałem przeszło dwa tysiące strzałów do rzutków i nie stwierdziłem złego działania tej amunicji.

Na polowaniach używałem amunicji kal. 12 własnej, domowej produkcji. Naboje wykonane przeze mnie strzelały nie gorzej od nowych „longów" kal. 12, miałem jednak dwa wypadki, na które zwracam uwagę.

W okresie polowań na kuropatwy sporządziłem 25 nabojów w czasie dżdżystej pogody. Wszystkie te naboje słabo strzelały, a proch spalał się nie całkowicie. Kuropatwy, choć dobrze trafione, odlatywały daleko od miejsca strzałów. Powodem tych słabych strzałów było prawdopodobnie nawilżenie się prochu. Chociaż podczas odważania ładunków proch krótko pozostawał poza hermetycznym opakowaniem, lecz łuski i przybitki dłużej były pod działaniem wilgoci i udzieliły jej prochowi. Drugi wypadek słabych strzałów i niespalania się prochu miałem na polowaniu zimowym. Przyczyną były przybitki wojłokowe zbyt luźne i za miękkie.

Odnoszę wrażenie, że proch, obecnie produkowany, jest więcej wrażliwy na wilgoć niż przedwojenny „Sokół", który też potrafił się nawilżyć. Poza tym proch obecny jest na granicy całkowitego spalania, to znaczy, że minimalne odchylenia w elaboracji nabojów mogą powodować niecałkowite spalanie się prochu zwłaszcza w porze chłodnej. Odgrywa tu rolę przede wszystkim siła wybuchowa spłonki, jakość i wymiary przybitki wojłokowej i stopień zarolowania naboju.

Zaznaczyłem już, że nie zauważyłem, aby nowe naboje „long" kal. 12 zeszłorocznej produkcji źle strzelały. Sukcesy zeszłoroczne naszej reprezentacyjnej ekipy rzutkowej, osiągnięte w kraju i za granicą, są dobitnym świadectwem, że amunicja „long" kal. 12 stoi na wysokości zadania. Jeżeli fabryka amunicji umie wyprodukować dobre naboje „long" kal. 12 ze śrutem Nr. 6, o średnicy 2,5 mm, to dlaczego miałaby wypuszczać inne, złe naboje, z tych samych surowców i w podobny sposób wykonane. Przed wysłaniem z fabryki każda partia nabojów i prochu jest wszechstronnie i dokładnie badana. Mierzy się szybkość śrutu, ciśnienie gazów w lufie, pokrycie i przebicie śrutu. Wyniki pomiarów muszą zgodzić się z ustalonymi normami i dopiero wtedy naboje i proch mogą być wypuszczane z fabryki do rozprowadzenia wśród myśliwych.

Zastanówmy się, czy, wobec tak wszechstronnych badań fabrycznych, naboje i proch mogą mieć jakieś wady, które dopiero myśliwy spostrzeże. Wypadki takie mogą się zdarzyć. Myśliwy strzela w w. runkach całkiem odmiennych od tych, w jakich odbywają się próby fabryczne. Zwłaszcza późną jesienią i w zimie mamy niesprzyjające okoliczności dla strzałów. Słoty, silne wiatry, niska temperatura, wywierają ujemny wpływ na strzał. Nie wszystkie strzelby są jednakowe. Naboje dobre dla jednej, dla drugiej mogą być nieodpowiednie. Słabe uderzenie iglic, minimalne rozdęcie komory nabojowej i przewodu lufy, zużycie lufy, sposób wiercenia lufy, wszystko to wywiera wp.yw na jakość strzału.

Trudno wymagać, aby fabryka prochu i amunicji mogła przeprowadzać wszechstronne badania balistyczne w rozmaitych strzelbach, więcej lub mniej zużytych, i w najróżnorodniejszych warunkach atmosferycznych. Dlatego też dana jest nam możność komunikowania swoich spostrzeżeń producentowi.

W każdym pudełku z nabojami znajduje się kartka kontrolna. Jeżeli ten, czy ów Kolega zauważy jakieś uchybienia w strzałach, czy też w wykonaniu nabojów, powinien opisać to rzeczowo, podając towarzyszące okoliczności i wraz z kartką kontrolną przesłać do fabryki, lub do spółdzielni „Jedność Łowiecka". Ta łączność myśliwego z producentem jest bardzo pożądana, pomoże do wyjaśnienia narzekań i przyczyni się do polepszenia jakości amunicji. Natomiast szeptana krytyka do niczego pozytywnego nie prowadzi.

Na co Koledzy myśliwi powinni zwracać szczególną uwagę? Przede wszystkim na to czy nie było zaciągów i czy proch spalił się całkowicie. Zaciągi są to anormalne strzały, a przyczyną ich jest opóźnione zapalenie się całego prochu, z winy słabej spłonki, wskutek czego prężność gazów nie rozwija się prawidłowo i nie wzrasta do takiej wysokości, aby nadać ładunkowi śrutu właściwą szybkość lotu. Część ładunku prochu pozostaje w przewodzie lufy niespalona. Zaciągi poznaje się po tym, że huk wystrzału jest słaby, towarzyszy słaby odrzut broni, a łuski wystrzelone przeważnie mają ślady ognia (plamy) na zewnętrznej swojej powierzchni.

Poza tym należy obserwować jak reagowała zwierzyna na celny strzał, czy padła w ogniu, czy też zdala od miejsca strzału. W razie wątpliwości, co było przyczyną oddalenia się dobrze trafionej zwierzyny, pożądane jest zbadanie, przy jej oprawianiu, jakie spustoszenia dokonał śrut, czy dostateczna była siła przebicia.

Należy również zwrócić uwagę na odrzut broni. Odrzut nie powinien być zbyt silny, lecz krótki i dający się dokładnie wyczuć.

Po oddaniu kilku lub kilkunastu strzałów wskazane jest sprawdzenie, czy śrut nie zaołowił lufy. Dobry śrut nie powinien ołowić lufy. Ziarna miękkiego, ścierającego się śrutu ulegają deformacji, nie lecą prawidłowo, powiększają rozrzut i osłabiają siłę przebicia.

Pożądane jest też sprawdzenie, czy naboje są dobrze kalibrowane, czy pasują do komory naszej strzelby. Niewypały i pękanie łusek powstają najczęściej z winy strzelby.

Na temat samej elaboracji nabojów nie mogą zabierać głosu, gdyż nie badałem zawartości nowych nabojów. Sądzę, że niewielu myśliwych przeprowadzało takie kontrole, bo naboje są zbyt drogie, aby stać nas było na podobne eksperymenty. Mogłaby to wykonać spółdzielnia „Jedność Łowiecka" i komisyjnie stwierdzić co zawierają. W komisji powinni brać udział myśliwi, członkowie spółdzielni w charakterze czynnika społecznego.

Dr. JAN BROMILSKI

Jeszcze o podciągnięcie klasy myśliwych

W uzupełnieniu bardzo na czasie będącego artykułu kol. M. Meliona z nr. 2 „Łowca Polskiego“ br. pt. **„Należy podciągnąć klasę myśliwych“ chciałbym dodać kilka własnych** spostrzeżeń. Zgadzam się z Szanownym Autorem, że jedną z głównych przyczyn chaosu i kardynalnego omijania zasad etyki łowieckiej jest zachłanność pieniężna oraz brak subordynacji i koleżeństwa wśród myśliwych. Jednak nie tylko to. Drugą ważną przyczyną tego stanu rzeczy jest niezdrowa ambicja niektórych naszych kolegów myśliwych, a zwłaszcza tych kolegów, którzy dopiero od niedawna mają do czynienia z łowiectwem, a chcieliby uchodzić za starych i doświadczonych myśliwych. Uważają oni każdy swój strzał za celny i chcieliby zawsze zabijać największą ilość zwierzyny.

Będąc łowczym jednego z kółek łowieckich na terenie Województwa Śląskiego, składającego się w znacznej swej części z rolników, zauważyłem dziwne zjawisko; mianowicie rolnicy-myśliwi, wśród których wielu dopiero po wojnie zajmuje się łowiectwem, wykazują znacznie większe posłuszeństwo i koleżeństwo, niż koledzy myśliwi z miasta, od których przecież powinno się więcej wymagać. U pierwszych daje się zauważyć również często zachłanność pieniężną, o której wspomina kol. Melion, lecz skoro tym kolegom wytłumaczy się niewłaściwość ich postępowania, przyznają się do popełnionych uchybień i naogół po raz drugi nie wykraczają przeciw etyce łowieckiej.

O wiele gorzej ma się sprawa z kolegami z miasta. Część tych kolegów jest ogarnięta prawdziwym szałem rekordu ubicia jaknajwiększej ilości zwierzyny, bez względu na koleżeńskość, etykę łowiecką, nogi kolegów myśliwych czy też naganiaczy, oraz bez względu na to, co sobie o nich pomyślą koledzy myśliwi, a co jeszcze gorsze starzy doświadczeni naganiacze.

Przyznaję zupełną rację kol. Melionowi, że wiele kółek łowieckich nie przestrzega przepisów Ustawy Łowieckiej, dotyczącego zakazu polowania po zachodzie słońca, co powoduje niepewne strzały i dużą ilość postrzałów, ale co można zrobić, jeśli na 20 — 25 myśliwych tylko dwuch lub trzech uznaje słuszność tego przepisu, podczas gdy znaczna większość myśliwych stanowczo chce polować dalej, by móc ubić jeszcze jednego czy dwa koty. Nawet ostentacyjne opuszczenie polowania przez kilku prawdziwych myśliwych nie powstrzymuje innych od dalszego polowania.

Również indywidualne zachowanie się niektórych myśliwych jest jak zauważa słusznie kol. Melion, wprost hańbiące, na dowód czego mogę przytoczyć kilka przykładów z własnego doświadczenia w sezonie 1949 — 1950 r.

Jeden z kolegów z miasta w czasie polowania w kociołki na zające strzela dwukrotnie do wychodzącego z kotła szaraka idącego nawiasem mówiąc bliżej drugiego kolegi, prawdziwego myśliwego, pudłując go oba razy. Drugi kolega strzela również dwukrotnie i za drugim strzałem szarak silnie znaczy i znacznie wolniej idzie dalej. Wówczas ten pierwszy myśliwy po powtórnym naładowaniu broni strzela raz jeszcze, na odległość około 130 m., i szarak po przebiegnięciu około 30 m. przewraca się. A wtedy ten pierwszy kolega woła „mój zając, trafiłem go ostatnim strzałem“.

Inny przykład. Ten sam kolega po trzykrotnej trąbce, oznaczającej zakończenie kotła, strzela do zająca na zewnątrz kotła; zając przewraca się, wstaje i idzie dalej, a ów kolega biegnie za zającem i w końcu dochodzi go i dobija. Ale historia zaczyna się dopiero teraz. Niosąc ubitego zająca ku zebranym po zakończeniu kotła kolegom i naganiaczom, widzi biegnącego od strony zebranych ku niemu zająca i mimo nawoływań kolegów, że kocioł skończony, strzela dwukrotnie i zabija go. Na zwróconą mu przez prowadzącego polowanie kolegę uwagę, że oba zające zostały nieprawidłowo ubite i wobec tego nie ma on prawa brać udziału w następnym kotle, takie bowiem sankcje obowiązują w naszym kółku w stosunku do kolegów przekraczających przepisy, oraz że oba zające przepadają na rzecz kółka, również w myśl przepisów, regulaminu kółka, wywołuje ów kolega wielką awanturę połączoną z groźbami, w końcu widząc, że wszyscy inni koledzy są przeciw niemu, zgadza się z werdyktem prowadzącego polowanie. Ale.. o dziwo, po skończonym polowania pod nieobecność łowczego, który musiał wcześniej odjechać kolega ów oba te zające przypisał sobie i oba je zabrał.

Inną bolączką dzisiejszych polowań są tacy myśliwi, którzy nie należąc do żadnego kółka łowieckiego i nie mając własnych terenów łowieckich, chcą koniecznie polować.

Pół biedy jeszcze, kiedy taki „myśliwy“ zgłosi się do łowczego kółka przed polowaniem i poprosi o pozwolenie wzięcia w nim udziału. W takim przypadku sprawa da się załatwić: o ile jest za mało zgłoszonych myśliwych na dane polowanie, to pozwala mu się polować, o ile liczba myśliwych jest dostateczna, to grzecznie mu się odmawia pozwolenia Gorzej jest jednak gdy taki „pseudomyśliwy“ zjawia się wprost na polowaniu i to czasem po drugim, trzecim lub czwartym kotle, i prosi o pozwolenie wzięcia udziału w polowaniu, a jeśli łowczy kółka nie udzieli mu takiego pozwolenia, mając do tego pełne prawo, to często taki osobnik odgraża się i usiłuje wywołać awanturę

Zdarzył się w ubiegłym sezonie taki wypadek: w czasie jednego z polowań na zające po którymś tam kotle zgłasza się do mnie jako łowczego, nieznajomy osobnik z dubeltówką, prosząc o pozwolenie zapolowania. Po zasięgnięciu opinii zarządu kółka pozwalam mu na wzięcie udziału w polowaniu. Przy pokocie osobnika tego brakło. Woźnica wożący zające, zainterpelowany o brak jednego zająca na wozie, oświadczył, że osobnik ów wziął sobie mimo sprzeciwu woźnicy jednego zająca z wozu i odszedł do domu. Nawiasem mówiąc osobnik ten nie zastrzelił ani jednego zająca. Postępek ten nie wymaga chyba komentarzy.

Część kolegów myśliwych i to czasem nawet starych myśliwych, strzelających dobrze i będących od wielu lat członkami Związku Łowieckiego, ogarniętych zachłannością strzela do każdego zająca w zasięgu swojej strzelby bez względu na to, czy zając ten idzie wprost na sąsiada, który myśląc, że ów kolega ma jakie takie pojęcie o etyce łowieckiej, czeka sobie spokojnie by szarak podszedł do niego na odległość zupełnie pewnego strzału, a tu nagle „bęc“ i kot leży a myśliwy przeciera oczy ze zdziwienia i wi-



dzi, że sąsiad spokojnie łamie strzel bę i zadowolony każe swemu naganiaczowi podnieść kota.

Urząd łowczego zarówno powiatowego jak i łowczego kółka, jak to słusznie zauważa autor, jest przy panujących nagminnie takich stosunkach niezwykle trudny: łowczy chcąc być w zgodzie z etyką łowiecką i ze swoim sumieniem, stwarza sobie wielu wrogów, którzy nie uznając swoich przewinień i wykroczeń, stają się zaciękłymi przeciwnikami prawdziwego myśliwego, chcącego podtrzymać etykę łowiecką w swoim kółku. Niejednokrotnie zmuszają oni łowczego kółka do rezygnacji z zajmowanego stanowiska, by móc na to miejsce wybrać takiego „myśliwego", któryby nie przeszkadzał im w ubijaniu jak największej ilości zwierzyny, bez względu na przepisy ustawy i etykę łowiecką i umożliwił im jakwięcej zarobić pieniędzy na tym, co dla prawdziwego myśliwego stanowi wytchnienie po ciężkiej nieraz zawodowej pracy — to jest na polowaniu.

Niestety dziś często się zdarza, że po takim polowaniu „na zająca", nie zaś na zające, prawdziwy myśliwy i miłośnik przyrody, który chciałby na polowaniu odpocząć psychicznie, wraca do domu jeszcze bardziej zmęczony niż przed wyjazdem na polowanie i siłą faktu zmuszony jest odnosić się z odrazą i wstrętem do tych, którzy, chcąc uchodzić za myśliwych, dla zdobycia 600 zł. depcą podstawowe zasady etyki łowieckiej, prawa łowieckiego, koleżeńskości oraz najbardziej prymitywne zasady przyzwoitości i uprzejmości.

Słuszną jest więc i bardzo na czasie troska kol. Meliona o naszą młodą brać myśliwską, początkujących myśliwych, którzy w zaraniu swego myślistwa zamiast uczyć się w gronie starszych kolegów tego, co stanowi całe piękno i powab polowania, a mianowicie umiłowania przyrody, etyki łowieckiej, koleżeństwa, uczą się czegoś wprost przeciwnego uczą się bezrozumnego mordowania i kaleczenia zwierzyny, uczą się polowania „na zająca" lub innymi słowy polowania na pieniądze czyli na 600 zł.

Dlatego też popieram myśl kolegi Meliona i przyłączam się do wniosku, by wprowadzić do kółek łowieckich pewną formę współzawodnictwa, współzawodnictwa nie w ubijaniu jak największej ilości zwierzyny, lecz współzawodnictwa w zachowaniu się kolegów myśliwych, w respektowaniu przez nich zasad etyki łowieckiej i przepisów ustawy łowieckiej, w wyrabianiu wśród nich uczucia koleżeńskości oraz umiłowania przyrody. Takich myśliwych, którzy będą nadal polować na 600 zł., należałoby usuwać nie tylko z kółek łowieckich, ale nawet z PZŁ. Myślę, że projektem kolegi Meliona powinien zainteresować się Komitet Wykonawczy PZŁ.

ZDZISŁAW ZIELIŃSKI

MÓJ PIERWSZY BORSUK

Mimo, że poluję od lat przeszło 35, tak się jakoś złożyło, że mając na rozkładzie łosia, rysia i niedźwiedzia, którymi niewielu myśliwych poszczycić się może, nie zdobyłem do roku ubiegłego borsuka.

Swego czasu, przed laty około 30, czatowałem pewnie ze dwa tygodnie w pobliżu jam borsuczych, niestety, bezskutecznie. W roku 1936, letniskując w miejscowości Izdebno w województwie poznańskim, miałem zabawne spotkanie z borsukiem: siedzieliśmy ze znajomymi dość wcześnym jeszcze wieczorem w pobliżu leśniczówki, pod urwistą skarpą, wysoką pewnie ze dwa metry, odpoczywając po dalekim spacerze. W pewnym momencie jakiś dziwny cień zamajaczył mi nad głową, podniosłem wzrok ku górze; nade mną, nie dalej jak o trzy — cztery kroki, borsuk w całej swej okazałości przyglądał się nam, medytując zapewne co to za dziwne jakieś stwory wtargnęły w jego rejon. Od tej pory nie miałem jakoś okazji ani specjalnej ochoty znów bezskutecznie zasiadać na to dość trudne do upolowania zwierzę.

Ubiegłego roku spędzając czas jakiś w miejscowości U., gdzie przypadkowo zbierałem grzyby, natknąłem się na norę borsuczą. Nora znajdowała się w gęstej drągowinie. Świeżo wysypany piasek i liczne ślady mówiły wyraźnie, że posiada lokatora. Porozumiałem się z miejscowym leśniczym, który bez trudu udzielił mi swego pozwolenia, uśmiechając się jednak z lekka.

Przygotowałem więc sobie w odległości jakichś 20 kroków od wylotu nory, za jałowcem, doskonałe stanowisko, usunąłem przeszkadzające mi gałązki i... o borsuku zapomniałem.

W kilka tygodni później znów bawiłem w tejże miejscowości, dokąd przyjechaliśmy z żoną na rydze, których tu była obfitość. Pewnego wieczoru, już po zachodzie słońca, przypomniałem sobie o moim borsuku. Żona odradzała mi jak mogła, nory były oddalone o dobre dwa kilometry, „ tak nic nie zabijesz, po co po nocy będziesz chodził". Intuicja jednak przemogła. Składany stołeczek, cztery naboje z 4-zerowym śrutem i szybko na stanowisko.

Gdy rozłożyłem swój składany stołeczek było już mocno szaro. W dodatku musiałem wziąć zamiast szesnastki, z której stale strzelałem, dwudziestkę, gdyż do tamtej nie miałem innych ładunków jak z czwórką. Składam się więc w prawo i w lewo, przewidując, że jeśli dojdę do strzału, strzelać będę po ciemku. Mrok zapadał coraz większy, początkowa nadzieja malała coraz bardziej. Gdzie tu może być mowa o strzale, przecież muszki już ani śladu, jeszcze ledwo końce luf widnieją! Jeszcze upłynęło z 15 minut, ciemno tak, że luf też już nie widzę, przypominają się słowa żony: — Rzeczywiście, poco tyle drogi zrobiłem? Czas wracać, ale jeszcze chwilę, może jednak! Nic i nic! Trudno, trzeba wracać.

Wtem łoskot i podziemny jakiś tupot. Ruszył się, zapewne zaraz będzie wychodził. Serce wali młotem, w skroniach krew pulsuje! Wyjdzie?... cisza! Ponowny łoskot, jakiś wyraźniejszy! Mimowoli przypomina się rada Pucewicza dawana Rajeckiemu w „Sobolu i Pannie": „nie strzelaj, dopóki cały nie wyjdzie!"

Wpatruję się w norę, a raczej miejsce, gdzie ona się znajduje, oczy zachodzą z wysiłku łzami, nic, nic nie wyłazi! Wtem wzrok pada na jakiś cień odległy o metr, półtora na lewo od wylotu, co to pieniek, kupa mchu? ale przecież tego przed tym nie było? Cień nagle poruszył się, tak, na pewno, posuwa się dalej na lewo.

Jak się złożyłem i jak strzeliłem — nie wiem, pamiętam tylko, że wziąłem na cel (o ile o celowaniu mogła być mowa) 1/3 długości od kierunku, w którym cień się posunął. Huk strzału, potem gwałtowny jakby tętent i głośne chrząkanie uciekającego zwierza rozwiały całą nadzieję. Spudłowałem! Jednak głos uciekającego zamiast oddalać się zakręca w lewo, zbliża się i nagle urywa. Znów w sercu nadzieja, może został? Czekam jeszcze minutę, dwie, cisza. Poszedł! Bezskutecznie tyle emocji! Zrezygnowany idę w kierunku, gdzie głos ucichł. I serce o mało nie wyskoczy do gardła. Jest, leży na niewielkiej polance! A jaki ogromny! Gruby jak baryła! A szerść jak futro srebrnego lisa!

Z trudem niosłem na przełaj przerzuconego przez plecy borsuka, byle prędzej; nie był mi przykry ostry, niemiły jego odór.

Gdy w końcu rzuciłem borsuka na podłogę w domu, oczom nie wierzyłem, jak po ciemku trafiłem, gdzie dostał? Cały nabój czterech zer trafił na spóźnioną komorę o średnicy 10 centymetrów. Inny zwierz zrulowałby na miejscu! Nie wiem czemu żaden rogacz, żaden dzik nie dał mi tyle emocji, jak ten pierwszy w życiu borsuk! Skóra wisi też na honorowym miejscu i przypomina cichy październikowy wieczór, przypomina przeżycie tak odrębne od zgiełkliwej rzezi zajęcy w kotłach. Tylko prawdziwy myśliwy zrozumieć je potrafi.

Inż. WŁADYSŁAW DOMAŃSKI

Z POLOWAŃ NA KACZKI

Gwizdek w cegielni już dawno dał sygnał na przerwę obiadową. Upał lipcowy tego dnia doskwierał każdemu. Nawet ważki, tak ochoczo wirujące nad jeziorem, zaprzestały swych tanów. Senność, zdawało się, ogarnęła cały świat.

Pod rozłożystym kasztanem w pobliżu przepustu wodnego, w którym sącząca się woda huczała niby pszczoły w ulu, odpoczywaliśmy wraz z leśniczym Wojtusiem po trudach polowania, snując plany na popołudnie.

Naraz, fala nadlatujących kaczek wyrwała nas z błogiej senności. Poderwaliśmy się na równe nogi, gotowi do ponownego ataku. Posypały sie strzały, w których wyniku „chlapnęło" kilka kaczek na wodę. Postanowiliśmy dobrnąć do nich łódkami. Poczciwy Tomek bezszelestnie wytyczał mi drogę poprzez gęstwinę nadbrzeżnych zarośli, z których raz po raz z łopotem skrzydeł unosiły się krzyżówki. Niektóre z nich musiały jednak z powrotem spaść, powodując plusk wody i wypłaszając co raz to inne stadka kaczek. Zwinny Tomek za jednym pociągnięciem wiosła przyholował do łódki kilka leżących w zaroślach kaczek. Wyniki polowania zaczynały przekraczać najlepsze oczekiwania nasze.

Błogi nastrój stał się udziałem nie tylko moim, lecz i początkowo pesymistycznie nastrojonego Tomka.

Powoli wjeżdżaliśmy na środek jeziora, by przedostać się na przeciwległy brzeg, a stamtąd, holując łódkę, znaleźć się na Czarcim Jeziorze, gdzie nieraz roiło się od skrzydlatej braci. Podjazd jednak tam, do kaczek, był bardzo utrudniony, gdyż jezioro mało było porośnięte. Postanowiliśmy więc, że stanę z leśniczym Wojtusiem na grobelce, zaś z przeciwległego brzegu jeziora naganka wypłoszy kaczki. Jakież jednak było nasze zdziwienie, gdy mimo dość licznej naganki i spodziewanych kaczek zerwała się tylko jedna krzyżówka, lecąca wprost na mnie. Gdy odległość pozwalała na strzał, pociągnąłem za spust. Krzyżówka zatoczyła się upadła na wodę, ale nie głową wdół z czego można było wnioskować, że została zbarczona. Na tle słonecznych promieni zauważyłem, że był to kaczor, który w mgnieniu oka dał nurka i wypłynął w pobliżu przeciwległego brzegu jeziora.

Staliśmy bezradni, zwłaszcza, że łódka pozostała na Zielonym Stawie, odległość zaś nie pozwalała na ewentualny strzał.

Wtem zaobserwowaliśmy dziwne zjawisko: oto w pobliżu postrzelonego kaczora od strony wioski S. płynęło stadko swojskich kaczek, o czym świadczyło białe upierzenie niektórych z nich. W kierunku dzikiego kaczora płynął swojski kaczor, odłączywszy się od swego stadka. Z jego energicznej postawy można było wnioskować, że żywi on nieprzyjazne zamiary względem swego ptasiego kuzyna. Zaczęła się walka z wyraźnymi oznakami przewagi przybysza z wioski.

Nie pomogły rannemu kaczorowi próby nurkowania, przeciwnik bowiem jego skwapliwie wypatrywał miejsca wypłynięcia i rzucał się tam z groźnym kwakaniem, dziobiąc dotkliwie swoją ofiarę, która wykazywała coraz to słabszą ruchliwość i bezskutecznie starała się przedostać w pobliskie zarośla. Zwycięzca jednak wyraźnie uniemożliwiał ucieczkę i swoją postawą zmuszał ofiarę posuwać się do przeciwległego brzegu, przypadkowo w moim kierunku. Za każdym energiczniejszym natarciem zwycięskiego kaczora widziałem jak jego ofiara zbliżała się coraz bardziej do mnie. Wreszcie mniej więcej z odległości strzału zauważyłem wyraźnie, że biedny kuzyn swojskiego kaczora nie dawał już oznak życia. Jego wyciągnięta szyja znieruchomiała i prawie obdarta była z pierza, skrzydła zaś bezładnie opuszczone na wodę. Kaczor istotnie nie żył. Mimo to zwycięzca nie dawał za wygraną i nie przestawał atakować swej ofiary, holując ją do mego brzegu. I oto nadszedł taki moment, gdy obydwa ptaki przypłynęły do samego brzegu, tuż obok mnie. Pomyślałem w duchu, że pierwszy raz w życiu mam wypadek, by kaczor „aportował" kaczora.

Tymczasem zwycięzca podniósł głowę, spojrzał w moją stronę i najwyraźniej zauważyłem w jego oczach błyski triumfu i zadowolenia. Po czym nieco podniósł się ponad poziom wody, zatrzepotał skrzydłami, tak jakby otrząsał się z brzemienia trudu, zakwakał i wesoło odpłynął do chwilowo pozostawionego stadka kaczek.

Gęsi na Miliczu fot. W. Puchalski



LEOPOLD PAC-POMARNACKI

WŚRÓD BAGNISK NA PRZELOTACH

DUŻY, złocisty krążek wiosennego słońca pochylał się wolno ku zachodowi, gdy wsiadałem do wąskiej, jednoosobowej łodzi rybackiej i odpychając się długim drągiem, powierzałem swój „statek" leniwemu prądowi wolno płynącej rzeki, przecinającej moczary na Suwalszczyźnie

W worku na dziobie czółna znajdował się niezbędny ekwipunek obozowy na okres tygodniowej włóczęgi po najdzikszych zakątkach bagien, zajmujących przestrzeń około dziesięciu kilometrów kwadratowych. W czasie takiej wyprawy nie mogło zabraknąć kociołka z uszami, patelni, toporka, zapałek, wędki składanej i naturalnie bochenka chleba, kawałka słoniny, soli, przypraw, herbaty oraz kilku kilogramów ziemniaków. Ryby i ptactwo miały bowiem stanowić właściwe pożywienie.

Wąskie, muliste koryto rzeki wiło się krętą wstęgą pośród rozległych łanów zeszłorocznych trzcin, przecinało „plosy" — małe jeziorka bagienne i znowu wpadało w istną dżunglę łozy, wyrastającej z wody zwartą szczeciną pędów rozkrzewionych i splątanych ze sobą w gąszcz nie do przebycia, z którego wystrzelały tu i ówdzie pojedyncze brzózki, czarne olsze albo niskie, rachityczne świerki, rosnące na suchszych kępach i ostrówkach, rozsianych z rzadka po całej przestrzeni błot.

Płynąc ciemną wstęgą rzeki natrafiało się na nieprzewidziane przeszkody. Oto zmurszały pień olszy runął w poprzek koryta, a pokryty warstwą naniesionych gałęzi, traw i wodorostów, utworzył naturalną tamę. W takim przypadku koryto rzeki rozwidlało się na parę strumieni, które przedzierając się przez gąszcze — łączyły się wkrótce ponownie w jedną, właściwą arterię wodną.

Manewrując łodzią po rzadszych smugach błotnych, przeciskając się przez zarośla łozy i kępy trzciny, musiałem omijać po drodze te barykady, co wymagało zawsze dużo czasu i wysiłku, toteż z uczuciem ulgi powitałem wreszcie sylwetkę suchszej, ćwierćhektarowej wyspy, na której zamierzałem założyć stały obóz.

Zaledwie dziób czółna otarł się o twardy brzeg, już wysiadłem i wyładowałem sprzęt, a w chwilę później, zabierając tylko toporek, wyruszyłem ponownie łodzią, tym razem na poszukiwanie opału, potrzebnego w dużej ilości na mój siedmio-dniowy pobyt wśród bagnisk.

A opału nie brakowało. Na kępach i ostrówkach sterczały kikuły zmurszałych brzóz, leżały wypróchniałe, powalone przez wichry świerki oraz dęby, toteż jeżdżąc kilkakrotnie tam i z powrotem, ułożyłem na wyspie niezły stos drzewa.



Jeziorko fot. L. Pac-Pomarnacki.

Teraz należało pomyśleć o posłaniu. Z naręczy naciętych łapek świerkowych ułożyłem coś w rodzaju materacu, grubego na 10 cm. Leżąc na tych gałązkach, izolujących od wilgoci ziemi, po przykryciu się kocem i kurtką oraz rozniecieniu w nogach dużego ogniska, można było spać doskonale nawet przy parostopniowym mrozie.

Kiedy słońce dosięgło wreszcie widnokręgu — wyruszyłem na łowy. Wolno, bezszelestnie sunęła łódź gąszczami łozy w kierunku najbliższego „plosu". Tu i tam słychać było łopot zrywających się kaczek, lecz dojrzeć je przez ścianę zarośli nie potrafiło najbystrzejsze nawet oko. Górą, z donośnym gwizdem skrzydeł przelatywały coraz to nowe stada.

Lecz pierścień zarośli rozstąpił się nagle, ukazując lustrzaną taflę wody, rozlewającej się szeroko w kształcie małego jeziorka. Wjechawszy pośpiesznie pod gęsty krzak rokity, usiadłem na ławeczce, przygotowując broń do strzału.

Bagniska tętniły bujnym, wiosennym życiem. Biesiadujące tu rzesze miejscowego i przelotnego ptactwa odzywały się setkami najróżnorodniejszych głosów. Prym wiodły kaczki, których wrzaskliwe nawoływania dolatywały z całego obszaru błot, tworząc niejako tło, z którego dopiero wyodrębniały się dźwięczne gęganie żerujących gęsi, metaliczny krzyk łabędzi albo żałosne surmy żurawi. Wprawne ucho myśliwego mogło ponadto wyłowić z ogólnego rozgardiaszu fletowe trele kulona, samotny wrzask czapli albo głuche, basowe stękanie bąka i setki innych dźwięków obcych, nieznanych.

Zasłuchany w tę kwietniową symfonię moczaru omal nie przegapiłem pięknego kaczora krzyżówkę, który ze świstem rozcinanego powietrza ciągnął tuż nad moją kryjówką. Pośpieszny strzał zrzucił go z impetem na martwą taflę wody.

Donośny huk dubeltówki wypłoszył z zarośli rzesze ukrytego tam ptactwa. Jak stadko zwinnych jaskółek śmigały nad jeziorkiem cyranki. Nie przebrzmiał jeszcze terkot barwnego ich kaczorka, gdy ciężki świstun, zrzucony drugim strzałem, rozpłaszczył się martwo tuż przy łodzi. Majestatycznie wachlując skrzydłami przeciągnęła czapla.

W drodze powrotnej do obozowiska zastrzeliłem jeszcze z podrywu trzy kaczory, aż nadchodzący zmierzch położył kres dalszym łowom. W godzinę później siedziałem przy wesoło trzaskającym ognisku i skubiąc kaczki na jutrzejszy obiad — gotowałem herbatę.

Ciepła, kwietniowa noc roztoczyła nad ziemią swój opiekuńczy płaszcz, Moczary rozbrzmiały zgiełkliwym rozhoworem żerującego ptactwa, a hen, wysoko pod wygieżdżonym niebem, grały bezustannie setki skrzydeł pierzastych wędrowców. Niektóre stada, zwabione blaskiem ogniska, podlatywały bliziutko ku mej wysepce, a rozejrzawszy się ciekawie — ginęły za chwilę w ciemnościach.

A kiedy usypiałem na świerkowym posłaniu, kołysała mnie do snu różnorodna kapela głosów ptasich bliskich i dalekich, znanych lub tajemniczych, tworząc zgodny chorał ku czci czarodziejki wiosny, zwiastunki godów weselnych i miłości.

Ranny chłód zbudził mnie ze zdrowego, pokrzepiającego snu, gdy było jeszcze zupełnie ciemno. Przygasłe ognisko jarzyło się czerwonością żaru, oprawionego w miękką, siwą ramę popiołu, dyszącego miłym tchnieniem ciepła.

Garść chrustu, rzucona na węgle, zapłonęła złocistymi językami, rozjaśniającymi pogrążoną w mrokach wyspę błotną. Wiatr szumiał leciutko w łanach zeszłorocznych trzcin. Na rzece krzyczały kaczki.

Ponieważ czasu było dosyć, wybrałem się na jedno z dalszych rozlewisk. Wąskie czółenko jak duch przemykało się wśród zarośli łozy, tonęło w szuwarach, z cichym szelestem przedzierało się przez pasma zeszłorocznych trzcin. Srebrna wstęga koryta rzeki wskazywała drogę, a gdy cień przesłaniał iskrzącą się smugę wody, wtedy spoglądałem w górę, kierując łódź w tę stronę, gdzie wygwieżdżonego granatu nieba nie przesłaniały gałęzie i wierzchołki krzaków, cofających się w swym pochodzie przed głębią rzeczną. Rytmicznemu pluskowi wiosła wtórował częsty łoskot zrywających się stad kaczek lub klangor żerujących na błotach żurawi. Niekiedy z górnych stref powietrza doleciało melodyjne gęganie ciągnących na moczar gęsi.

Dniało już, gdy dotarłem do celu wyprawy. Znanym z lat poprzednich labiryntem kanałów przedostałem się do suchej kępy, zdobnej w rozłożysty świerczek i kilka brzózek, a pozostawiwszy łódź w ukryciu —, zasiadłem na czatach.

Jasny seledyn nieba, zaróżowiony płomieniem jutrzenki, oświecał coraz wyraźniej migotliwą taflę jeziorka, okolonego złotawą ramą dawnego szuwaru. Nad czubami drzew rozpostarła się ogniście czerwona jasność. Teraz już wzrok penetrował swobodnie całą powierzchnię „plosu", odróżniając ciemne plamy stad ptasich nocujących w tym błotnym zaciszu.

Tuż za trzciną, rozrzucone szeroko na wodzie, siedziały krzyżówki. Barwne kaczory, odróżniające się bielą upierzenia oraz szmaragdem łbów, pływały pośród szarej czeredy swych licznych małżonek, zajętych żerem. Dalej, na czystej już wodzie siedziały grube, opasłe gęsi, gmerząc dziobami w swym burym pierzu.

Lecz ptactwo to nie przyciągało specjalnie mego wzroku, bo w pobliżu tego szarego pospólstwa srebrzyły się cztery cudne, białe sylwety wspaniałych łabędzi. Z lekko odchylonymi skrzydłami, wyginając fantazyjnie szyję, żeglowały one majestatycznie tam i z powrotem, nie zbliżając się jednak nigdy do żadnego brzegu. Nie zamierzałem zresztą do nich strzelać, wolałem bowiem podziwiać je żywe, w głębi dzikich bagnisk — ufne i spokojne.

Dłuższy czas cieszyłem się widokiem tej sielanki, aż wreszcie sięgnąłem po strzelbę i dwa kaczory krzyżówki pozostały na wodzie, łopocząc bezładnie skrzydłami.

Na jeziorku powstał zamęt nie do opisania. Spłoszone strzałami gromady ptactwa, nie mogąc się zorientować skąd zagraża im niebezpieczeństwo, kręciły się w powietrzu, wywabiając z okolicznych zarośli coraz to nowe stada, które przelatywały nad mą kryjówką i kolejno składały krwawą daninę. W niespełna pół godziny oddałem 14 strzałów, a osiem martwych kaczorów bieliło się na plosie. Wyjechawszy po nie łodzią, zachwycałem się różnorodnością zdobytych okazów. Pomijając krzyżówki, upolowałem rudogłowego rożeńca o widełkowym ogonie, wspaniałego gągoła o czarno-białym lśniącym upierzeniu, ceglastą podgorzałkę, czubatą uhlę, strojnego kaczorka-cyraneczkę i przepięknego, barwnego jak kwiat świstuna. Ptaki te ułożone na dziobie łodzi mieniły się różnorodnością kolorów, niby ozdobny bukiet.

A wkrótce potem na wyspie błotnej wykwitła czerwona plama ogniska. W kociołku, zawieszonym na tyczce nad płomieniem, wesoło bulgotał gotując się rosół z wczorajszych krzyżówek, na patelence, smażąc się w tłuszczu, skwierczały złapane na wędkę piękne okonie. Po tak smakowitym śniadaniu i obiedzie zarazem oczekiwał mnie parogodzinny sen w cieple ogniska i zasłużony odpoczynek przed nową wyprawą na kaczory, na które wypadało wyruszyć wieczorem. Przed tym jednak musiałem jeszcze zdjąć i zakonserwować skórki z ubitych okazów, przeznaczonych do wypchania.

* * *

I płynęły w ten sposób dni wśród dzikich bagnisk, wzbogacając cenną kolekcję ornitologiczną i jeszcze cenniejszą skarbnicę moich przeżyć myśliwskich. Z dala od miasta, od kłopotów życia codziennego, spędzałem tu co wiosnę swe wczasy łowieckie, kojąc stargane pracą nerwy i ciesząc wzrok wspaniałymi obrazami przyrody.

A kiedy nadchodził moment wyjazdu z obozowiska nie smuciłem się, bo wiedziałem, że wrócę, że muszę tu powrócić, bo urzekła mnie do śmierci ta okolica swym niezrównanym urokiem i swoją pierwotną dzikością.



Z podrywu fot. L. Pomarnacki

Kaczkobójca

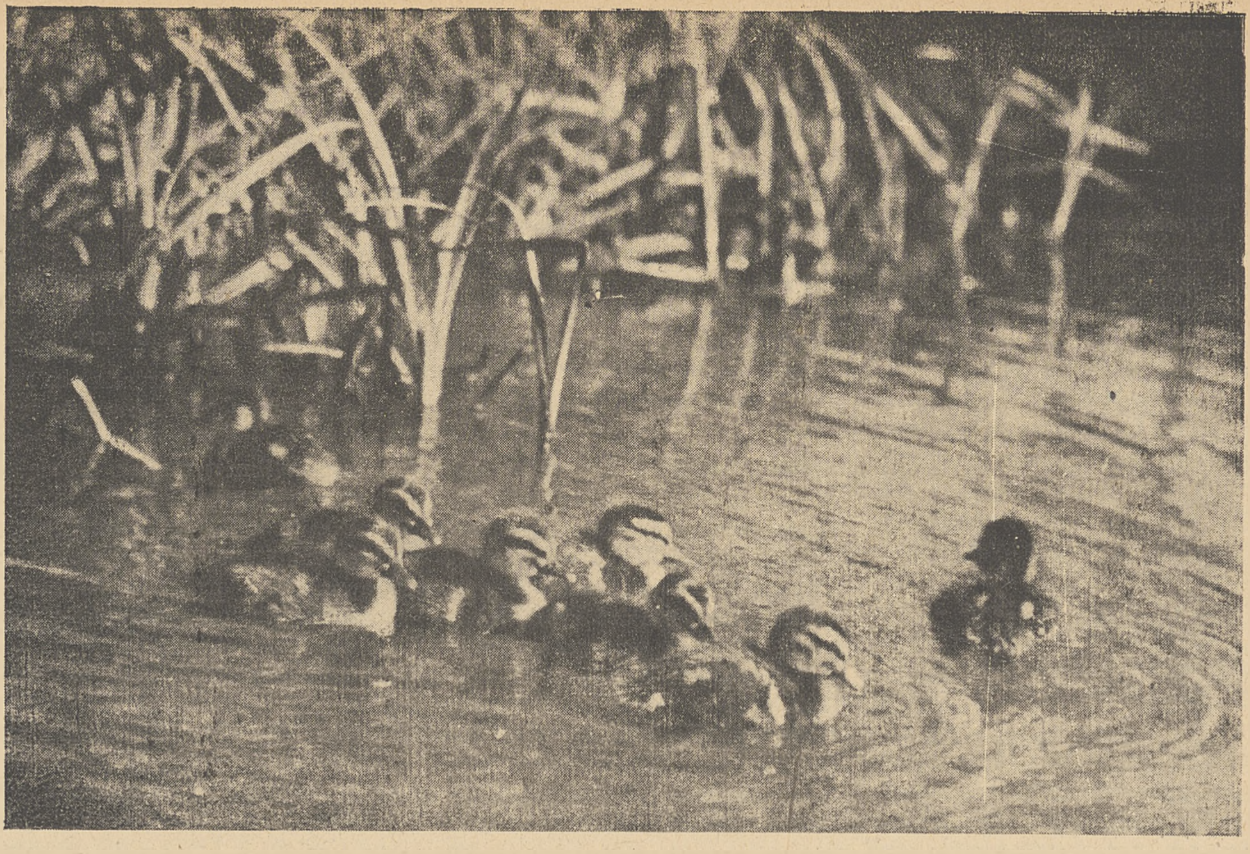
ALBIN należy do najbardziej skrupulatnych legalistów. Mowy o tym nie ma, żeby wystrzelił do zwierzyny bodaj na godzinę przed ukończeniem czasu ochronnego albo pięć minut po czasie. Nie mogę sobie wprost wyobrazić awantury, jaką wyczyniłby Albin, gdyby na przykład w karnawale zobaczył na talerzu comber zajęczy.

Prawdziwa to satysfakcja mieć do czynienia z człowiekiem mającym tak głęboko zakorzenioną godność myśliwską. Już raz w życiu spotkał mnie zaszczyt polowania wraz z Albinem na kaczory. Było to w maju. Wybraliśmy się na tereny wyjątkowo obfite w ptactwo wodne. Mimo to wynik polowania był dla Albina bardzo nieszczególny. Po kilku godzinach krążenia w szuwarach, na dnie łódki Albina leżały zwłoki zaledwie jednego kaczorka, podczas kiedy ja mogłem się pochwalić rozkładem kilkunastu pięknie ubarwionych zalotników różnych kaczych gatunków.

Prawdziwą jednak osłodą mizernych wyników Albinowych był piękny wykład moralny, jaki usłyszałem z jego ust po powrocie na kwaterę. Nie warto było — jak mi oświadczył — strzelać w warunkach nie wykluczających pomyłki. Albin wolał nie strzelać w ogóle niż splamić się mimowolnym choćby czynem niegodnym myśliwego i zastrzelić kaczkę samiczkę w okresie lęgu. Albin z bohaterskim zaparciem się siebie przepuścił bezkarnie całe korowody upierzonych bojowo kaczorów w trosce, żeby która z zabłąkanych śrucin nie ugodziła tam, gdzie nie należy. W świetle jego wywodów zbladły lśniące piórka ubitych przeze mnie kaczorów, zdobycz nie wydawała mi się tak miłą. Nie zdarzyła mi się wprawdzie omyłka ani przykry wypadek, nie ubiłem żadnej kaczki a tylko same kaczory. Ale przecież mogło się zdarzyć... jakże wyglądała moja wulgarna zachłanność, nagrodzona wprawdzie ładnymi trofeami wobec katońskiej wstrzemięźliwości Albina!

Co się jednak zdarzyło podczas następnego polowania, także na kaczki, na które wybrałem się z Albinem już teraz, ostatnio, w początkach sierpnia?

Już po czasie ochronnym. Kaczory porzuciły swoje efektowne szaty godowe i nie sposób odróżnić ich po upierzeniu od skromnych, szarych



Kłapaki — Albinie nie strzelaj!

fot. Z. Porębski
(z serii odznaczonej II nagrodą)

samiczek. Przepisy myśliwskie nie przewidują już w tym czasie żadnych ograniczeń. Cały ród kaczy stał się zwierzyną łowną. Cieszyłem się więc że tym razem przesubtelnione sumienie łowieckie nie stanie Albinowi na przeszkodzie w uzyskaniu godnych wyników. I nie omyliłem się. A raczej... ale posłuchajcie.

Tym razem szczęście nie bardzo mi sprzyjało. Trudno mi było natrafić na sztukę godną strzału, toteż strzelałem z rzadka. Ciągle właził mi w drogę to trzepoczący się nieporadnie po powierzchni wody kłapak, to jakaś opóźniona matka z gromadką niewyrosłych jeszcze kacząt, to znowu niedorostek, który ani nacieszył się dość życiem, żeby mieć sumienie doń strzelać, ani stanowił godnego dla myśliwego łupu.

Tymczasem Albin... ten dzisiaj miał szczęście. Zza krzaków grzmiał istny huragan wystrzałów. Zaczęło mnie to wreszcie korcić. Podpłynąłem z cicha w tym kierunku i ujrzałem...

Albin szalał. Spocony i ziajany leżał niemal w swej łódce. Właśnie się składał... naprzeciwko niego płynęło jakieś troskliwe matczysko, a z tyłu gromadka drobiazgu. No, spóźniła się biedaczka z lęgiem, jak to bywa. Bach!! biedna matka została na placu, kaczęta rozpierzchły się z piskiem.

Zaraz po tym zatrzepotało nad wodą jakieś biedactwo jeszcze żółtawe w pałękach. Na odgłos strzału usiłowało się to zerwać, ale naprożno trzepotało nie wyrośniętymi skrzydełkami. Nie do lotu mu było. Można było to zabić bodaj kijem. Bliski strzał Albina rozszarpał nieborzę niemal w strzępy. Myśliwiec wyprostował się z triumfem. Podpłynąłem bliżej — Albinie czyż się godzi?... do takiego pisklęcia?...

Zwrócił do mnie przekrwione oczy i rzekł:

— Nie przeszkadzaj! Czas ochronny skończony. Co na wodzie, to nieprzyjaciel.

W łódce Albina piętrzyły się żałosne szczątki niewyrosłych kacząt, nie zupełnie jeszcze wypierzonej młodzieży. Było kilka dojrzałych sztuk, w których jednak podejrzewałem takie właśnie spóźnione matki, jak ta, której śmierci byłem świadkiem. Zawołałem:

— Albinie! Nie jesteś myśliwym. Jesteś zwykłym kaczkobójcą!

I piszę. Pisze zażalenie do Łowca Polskiego. Zaczynam od sentencji łacińskiej — Summa ius summa iniuria. (Tłumaczenie: Nadmierna sprawiedliwość jest niesprawiedliwością).

Albin nie przekroczył prawa pisanego. Jest w zgodzie z ustawą, z kalendarzem. A mimo to odmawiam mu prawa do zaszczytnego miana myśliwego.

Albin, to kaczy rzeźnik!

Albin — to kaczkobójca!

ROŻENEK

WITOLD ZIEMBICKI

Tularemia

JEST w Kaliforni, w odległości paruset km na pdn.-wschód od San Francisko, okręg Tulare. Okolica i nazwa nawet w Stanach Zjednoczonych mało znana do r. 1911, w którym to uczony bakteriolog M a c C o y, badacz dżumy i trądu, odkrył wśród tamtejszych dzikich gryzoni z rodziny wiewiórek, a mianowicie u tzw. wiewiórki ziemnej albo susła (odmiana *Citellus bescheyi)* chorobę epidemiczną, zbliżoną pod pewnym względem do dżumy. Dalsze badania doprowadziły go do wykrycia zarazka wywołującego tę chorobę. A że to się działo w Tulare, zarazkowi temu dał nazwę *Bacterium tularense.*

Okazało się potem, że choroba ma zasięg o wiele większy i że nie ogranicza się wcale do owych „ziemnych wiewiórek", ale się szerzy wśród gryzoni w ogóle, jak dziki królik, zając, chomik, tzw. szczur wodny, czyli karczownik, mysz polna. Zarazek atakuje nadto ptaki z rodziny kuraków (bażanta, przepiórkę, kuropatwę, jarząbka) a ze zwierząt domowych nierzadko pada ofiarą owca.

U zwierząt choroba jest śmiertelna. Co gorsza jednak, okazało się również, że w nawiedzonej przez zarazę okolicy i człowiek nie jest oszczędzany. Tą sprawą zainteresował się bliżej inny badacz amerykański F r a n c i s i wykazawszy identyczność zarazka u zwierząt i ludzi zaproponował dać chorobie nazwę T u l a r e m i a. Jest to połączenie pojęcia geograficznego: Tulare i terminu greckiego: *hajma*, czyli krew, a więc razem: zakażenie krwi zarazkiem odkrytym w Tulare. Było to w r. 1925. I odtąd ten, tak na pozór dziwny wyraz, mile brzmiący, choć niemiło mający znaczenie, przyjął się powszechnie, przypominając światu cichą i na poły zapomnianą krainę. Niektórzy nazywali chorobę imieniem Francisa na pamiątkę jego zasługi.

U zwierzęcia padłego na tularemię rzuca się w oczy objaw najczęstszy i dominujący: obrzęk gruczołów limfatycznych. Brzękną one, miękną i serowacieją (przekrojone mają podobieństwo do sera). Te właśnie zniekształcenia gruczołowe przypominają dżumę, czyli zarazę morową. Innego rodzaju podobieństwo jest w tym, że epidemie dżumy też zwykle zaczynają się od gryzoni — od szczurów mianowicie — przenosząc się następnie na ludzi.

Wśród zwierząt zaraza przenosi się zazwyczaj bezpośrednio z jednego osobnika na drugi, zwłaszcza wśród zwierząt żyjących gromadnie, jak niektóre gryzonie (myszy, szczury, susły). Poza tym drobnoustrój tularemii przenoszą rozmaite owady kłujące. Należą do nich gzy, bąki, np. bąk bydlęcy, sarni, jeleni *(deer fly, Chrysops discalis)*; muchy, np. tzw. bolimuszka, dokuczliwa mieszkanka stajen, kłująca też ludzi(*Stomyxys calcitrans*); różne gatunki wszy zwierzęcej, pchły, pluskwy; wreszcie kleszcze. Kleszcze są najczęstszą przyczyną zakażenia owiec, które, przeciskając się przez krzaki, zbierają na siebie całe roje tych owadów. W czasie epidemii, czyli nagminnego panowania tularemii, kleszcz może być niebezpieczny i dla człowieka, tym bardziej że zarazki tej choroby utrzymują się bardzo długo w ciele kleszcza. Co do ptactwa, za[illegible] ono prawdopodobnie przez połykanie zakażonych owadów.

Na człowieka może również owad przenieść chorobę. Najczęściej jest to pewien rodzaj komara (*Aedes*). Ale zarazek tularemii jest tak agresywny, że wystarczy rozgnieść w palcach jego nosiciela: kleszcza czy muchę, aby zakażenie przyszło do skutku. Zarazek przenika więc przez skórę nie uszkodzoną, a przynajmniej pozornie nie uszkodzoną. Pewna kobieta dostała tularemii po wypraniu mężowskiej chustki do nosa, poplamionej krwią z ubitego zająca. Łatwo zatem zrozumieć, że najczęściej zapadają ludzie mający bezpośrednią styczność z zakażonym materiałem. Jest nim skóra lub mięso z chorego zwierzęcia. Narażeni są więc najbardziej handlarze skupujący skórki futerkowe, leśnicy, myśliwi obielający zwierzynę, ludzie zajęci przy kuchni. Wyjątkowo zdarzyć się może, że człowieka zakazi zwierzę przez ukąszenie. Takie wypadki notowano w ZSRR. Zwierzęciem kąsającym był szczur wodny, czyli polnik ziemnowodny (*Paludicola* albo *Arvicola amphibius* lub *terrestris*).

U człowieka tularemia miewa przebieg rozmaity. Przeważnie jednak uderza, jak i u zwierząt, zajęcie gruczołów limfatycznych. Początek choroby jest zwykle nagły, jakkolwiek mija kilka dni pomiędzy zakażeniem a pierwszymi objawami. Zjawiają się nudności, wymioty, dreszcze, ciepłota podnosi się często do 40 stopni i wyżej, głowa boli; ogólne rozbicie, jak to bywa w najcięższych chorobach, odbiera zdolność do pracy i poruszania się. Jeżeli zarazek wtargnął przez skórę, w miejscu tym wyrasta guzek podobny do brodawki, ten się szybko powiększa i zaognia, wreszcie się rozpada tak, iż powstaje ubytek, czyli owrzodzenie, a dookoła tego miejsca brzękną podskórnie naczynia limfatyczne tworząc widoczne, bolesne postronki. Zarazek przenosi się wzdłuż nich do najbliższych gruczołów limfatycznych, np. pod pachą lub w pachwinie, te również brzękną i są bolesne, słowem tworzy się obraz przypominający dżumę, bo i w niej puchną gruczoły pod pachą i w pachwinie, wytwarzając tzw. bubony. Gruczoły zwolna miękną, ropieją, ich ropna zawartość przebija skórę, powstają przetoki cieknące, uporczywe. Zwolna ustępuje gorączka, klęsną gruczoły, goją się ogniska ropne. Cały ten proces kończy się najczęściej pomyślnie, rzadko jednak trwa krócej niż miesiąc.

Jeżeli choroba zaczyna się od zakażenia oka (zatarcie brudnym palcem albo pryśnięcie ropy przy sekcji chorego zwierzęcia), wtedy wszystko rozwija się jak po skaleczeniu, z tą różnicą, że oko jest poważnie zagrożone przez ropiejące dookoła tkanki.

Opisana postać tularemii, tzw. gruczołowa, wkraczająca do organizmu przez powłoki zewnętrzne, nie jest jedyna. Może być inna, jeżeli zarazek dostał się do ciała jakimś innym sposobem, np. był połknięty. Zjedzenie mięsa z chorego

zająca może spowodować rozwinięcie się choroby od wewnątrz. Wtedy przebieg może być podobny do grypy albo duru brzusznego (postać grypowa lub tyfoidalna). W takich wypadkach, zwłaszcza, jeżeli w okolicy nie ma epidemii, rozstrzyga badanie bakteriologiczne.

Tularemia u człowieka rzadko jest śmiertelna. Zdarzają się epidemie łagodniejsze (ze śmiertelnością nie przekraczającą 0,5%) i złośliwsze (ze śmiertelnością dochodzącą do 5%). Po wyzdrowieniu chory jest na zawsze już niewrażliwy na *Bacterium tularense*.

Odkrycie przyczyny tularemii wzbudziło wielkie zainteresowanie pośród uczonych epidemiologów i bakteriologów, za czym poszły dalsze badania, zmierzające do ustalenia przyrody zarazka, jego hodowli i metod wykrywania. Przekonano się w ślad za tym, że choroba wcale nie jest rzadka, jakby się zdawało. W samych Stanach Zjednoczonych była tak rozpowszechniona, że mało który Stan oszczędziła. Gdy jednak nie znano jeszcze jej przyczyny, nadawano jej w rozmaitych okolicach różne nazwy, jak np. *deer fly fever* (gorączka od jeleniej muchy), *rabbit fever* (gorączka królicza), *hare fever* (gorączka zajęcza) itd. W latach 1924—1936 stwierdzono w Stanach Zjednoczonych u ludzi (urzędownie) 7.077 zachorowań z 345 zakończonymi śmiercią (tj. 4,8%). Roznosicielem zarazy był tam prawie zawsze suseł, czyli wspomniana wiewiórka ziemna (*ground squirrel*) lub dziki królik. W r. 1925 nadeszły doniesienia z Japonii, gdzie zaraza była znana jako choroba Ohary; w r. 1928 przyszły wiadomości ze Związku Radzieckiego, gdzie rozsadnikami były susły, myszy polne i szczury wodne; w r. 1930 z Norwegii — (tu szerzyły chorobę lemingi i zające); w r. 1931 ze Szwecji; w r. 1932 z Włoch; 1936 z Turcji europejskiej; 1939 z Grecji. W r. 1936 zjawiła się epidemia w Austrii. Zachorowało 200 osób z których zmarła tylko jedna. Tegoż roku we wrześniu zawlokły epidemię zające i króliki z Austrii na Morawy. Tu przerzuciła się w październiku na ludzi i trwała do lutego 1937. Przechorowało się przeszło 200 osób. Epidemia była łagodna, nikt nie umarł. Obliczono, że 90% osób zaraziło się od zajęcy, 10% od królików. Zapadło mężczyzn 94, kobiet 86, dzieci 23. Obserwowano obie formy: gruczołową i tyfoidalną. Chorobę opanowano dzięki bardzo surowym zarządzeniom zapobiegawczym. I tak wyniszczono wszystkie gryzonie w dotkniętej zarazą okolicy (Morawy południowe), wydano zakaz wywozu zajęcy i królików, zwłoki zwierząt padłych palono.

W latach 1942 i 1943 zarejestrowano w armii niemieckiej dość liczne wypadki z frontu wschodniego, mianowicie z okolic Kijowa. Tu przeważały objawy ogólne, podobne do grypy z zapaleniem płuc.

Po wojnie uczeni radzieccy bardzo gruntownie przebadali zagadnienie tularemii. Oni pierwsi opisali i zróżnicowali ośrodki biologiczne, w których mimo odmiennego charakteru otoczenia zarazek tularemii znajduje sprzyjające warunki bytowania. Uczeni radzieccy rozróżniają następujące trzy rodzaje ośrodków:

1. pola i łąki — głównym nosicielem zarazka jest tu nornik zwyczajny (*Microtus arvalis*), zarazki przenosi pewien gatunek wszy, pchły i kleszcza;
2. doliny rzek, potoków, brzegi wód — przenosi zarazka komar (*Aedes*), ślepak (*Chrysops*), wesz, pchła, jako też woda, a dominującym gatunkiem nosiciela jest tu wspomniany szczur wodny, czyli karczownik;
3. lasy, zarośla — głównymi nosicielami zarazka: mysz leśna (*Mus sylvaticus*), nornica ruda (*Hypudaeus glareolus*), wiewiórka, zając, a roznosi zarazę przeważnie kleszcz, mianowicie jego gatunek klasyczny: *Ixodes ricinus*, nadto komar.

Zapytajmy teraz, jakie istnieją pod tym względem warunki w Polsce. Łatwo stwierdzić, że nie różnią się od opisanych na terenie Rosji europejskiej. Mamy tu, jak zresztą w pozostałej strefie umiarkowanej, tych samych nosicieli zarazka, jak i roznosicieli. Jeżeli dodamy, że w krajach sąsiednich epidemie tularemii występowały (Austria, Czechosłowacja, ZSRR), to ominięcie Polski możemy uważać za rzecz przypadku. Wielkiej, masowej epidemii zwierzęcej, któraby siłą faktu musiała przenieść się na ludzi, nie było u nas na pewno. Małą i lekką mogliśmy przeoczyć.

Znany nasz zoolog, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, dr Kazimierz Simm, obserwował od jesieni r. 1946 aż do końca r. 1947 w niektórych powiatach Ziem Zachodnich masowy pomór na gryzonie polnych, głównie nornika zwyczajnego (*Microtus arvalis*), poprzednio równie masowo rozmnożonego. Takiej rozmnoży sprzyjały niezwykłe urodzaje i zaleganie w polu niesprzątniętego zboża, a przy tym wyniszczenie lub wystraszenie w czasie działań wojennych drapieżników skrzydlatych i czworonożnych. Ludzie zajęci w polu chorowali równocześnie. Były to objawy jakby lekkiej grypy z biegunką i niewielką gorączką. Nasunęło się więc podejrzenie czy to nie tularemia. Badanie bakteriologiczne wykazało zarazka z grupy obejmującej także zarazka tularemii, ale czy to był ten właśnie zarazek, nie udało się stwierdzić. Możliwe, że była to pierwsza notowana u nas epidemia tularemii o bardzo lekkim przebiegu.

Słówko o leczeniu. Środka niezawodnego nie posiadamy jeszcze. Jakiś czas łudzono się, że specyficzna surowica została odkryta i że spełni ona pokładane w niej nadzieje. Różnych innych, nowoczesnych środków próbowano bezskutecznie aż do odkrycie streptomycyny. Ona to, byle wcześnie użyta, daje wyniki doskonałe, nawet podobno zdumiewające.

Rozpisałem się nieco szerzej o całej tej sprawie, sądząc że nie będzie to bez pożytku dla ogółu naszych myśliwych. Epidemia tularemii może wybuchnąć w Polsce każdej chwili. Jej pojawienie się pierwsi powinniby dostrzec myśliwi. Pierwsze padłe gryzonie powinny zwrócić uwagę zarówno myśliwych, jak leśników, strażników lasowych i polowych. Im wcześniej przyszłoby w danym razie ostrzeżenie, tym rychlej opanuje się postęp zarazy zwierzęcej i tym pewniej zapobiegnie jej przerzucaniu się na ludzi. Znajomość sposobów szerzenia się choroby uchroni nawet laika od niepotrzebnego zakażenia, a zachowanie się zapobiegawcze jest jednym z najgłówniejszych postulatów higieny społecznej.

Na myśliwym też, równie jak na leśniku i rolniku, zależnie od zwierzęcia roznoszącego zarazę, spocznie w danym wypadku obowiązek współdziałania w doszczętnym wykorzenieniu pierwszego jej ogniska.

BOLESŁAW STRZELECKI
Lekarz weterynarii

WŚCIEKLIZNA LISÓW

Stwierdzenie chorób zwierząt łownych natrafia na znaczne trudności, gdyż przytrzymanie chorej sztuki i zbadanie jej za życia, jakoteż znalezienia trupa i stwierdzenie sekcyjne przyczyny śmierci — jest wręcz uzależnione od przypadku.

W latach 1947/48 na terenie pogranicznych powiatów województwa śląskiego, graniczących z Czechosłowacją, a między innymi również na terenie powiatu Głubczyce pojawiła się wścieklizna lisów, która spowodowała znaczne zmniejszenie się pogłowia tego drapieżnika na niektórych terenach, a nawet zupełny ich zanik. O ile z jednej strony zmniejszenie się ilości lisów wpłynęło bardzo dodatnio na wzrost stanu zajęcy, kuropatw i bażantów, to z drugiej strony stałe zmniejszanie się ilości lisów może okazać się zgubne dla zwierzostanu, gdyż powszechnie jest wiadome, że lis w terenie łowieckim pełni niejako obowiązki sanitarne, wyłapując łatwo sztuki chore, cherlaki, źle odżywione, oczyszczając w ten sposób teren z elementu nieodpowiedniego dla hodowli.

Ze wścieklizną lisa zetknąłem się po raz pierwszy w roku 1945 na terenie powiatu Przemyśl, gdzie w miejscowości pod miastem wściekły lis w biały dzień zaatakował gęsi i broniącą gęsi dziewczynę dotkliwie pokąsał. Dopiero interwencja domowników uwolniła napadniętą od dalszego kąsania; lisa zabito i przyniesiono do biura weterynaryjnego starostwa. Zarówno sekcja, jak też badanie wysłanego do Zakładu Hygieny Weterynaryjnej w Krakowie mózgu wykazało istnienie wścieklizny. Pokąsaną dziewczynę skierowano do szczepienia ochronnego przeciwko wściekliźnie.

Jak wspomniałem wyżej, wścieklizna lisów pojawła się na terenie powiatu głubczyckiego, w kilku przypadkach stwierdzono ją u padłych i zabitych lisów, jak również stwierdzono ją u psów, które były pokąsane przez dotknięte wścieklizną lisy.

Wścieklizna lisów, podobnie jak wścieklizna psów, wywołana przez przesączalny Virus, przebiega w tych samych objawach, co u psów. Zarażenia następuje przeważnie przez pokąsanie. Zależnie od miejsca ukąszenia i ilości śliny, która dostała się do rany, wybuch wścieklizny może być szybszy lub wolniejszy. Okres wylęgania się choroby trwa od 2 do 8 tygodni. Przy ukąszeniach, położonych blisko mózgu, na szyi, głowie, uszach, nosie, wybuch choroby następuje bardzo szybko i w 80% jest śmiertelny. Objawy chorobowe można podzielić na trzy stadia.

Pierwsze stadium tzw. zwiastunowe charakteryzuje się nienormalnym zachowaniem się chorego zwierzęcia, chowanie się w ciemnych miejscach, wykonanie ruchów głową, robiących wrażenie odpędzania much, brak apetytu, zmiana głosu.

W stadium drugim, mniej więcej w trzecim dniu choroby, występuje silne podniecenie, agresywność, chęć gryzienia przedmiotów, rzucanie się na ludzi i zwierzęta. Stadium to trwa do trzech dni, przy czym zwierzęta, w tym wypadku lisy, biegną bez celu dość daleko, gryząc po drodze napotkane psy, koty i inne zwierzęta. W ostatnim stadium, tzn. porażeniowym, następuje porażenie mięśni szczęk, szyi, piersi, kończyn i śmierć z zupełnego wyczerpania, przy bardzo znacznym wychudzeniu.

Przeważna ilość lisów, padłych na wściekliznę, nie zostaje znaleziona, gdyż giną zaszyte gdzieś w ustronnych miejscach.

Że wścieklizna lisów poczyniła ogromne ubytki w pogłowiu lisim mam na to dowody z terenu Głubczyc, gdzie w sezonie 1947 r. strzelano je na każdym prawie polowaniu, a po epidemii 1948 r. prawie się ich nie widzi, a strzelanie lisa należy do rzadkości.

Dlatego słuszne jest zarządzenie zabraniające strzelania i łowienia lisów od końca lutego do końca lipca.

Ostatnia uchwała walnego zgromadzenia PZŁ w Katowicach z dnia 16.IV.1949 r. poszła jeszcze dalej, zalecając ochronę lisa do końca października.

Najbliższa przyszłość pokaże czy zarządzenia te odniosą pożądany skutek.

ZYGMUNT JASIŃSKI

ŁUSKI

Wielu myśliwych, w szczególności tych, którzy mieszkają na dalekiej prowincji, nie mając możności zaopatrywania się w potrzebną im amunicję, nabyło łuski mosiężne, jakie otrzymaliśmy ze Związku Radzieckiego, bądź też metalowe, produkowane przez Państwową Fabrykę Amunicji w Skarżysku.

Oba rodzaje tych łusek stanowią fabrykaty wysokiej jakości i przy prawidłowym użyciu mogą być eksploatowane bardzo długo. Szybka amortyzacja kosztów ich nabycia, w porównaniu z kosztami łusek tekturowych, powoduje, że koszt naboju sprowadza się do sumy wydatków na spłonkę, śrut, proch i przybitki.

W literaturze łowieckiej, zarówno przed — jak i powojennej, nie znajdujemy szerszego omówienia stosowania łusek metalowych do naboju śrutowego. Podręcznik Downara Zapolskiego pt. „Dubeltówka śrutowa — Nabój — Strzelanie", poświęca im tylko krótką wzmiankę.

Należy to uznać za brak bibliograficzny, który, wobec rozpowszechnienia się łusek metalowych, wymaga uzupełnienia.

Nabój w łusce tekturowej, sporządzony fabrycznie, jest ideałem naboju śrutowego. Wszelka broń myśliwska jest zbudowana właśnie na ten nabój. Średnice komór nabojowych i luf są pomyślane w ten sposób, że będzie się z nich strzelać z łusek tekturowych: otwór łuski odpowiada niemal ściśle średnicy światła lufy. W ten sposób przybitki na śrut i proch, wraz z ładunkiem śrutu, przechodzą w chwili strzału przez równy kanał, nie potrzebując zmieniać swej objętości.

Rzecz ma się inaczej przy łusce metalowej, o cienkich, mierzonych w ułamkach milimetra ścianach (0,4 mm). Otwór tych łusek jest znacznie szerszy od światła lufy, przeto musimy stosować przybitki o większej średnicy niż przy łuskach tekturowych, co powoduje, że przy strzale przybitki jak i ładunek śrutu, przechodząc do lufy, muszą ulec zwężeniu do średnicy światła lufy. Powoduje to przemianę ładunku śrutowego: ile przed strzałem stanowił on walec o niewiele większej wysokości od średnicy, to w chwili znalezienia się w lufie wysokość jego wydatnie wzrośnie kosztem średnicy. Taka metamorfoza musi z kolei powodować zniekształcenie choćby najtwardziej zahartowanych śrucin, osłabienie ostrości strzału i większy rozrzut. Jest to ujemna strona łusek metalowych w porównaniu z tekturowymi.

Ale jest jeszcze druga równie ważna.

Ostatnią czynnością przy wyrobie naboju w łusce tekturowej jest jej zawinięcie (zakręcenie). Przy stosowaniu prochu bezdymnego czynność ta ma duże znaczenie. Proch bezdymny wymaga (dla należytego wykorzystania jego siły) pewnego

METALOWE

oporu w początkowym momencie strzału.

Gdy opór ten będzie za mały, wówczas spalenie prochu stanie się niezupełne, a to wpłynie na osłabienie strzału.

Szybkość spalania się prochu bezdymnego i jego siła, jeżeli chodzi o proch używany do śrutowych broni myśliwskich, są tak obliczone, aby przy oporze nowej, właściwie zakręconej łuski tekturowej, dały wybuch, który w całości będzie wykorzystany. Downar Zapolski określa siłę oporu zakręconych brzegów łuski tekturowej na 20—25 kg. Można to sobie wyobrazić w ten sposób, że gdybyśmy chcieli ciśnieniem od wewnątrz łuski wypchnąć przybitkę, rozprostowując zakręcenie łuski, to przybitkę tę należałoby obciążyć ciężarem większym niż 20 czy 25 kg. Twierdzenie Downar Zapolskiego dotyczy łusek nowych, bo tektura już po pierwszym strzale ulega przemianom, osłabiającym jej strukturę i twardość.

Omówioną na wstępie ujemną stronę łuski metalowej, wynikającą z tego, że ma ona szerszy otwór od łusek tekturowych, można usunąć przez zastosowanie wkładek - tulejek tekturowych, których wymiary zamieszczone są w podanej poniżej tablicy. Tulejki należy sporządzać ze zwykłej, twardej tektury introligatorskiej, w dobrym gatunku, o grubości około 0,8 mm. Wycięty z takiej tektury prostokącik zwijamy na ołówku, na kształt mankieta. Taką tulejkę do prochu wpycha się aż do dna łuski i przykleja.

Tulejki stwarzają oparcie dla przybitek, nie pozwalając im sprasować prochu, co przy stosowaniu bezdymnego jest nawet niebezpieczne.

Przy stosowaniu łusek stalowych, ponieważ ścianki ich przy dnie są grubsze, tekturki należy odpowiednio skośnie ściąć po brzegach tak, aby należycie pasowały.

Niezwykle ważną czynnością jest prawidłowe wklejanie tulejek. Odbywa to się w ten sposób, że przed wepchnięciem jej do łuski smarujemy dokładnie, lecz nie za suto, wnętrze łuski od dna do połowy wysokości klejem, używanym do fotografii i jako klej biurowy. Klej wprowadzamy do łuski przy pomocy pędzelka lub nawet okrągłego drewienka albo ołówka, tak aby nie zabrudzić samego dna łuski, w szczególności spłonki.

Tulejka przed wepchnięciem powinna być również umiarkowanie posmarowana klejem. Prawidłowo wklejona tulejka wytrzymuje bez większych zmian 2—3 strzałów, jednakże trzeba sprawdzać czy nie uległa zbytniemu obniżeniu lub choćby częściowemu odklejeniu.

Jest to bardzo ważne, bo gdyby się odkleiła, może po strzale pozostać w lufie, co przy następnym strzale może z kolei spowodować uszkodzenie lub rozerwanie lufy. Dlatego wskazane jest już po drugim użyciu usunąć tulejkę na proch, oczyścić łuskę z jej pozostałości.

Aby klej należycie wysechł i nie udzielił swej wilgoci prochowi, łuskę próżną po wklejeniu tulejki trzeba postawić przynajmniej na kilka godzin do wysohnięcia w suchym i ciepłym miejscu.

Jak z tego widać z tulejką na proch mamy dużo kłopotu. Dlatego kto nie ma dość cierpliwości i czasu na te czynności, może jej nie stosować, wsypując proch bezpośrednio na dno łuski metalowej, byleby potem „z czuciem" docisnął przytulejki na proch, po nasypaniu go i nałożeniu oklejonej przybitki wojłokowej lub dwóch przybitek tekturowych pod i na nieoklejoną wojśrut. Srut powinien się mieścić w tej tulejce swobodnie, a dla ustabilizowania go można pod niego podłokową, zakładamy tulejkę na bitkę.

Po wklejeniu lub bez wklejenia łożyć kawałek wojłoku, co zapewni trwałe ułożenie śrucin w naboju, po przygnieceniu przybitkami od góry. Jest wskazane, aby tulejka na śrut została od swej strony zezwnętrznej nasycona jakimś tłuszczem. Tulejka na śrut spełnia następujące zadania:

1) Ujemne zjawisko zmiany ułożenia się śrucin i ich deformacja zmniejszy się do minimum, gdyż śruciny, przechodzą z łuski do lufy, wgniatają się w tekturę tulejki. Można się o tym dowodnie przekonać, podnosząc ją po wystrzale: wyraźne, równe i głębokie odciski śrucin wskazują, że śrut wyszedł z lufy, nie ulegając deformacji.

2) Sruciny, przechodząc przez lufę, nie ścierają się o nią. Ma to znaczenie dla ostrości strzału i jego rozrzutu. Tulejka, tuż przy wylocie z lufy, rozwiera się, opadając na przestrzeni kilku czy kilkunastu metrów.

3) Lufa nie mając bzpośredniego kontaktu ze śrutem, nie ulega w ogóle zaołowieniu. Czyszczenie po takich strzałach jest łatwiejsze niż po strzałach nabojami bez tulejki.

4) Gazy prochowe mają znacznie mniej możności przedostawania się między śrut. Przeszkadza temu tulejka, a zwłaszcza okoliczność, że pchająca ją przybitka wojłokowa o większym wymiarze niż przy łuskach tekturowych, spełnia lepiej swoje zadanie.

Teraz pozostaje jeszcze problem ostatni — stworzenie oporu, który odpowiadałby oporowi prawidłowo zakręconej łuski tekturowej.

Tulejka na śrut bezsprzecznie i tu odgrywa dodatnią rolę. Przylegając całą swoją zewnętrzną powierzchnią do ścian łuski, stwarza przez tarcie większy opór niż okrągłe, mające tendencję do toczenia się śruciny. Jest jednak oczywiste, że opór ten jest za mały i można go powiększyć jedynie przez zastosowanie odpowiedniej przybitki. Downar Zapolski radzi tu zastosować przybitkę korkową.

Znacznie jednak pewniejsze będzie zastosowanie dwóch przybitek tekturowych, przyklejanych do ścian łuski w następujący sposób: po nasypaniu do tulejki śrutu, należy włożyć zwykłą, szczelną przybitkę tekturową o grubości 0,8 mm, po czym wewnętrzne ściany wylotu łuski, widoczne ponad tą przybitką, wysmarować małym pędzelkiem czy zapałką, dość gęstą politurą z szellaku, oraz wcisnąć drugą przybitkę tekturową o większej średnicy.

Politurę do tego celu sporządza się w sposób następujący: do buteleczki nasypuje się do 2/3 wysokości szellaku i zalewa do pełna denaturatem. Do użycia po 2 dniach.

Ta większa, „korkująca" nabój przybitka wciśnie się w łuskę, zawijając swe brzegi ku górze, co zwiększy powierzchnię sklejenia. Zapewnia to, że ładunek śrutu nie wysypie się podczas odrzutu przy strzale z drugiej lufy, a co najważniejsze — powstanie opór, którego określić nie potrafię, jednak na podstawie doświadczeń mogę stwierdzić, że opór ten jest właściwy. Efekty strzałów z elaborowanych w ten sposób nabojów są najzupełniej zadowalające.

Podana poniżej tablica dla cal. 16 i cal. 12 ułatwi myśliwym, którzy chcieliby w praktyce wypróbować opisaną wyżej metodę, w zorientowaniu się co do rozmiarów przybitek, tulejek i przybijaków do przybitek, potrzebnych do wyrobu takich naboi.

Uwaga redakcji. Zamieszczamy powyższy artykuł, jako interesujący przyczynek do zagadnienia wykorzystania łusek metalowych. Ale nie możemy oprzeć się wrażeniu, że sposób proponowany jest bardzo skomplikowany, a przypadkowe pozostanie tulejki w lufie może być wysoce niebezpieczne.

	cal. 16	cal. 12
Średnica przybitek wojlokowych i zwyklych tekturowych	18 m/m	20 m/m
Średnica przybitki tekturowej do zaklejania naboju szellakiem	19 m/m	21 m/m
Wymiary tekturek na tulejki	23 X 52 m/m	23 X 58 m/m

MIECZYSŁAW SKONIECZNY

Ośrodek hodowlano-szkoleniowy psa myśliwskiego

ZALEDWIE 3 km przed popielowym grodem Kruszwica, przy szosie Inowrocław — Kruszwica, położone są Rożniaty, piękny majątek Państwowych Gospodarstw Rolnych.

Po rozbiorach Polski, ongiś polskie dobra rycerskie Rożniaty, dostały się w ręce baronów pruskich v. Moellendorf - Wilamowitz, którzy jeszcze w Polsce przedwrześniowej i w czasie okupacji hitlerowskiej żyli z potu robotnika polskiego.

Dzisiaj Rożniaty są państwowym majątkiem hodowlanym.

Ponad 100 ha lasu wydzielono z majątku i oddano pod administrację Lasom Państwowym. Z przyległymi lasami Łojewa obejmuje leśnictwo Rożniaty, włączone do nadleśnictwa Gniewkowo, około 300 ha obszaru, a w najbliższej przyszłości będzie zalesionych 500 ha okolicznych ziem, słabych pod uprawę zbóż,

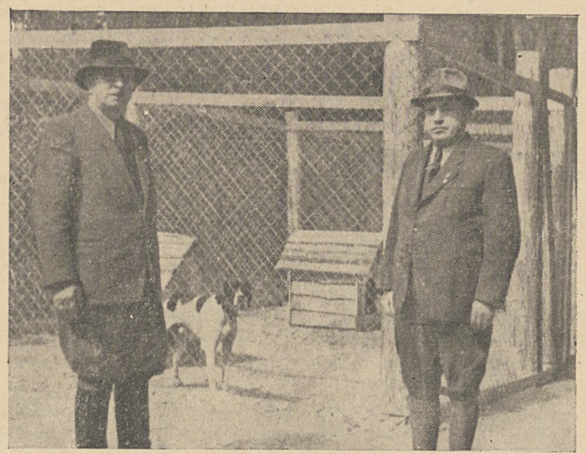
Leśnictwem Rożniaty interesuje się dzisiaj wielu ludzi w Polsce, szczególnie myśliwi i kynolodzy, gdyż dzięki usilnym staraniom Łowczego powiatu inowrocławskiego, Kujawskiego Koła Łowieckiego i Oddziałowi Rady Kynologicznej w Inowrocławiu powstał tu w ub. roku Ośrodek Hodowlano-Szkoleniowy Psa Myśliwskiego.

Dojazd z Inowrocławia do Rożniat jest doskonały — autobusem lub pociągiem w kierunku Kruszwicy. Przybywający do stacji kol. Rożniaty podróżny, już po przejściu około 300 m. w kierunku widocznego lasu, usłyszy miłe dla ucha myśliwego akordy psiej gry, wychowanków leśniczego i „profesora" Walentego Przybyły, znanego hodowcy i trenera psa myśliwskiego, a specjalnie wyżła kontynentalnego.

Mijamy leśniczówkę, schludne zabudowania gospodarcze i wchodzimy do „państwa psów". W pawilonie za wysokim ogrodzeniem z siatki drucianej wybudowano na razie 10 „mieszkań" psich. Każdy pies ma swój solidny domek i dość obszerny wybieg. Czystość bije wprost w oczy tak, że każdy piesek musi się tu czuć dobrze.

Leśnictwo Rożniaty nadaje się wybitnie na ośrodek hodowlano-szkoleniowy psa myśliwskiego, ponieważ poza fachową obsługą, dogodnym i zdrowym położeniem posiada właściwe warunki terenowe i różnorodność zwierzyny, co razem stwarza podstawę do wszechstronnego szkolenia psów dla celów łowiectwa.

Warunki terenowe Ośrodka są rzeczywiście wymarzone; jest las o różnorodnym i różnowiecznym drzewostanie i bogatym podszyciu, w niektórych częściach przypominający knieję pierwotną. Są polany leśne i smugi wodne, a blisko przepływa rzeka Noteć. Są bagna i 4.000 ha ziemi uprawnej z remizami polnymi, specjalnie wydzierżawionej przez Radę Kynologiczną w Inowrocławiu dla celów szkoleniowych. W tak urozmaiconym terenie nie może brakować zwierzyny, tym bardziej przy racjonalnej i planowej gospodarce łowieckiej, zapoczątkowanej przez Ośrodek. I tak jest rzeczywiście!



Założyciele ośrodka w Rożniatach: leśniczy W. Przybyła — kier. ośrodka szkoleniowego i St. Zawierucha — prezes Oddz. Rady Kynologicznej.

Zwierzyny jest dużo, co potwierdzić może każdy uczestnik zeszłorocznych polowań reprezentacyjnych i Ogólnopolskiego Konkursu Wyżłów Kontynentalnych. Sarny mają w lasach rożniackich swoją ostoję, a dzik i wydra nie są rzadkością. Z drobnej zwierzyny, żyjącej na terenach Ośrodka, należy wymienić zająca, dzikiego królika, bażanta i kuropatwę. Stan zajęcy i kuropatw dorównał w ub. r. prawie stanowi przedwojennemu, a znaczna ilość bażantów jest otaczana specjalną opieką. Wiosną przybywają do Rożniat duże ilości ptactwa wodnego, szczególnie dzikich kaczek, które w tutejszych szuwarach zakładają swoje gniazda lęgowe, zaś w rejonie polan i smug wodnych można wieczorami usłyszeć chrapanie słonki.

Rzecz jasna, iż tak bogaty zwierzostan przyciąga drapieżników. Wśród tych wiedzie prym nasz kochany i tak przez myśliwych ceniony mikita. Jastrzębie, sokoły krążą często nad lasami rożniackimi, nota bene ilość ich zmniejsza się, gdyż mają zaciętego wroga w osobie prezesa Oddz. Rady Kynologicznej.

Opisane wyżej warunki, tak sprzyjające hodowli i tresurze psa myśliwskiego, przyczynią się niewątpliwie do rozrostu Ośrodka tym bardziej, że Rożniaty posiadają poparcie Władz Państwowych, Naczelnych Władz PZŁ i P. Z. Kynologicznego, które zdają sobie z tego sprawę, jaką wartość przestawia dobrze wyszkolony pies dla gospodarki łowieckiej Polski Ludowej. Natomiast zainteresowanie się Rożniatami myśliwych jest dotychczas nikłe, o czym świadczy słabe obesłanie zeszłorocznego Ogólnopolskiego Konkursu Wyżłów Kontynentalnych, tegorocznego Konkursu Wiosennego dla Psów Młodocianych, oraz słaba frekwencja kolegów-myśliwych na tych konkursach jako gości. **„Trudno sobie wyobrazić myśliwego bez dobrze, wszechstronnie ułożonego wyżła. Jest on tak samo koniecznym, jak dobry sztucer. Niestety nie wielu mamy myśliwych, którzy tak pojmują łowiectwo".** Takie zdanie napisał inż. Gulgowski w swej pracy pt. „Kilka uwag o hodowli wyżła dowodnego", ogłoszonej w „Pomorskim Biuletynie Łowieckim" Nr. 9 z dnia 1.IX.1949 r. Mam wrażene, że nie potrzeba lepszej zachęty.

W niedalekiej przyszłości ma powstać w Rożniatach **Szkoła Menerów i Treserów Psa Myśliwskiego.,** o co zabiega usilnie Oddziałowa Rada Kynologiczna w Inowrocławiu z jej ruchliwym prezesem, kol. Stanisł. Zawieruchą. Konieczności istnienia takiej szkoły nie potrzeba uzasadniać wobec zupełnego braku w kraju młodych treserow psa myśliwskiego. Wszak takich treserów jak koledzy Przybyła, Raszke, Szamołańczyk i Kocikowski jest mało w Polsce, a to już przeważnie ludzie starsi i należy ich zastąpić.

Tradycja hodowli i tresury psa myśliwskiego na Kujawach datuje się od powstania Kujawskiego Koła Łowieckiego w r. 1930. Toteż natychmiast po ostatniej wojnie światowej zabiegało Kujawskie Koło Łowieckie z Łowczym Powiatowym, sędzią Ig. Sobczakiem na czele o uzyskanie odpowiedniego obiektu w terenie, który by się nadawał na ten cel. Poprzez leśnictwo Wierzbiciany, resztówki Łąck i Latkowo trafiono wreszcie wspólnie z nowo zorganizowaną Oddz. Radą Kynologiczną w Inowrocławiu do Rożniat i przyznać trzeba, iż lepszego miejsca na opisany wyżej Ośrodek nie znalazło by się w tej części Pomorza

wg **BORDET**
spolszczył **TARASEWICZ**

REUMATYZM U PSÓW

CZY reumatyzm dokucza w tym samym stopniu psom jak ludziom? na to często stawiane pytanie można odpowiedzieć twierdząco, aczkolwiek reumatyzm u psów przybiera formy specjalne. Jeśli chodzi o reumatyzm mięśniowy, to objawy są podobne do objawów występujących u ludzi. Tu chcę zwrócić specjalną uwagę na formę kostno-stawową reumatyzmu, ponieważ ona najwięcej interesuje myśliwych posługujących się psami. Chodzi nam zatym o prawdziwie „zawodową" chorobę psów myśliwskich. Psy te sympatyczne i z takim zapałem oddające się swej pracy są specjalnie narażone na reumatyzm. Fakt ten irytujący myśliwego, jest interesującym dla patologii porównawczej — można tu stwierdzić, że te same przyczyny wywołują takie same objawy u różnych osobników, jak u ludzi, a u koni specjalnie.

Początkowo zobaczymy jak można rozpoznać chorobę, a potym zaczniemy badać przyczyny jej powstania.

Pies zapalony do pracy myśliwskiej, który nie waha się kopać ziemi w pogoni za zwierzyną, lub też godzinami aportować z wody, ile razy tylko zdarza się okazja — pewnego dnia zaczyna kuleć, przypuśćmy, że na lewą tylnią nogę. Mimo dużej pasji, ból jest tak silny, że wydajność pracy psa jest znacznie zmniejszona. Dokładne badanie stopy nie wykazuje nic podejrzanego, nic co mogłoby wytłumaczyć taki silny ból. Gdy się przerywa pracę, kulawizna się zmniejsza — z chwilą wznowienia polowania dolegliwość powraca. Często ból przechodzi na drugą kończynę, która pierwotnie wspomagała pierwszą, bardziej uczuloną. Ta druga kończyna była również zaatakowana w mniejszym stopniu, a następnie objawy wystąpiły wyraźniej.

Dokładne badanie kończyny pozwala ustalić silną gorączkę w miejscu stawu kolanowego. Ruchy tego stawu przy lekkim już zginaniu, prostowaniu, skręcaniu wywołują wzmożenie bólu. Zwierzę uskarża się i broni.

W okresie zmiennej pogody, trwającej tygodnie lub miesiące, miejsce zaatakowane zaczyna ulegać deformacji. Pomimo zabiegów miejscowych kulawizna rozwija się. Choroba posuwa się nieubłaganie naprzód w związku z pracą myśliwską wykonywaną przez zwierzę. Wydajność jednak zmniejsza się coraz bardziej. Co się dzieje? Powtarzające się stale wysiłki działające na stawy nadgarstka utworzyły początkowo małe uszkodzenia, minimalne zerwanie wiązadeł stawowych centralnych czy też zewnętrznych, ponadto związane z tym nadmierne wydzielanie mazi stawowej sprowadza nadciśnienie międzystawowe co daje uszkodzenie chrząstki. Te zmiany aczkolwiek nieznaczne, dają się odczuć natychmiast w całym organizmie. Zapalenie poprzednio lokalne rozszerza się powoli aż dojdzie do najbliższej tkanki kostnej, które reaguje na swój sposób. Podrażnienie wiązadeł prowadzi do utworzenia się owłóknień obwodowych. Reakcja kostna wyraża się narastaniem „bujaniem" kości tak zwanym guzem kostnym, który prowadzi do unieruchomienia kości w stawie. Proces ten wyraża się deformacją zewnętrzną. Ruchy w stawach są coraz bardziej utrudnione. Stawy tężeją. W obliczu tej zmiany, rozumie się dlaczego chore zwierzę tak cierpiało od początku. Cały jego system czuciowy był ogarnięty rozwojem „bujania" kostnego oraz przez ucisk panujący w zaatakowanych woreczkach maziowych.

Jednak nie wszystkie psy myśliwskie są jednakowo podatne na tego rodzaju okropne choroby, tak jak i niewszystkie konie kuleją. Choroba wybiera sobie ofiarę. Podstawą reumatyzmu we wszystkich rodzajach zaobserwowanych jest praca specjalnie męcząca i drażniąca poszczególne stawy. Zawsze też obok tego momentu drażniącego, spotyka się okoliczności sprzyjające, np. wrażliwość tkanki danego osobnika. Tkanka kostna jest w tym wypadku najważniejsza. Może być ona osłabiona już w młodym wieku przez nieodpowiednie żywienie, brak wapna i witamin A, D i C, lub też rachityzm, lub nawet stan przedrachityczny. lekceważone wypadki zapalenia jelitowego, zaniedbane zarobaczenie, brak higieny podczas cieczki, ciąży mogą również mieć groźne konsekwencje dla szczeniaków jak i dla rodziców.

Przemęczenie polowaniem zbyt młodych, niezaprawionych jeszcze psów, też może mieć złe skutki. Różne infekcje, jak np. nosówka i jej pozostałości przez swą działalność toksyczną nadają stawom pewną delikatność. W końcu dziedziczność odgrywa tu dużą rolę. Rodzice przekazują dzieciom pewne skłonności, jak np. słabość tkanek, specjalnie kostnej itp.

Z tego pobieżnego przeglądu możemy wyciągnąć pewne wskazówki profilaktyczne. Przy wyborze psów w rasie nas interesującej, celem uniknięcia choroby należy zastosować się do poniższych uwag. Uważna selekcja winna wydzielić reproduktorów takich, którzy mają wyraźne defekty kostne, słaby kościec i słabe stawy. Wybiera się osobniki silnie zbudowane i wytrwałe w pracy. Dba się o to by żywność była zdrowa, wystarczająca, urozmaicona dla wszystkich psów, a specjalną uwagą winny być otoczone suki ciężarne i karmiące. Higiena pracy i powolne do niej przyzwyczajanie się konieczne w sporcie. Ponadto należy uważać na wszelkie niedomagania, choroby zaraźliwe i pasorzyty.

Gdy choroba się rozpocznie, można próbować z nią walczyć tak długo, jak tylko daje się zatrzymać jej rozwój. Leczenie według wskazówek specjalisty dąży do przedłużenia użytkowności zwierzęcia. Calcium, Formicyn, witaminy, promienie ultrafioletowe i podczerwone, diatermia, masaże, kompresy znieczulania miejscowe, gorące powietrze, salicyl sodu, neurectomia itd. Ilość i rozmatość lekarstw wskazuje na trudności, przed jakimi się staje w obliczu choroby i podkreśla jej doniosłość. Sportowa przyszłość takiego psa jest poważnie zagrożona, chyba, że osobnik zamieni pole na kanapę, wtedy choroba ulegnie zahamowaniu.

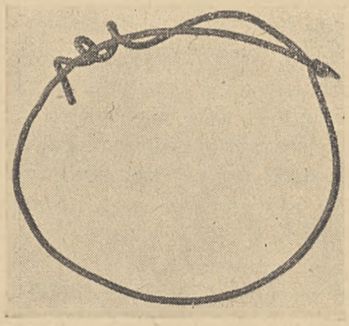
ODYNIEC SCHWYTANY NA WNYK KŁUSOWNIKA

Niezwykły wypadek miał leśniczy Prabucki z Wygody, łowczy miejscowego Kółka Myśliwskiego „Dzik" przy Państwowym Nadleśnictwie Szarłata. Zastrzelił on dnia 25 II br. (wieczorem, około godziny 17) odyńca wagi około 100 kg, (w oddz. 72). Odyniec miał drut zaciągnięty bardzo ciasno dookoła gwizdu, poza szablami, i do tego stopnia, że otworzenie gwizdu było wykluczone.



Odyniec na wnyku

Był to nawet niezbyt gruby 3 mm pojedynczy drut telefoniczny. Przypuszczalnie dzik nadział się na zwykły wnyk na samy i zaciągnął go sobie na kark. Ponieważ kark ma grubszy niż głowę, ciągnąc pętlę zsuwał ją na dół na koniec gwizdu, aż oparła się ona na szablach. Dalszemu zesuwaniu stanęły na przeszkodzie szable. Szarpiąc się odyniec wnyk ten urwał tuż przy gwiździe, jednak przegiął drut przed miejscem zerwania, tak że mimo urwania wnyka pozostała dookoła gwizdu pętla i trzymała się na niewielkim zgięciu drutu, grożąc mu śmiercią głodową. Kula myśliwego położyła kres jego nieszczęściu.



Narzędzie zbrodni

Dzik musiał ten drut nosić już dłuższy czas, zdradzało to jego zachowanie się, zatracenie poczucia rzeczywistości graniczące z obłędem, np. kręceniem się w miejscu dookoła, podchodzenie bez obawy do domów itp. Dzik żył tylko wodą. Skóra i mięśnie w miejscu okręconego drutu na gwiździe były przecięte niemal do kości. Żołądek miał zupełnie pusty, w kiszkach sama woda. Objętość jelit razem z żołądkiem zaimowała około 1/2 wiadra, o wadze około 5 kg, gdy normalnie żołądek i jelita objętościowo zaledwie mogą się pomieścić we wiadrze i ważą do 15 kg. Wątroba i śledziona były wyschnięte, cienkie, grzbiet ostry, kliniasty, szynki tylne wychudzone zupełnie.

Że wypadki takie nie są odosobnione świadczy o tym inny wypadek z wnykiem w tym samym Nadleśnictwie. Leśniczy Dalec z leśnictwa Wydry, tropiąc dzika postrzałka znalazł go szamoczącego się przy małej sosence. Dzik po zaciśnięciu wnyka na gwiździe, na wysokości szabel (podobnie jak odyniec z Wygody) wyrwał wnyk razem z sosenką, do której wnyk był umocowany, i dopuścił myśliwego na bardzo dogodny strzał.

Na załączonych zdjęciach uwidoczniono miejsce zaciągnięcia pętli na gwiździe i sam wnyk.

Inż. F. Zawirski
nadleśniczy z Szarłaty

Tępienie kłusownictwa obowiązkiem każdego myśliwego

JERZY OŚWIĘCIMSKI

Z działalności Warszawskiej Rady Łowieckiej

Uchwycenie organizacyjne terenu, powołanie do życia rad powiatowych i pobudzenie do tworzenia się stowarzyszeń łowieckich, by po tym etapie wstępnym przejść do etapu zasadniczego, pracy nad ochroną i podniesieniem zwierzostanu oraz racjonalnym wykonywaniem polowania — oto zadania, które nakreśliła sobie wybrana w jesieni 1946 r. Warszawska Wojewódzka Rada Łowiecka.

Zadania te nie były łatwe. Sam teren, jak i jego zwierzostan ucierpiały ogromnie wskutek działań wojennych, dawni działacze na polu społeczno-łowieckim byli zdziesiątkowani, nowi jeszcze nieznani, społeczeństwo było zdemoralizowane okupacją, bardziej skłonne do wszelkich wykroczeń przeciwko prawu łowieckiemu.

Nie zrażając się jednak piętrzącymi się trudnościami, Rada Wojewódzka przystąpiła do pracy i powołała do życia komórki powiatowe Polskiego Związku Łowieckiego we wszystkich powiatach.

Z powiatów wybijających się swą działalnością łowiecką wymienić należy przede wszystkim Mińsk Mazowiecki, a dalej Płock, Grójec, Grodzisk, Siedlce i powiat warszawski — część zachodnia.

W pracach organizacyjnych poważny był problem Warszawy, jako samodzielnego województwa z półtora tysiącem członków i pięćdziesięcioma stowarzyszeniami łowieckimi bez terenu. Po różnych próbach rozwiązano zagadnienie w ten sposób, że stworzono jedną Radę Grodzką, zaś biuro tej Rady zlano w jedno z biurem Rady Wojewódzkiej. Dało to oszczędność finansową, a w życiu okazało się najpraktyczniejsze. Rozwiązanie to zostało przez władze naczelne PZŁ zalecone do wprowadzenia go w życie w innych łowieckich radach wojewódzkich.

W chwili obecnej na terenie Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej jest ponad cztery tysiące członków (w tym Warszawa około 1.500), zrzeszonych w 153 stowarzyszeniach łowieckich. Świadczy to, że łowiectwo zostało zdemokratyzowane, że wciągnięto do niego masy robotnicze i chłopskie.

Na odcinku tych stowarzyszeń łowieckich działa niestrudzenie wiceprezes Rady, kol. inż. Wł. Łatkiewicz, instruując stowarzyszenia z miasta i dalekich gmin oraz wpajając w nie zasadę, że „chlubą stowarzyszenia powinna być nie ilość zabitej, lecz ilość wyhodowanej zwierzyny".

Stowarzyszeniom łowieckim społeczeństwa starszego dzielnie sekunduje młodzież, która na terenie Warszawy zorganizowała dwa samodzielne koła łowieckie: przy Politechnice Warszawskiej i przy Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

Łączność z terenem utrzymuje Rada Łowiecka przez wyjazdy członków lub szefa biura na wizytację rad powiatowych i stowarzyszeń łowieckich oraz przez organizowanie odpraw łowczych i podłowczych powiatowych, jak wreszcie przez wydawany od 1948 r. własny biuletyn informacyjny pt. „Komunikat Wewnętrzny", rozsyłany wszystkim łowczym, podłowczym i stowarzyszeniom łowieckim.

Stojąc na straży prawa łowieckiego Rada Łowiecka toczyła energiczną walkę z wszelkimi objawami naruszeń tego prawa. Akcja uświadamiająca w drodze słowa żywego oraz na łamach „Komunikatu Wewnętrznego", a obok tego zawieszania członków, a nawet stowarzyszeń, skargi do prokuratury, orzeczenia sądu łowieckiego, były środkami, które przyniosły poprawę.

Wydano również walkę szkodnikom czworonożnym i skrzydlatym. Ostatnio wprowadzono współzawodnictwo między stowarzyszeniami w walce ze szkodnikami i kłusownictwem.

Wyżej przytoczone prace i osiągnięcia Rady Łowieckiej były środkiem do celu zasadniczego, jakim jest podniesienie i ochrona zwierzostanu. To też najistotniejszym będzie odpowiedź na pytanie, jak się ten zwierzostan przedstawia?

Opierając się na niekompletnych danych statystycznych stwierdzić należy, że stan zajęcy w woj. warszawskim wydatnie się poprawił i obecnie uznać go można za dobry. Świadczą o tym rezultaty jednodniowych polowań w granicach 200—300 szaraków. Nasilenie jednak terenu tą najpopularniejszą zwierzyną jest niejednakowe. Najlepszy stan mają powiaty zachodnie i północne, słabo jest natomiast w powiatach wschodnich.

Kuropatwy, których jeszcze w 1947 roku było dosłownie jak na lekarstwo, rozmnożyły się znacznie tak że polowanie na nie zostało otwarte. Najbardziej obfitują w kuropatwy powiaty zachodnie, a ze wschodnich powiat Mińsk Mazowiecki.

Mniej pomyślnie przedstawia się stan kaczek, gdyż płoszenie samic wiosną wskutek ciągłych i niewłaściwych polowań na kaczory oraz dalsze wykaszanie stawów rybnych i wybieranie jaj — nie sprzyja ich rozmnoży.

Polepszył się natomiast stan cietrzewi i sarn.

Stan dzików tam, gdzie przeprowadzano intensywną, a źle pojętą redukcję, gwałtownie zmalał; w łowiskach natomiast dzierżawionych przez stowarzyszenia łowieckie, traktujących dzika jako zwierzynę, a nie jako szkodnika nr. 1, którego trzeba tępić, utrzymuje się niekiedy na bardzo dobrym poziomie. Jako przykład podać można, że w racjonalnie prowadzonym łowisku S. w sezonie 1949/50 padło 45 sztuk czarnego zwierza.

Lisów jest sporo na całym terenie Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej i stan ich nie ulega na ogół zmianom, co jest jednak, jak widać, hamulcem rozmnoży drobnej zwierzyny.

Z bażantów pozostały tylko niedobitki w łowiskach, gdzie była prowadzona ich hodowla przed wojną. Szereg jednak stowarzyszeń, przy pomocy organizacyjnej i finansowej Rady Łowieckiej, zakupiło i wpuściło komplety bażantów importowanych z Czechosłowacji. Zabiegi więc nad restytucją bażanta w województwie warszawskim zostały zainicjowane.

Tak się przedstawiają w ogólnych zarysach osiągnięcia Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, zreferowane Walnemu zgromadzeniu wojewódzkiemu.

Zgromadzenie to, uchwalając jednogłośnie absolutorium ustępującej Radzie, wyraziło tym samym swoją aprobatę jej poczynaniom.

Zgromadzenie to uchwaliło budżet Rady Łowieckiej na rok 1950, zamykający się sumą 5.076.597 złotych po stronie przychodu i rozchodu oraz wybrano nową Radę w składzie odzwierciedlającym skład socjalny członków obecnego zdemokratyzowanego Polskiego Związku Łowieckiego.

Poświęciło też walne zgromadzenie uwagę przyszłości łowiectwa polskiego. Kol. inż. St. Ihnatowicz, kreśląc cele i zadania łowiectwa w Polsce Ludowej, zaznaczył, że przestało ono być wyłącznie rozrywką, lecz jest jedną z gałęzi gospodarki narodowej, a należne mu miejsce sprecyzuje ostatecznie nowe prawo łowieckie, które gospodarkę łowiecką włoży na barki samorządu łowieckiego. W ten sposób myślistwo stanie się połączeniem, mówiąc potocznie, przyjemnego z pożytecznym, a tylko myśliwi przestaną być towarzystwem wzajemnej adoracji, jak to miało miejsce za czasów dawnych, lecz staną się zorganizowanym zespołem, któremu w udziale przypadnie zaszczytne zadanie współwykonawstwa planów państwowych.

Jako przykład energicznej walki ze szkodnikami łowieckimi w ramach wyżej wspomnianego współzawodnictwa wymienić należy:

1) Koło „Odyniec" z Warszawy, które poprzydzielało poszczególne swoje tereny zespołom 5—6 członków i ci w ciągu wiosny dokonali kilkakrotnych wyjazdów celem odstrzału szkodników.

2) Koło „Ratusz" z Warszawy, które zorganizowało w dn. 7 maja br. na swych terenach w pow. płońskim zbiorowe polowanie na szkodniki, w wyniku którego w ciągu pół dnia padło: 3 psy, 1 kot, 3 wrony, 2 sroki i 1 jastrząb-krogulec.

3) Warszawskie Koło Myśliwskie, które powyznaczało zespoły członków na poszczególne tereny i zespoły te dokonały co najmniej dwukrotnych wyjazdów celem odstrzału szkodników; poza tym koło to dokonuje lotnych kontroli terenów kaczych celem walki z wybieraniem jaj oraz również celem odstrzału drapieżników.

Zjazd władz terenowych PZŁ wojew. łódzkiego radzi nad nowymi formami łowiectwa

W niedzielę dnia 18 czerwca br. w sali Prezydium Rady Narodowej w Łodzi, odbył się zjazd Łowczych, Podłowczych i Łowczych Towarzystw Myśliwskich z terenu województwa łódzkiego.

Zjazd powitał i zagaił prof. Politechniki Łódzkiej ob. Kurowski, zapraszając do stołu prezydialnego myśliwego - robotnika z Końskich oraz myśliwego - tramwajarza z Łodzi.

Obrady rozpoczął referat polityczny Prezesa Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, ob. Kucnera, w którym mówca omówił cel i zadania P. Z. Ł. w dobie obecnej, wskazując jako najważniejsze:

1. oczyszczenie szeregów z elementów kułackich i spekulanckich oraz wprowadzenie do P. Z. Ł. robotników i chłopów mało i średniorolnych,
2. powiększenie siły obronności naszego Państwa przez rozpowszechnianie strzelectwa myśliwskiego, tak wśród starszych jak i wśród młodzieży,
3. zwiększenie zasobów gospodarczych kraju przez racjonalną hodowlę i właściwy odstrzał.

Następny referat wygłosił członek Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, ob. Szewczyk, na temat hodowli i ochrony zwierzyny.

Następnie kierownicy poszczególnych Komisji Rady omówili sprawy organizacyjne, wskazując na braki i usterki w dotychczasowej pracy.

Po referatach rozpoczęto dyskusję, w której zebrani omawiali nie tylko sprawę zwalczania kłusownictwa, racjonalnej hodowli, ale również akcję współzawodnictwa pomiędzy poszczególnymi Towarzystwami Myśliwskimi, organizowanie przy Towarzystwach sekcji młodzieżowych, oraz konieczne oczyszczenie szeregów myśliwskich z elementów obcych nowemu odrodzonemu łowiectwu.

„Musimy wszczepiać w serca naszych myśliwych — powiedział ob. mec. Załęski — nie tylko pojęcie szlachetnego łowiectwa, ale również szlachetne i postępowe uczucia społeczne oraz krzewić wśród członków PZŁ ofiarność bojową w walce o socjalizm".

Dyskusję podsumował Prezes Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, ob. Kazimierz Kucner, stwierdzając, że zjazd wykazał wysoką dojrzałość nie tylko zawodową, ale i polityczną w wychowaniu nowego myśliwego o nowej moralności socjalistycznej. „Praca wasza na niwie łowieckiej — powiedział ob. Prezes — wzmocni i pomnoży wspólny wysiłek całego narodu w tworzeniu lepszej, szczęśliwszej przyszłości oraz zapewni Ojczyźnie naszej rozkwit gospodarczy i stanie się ważnym elementem w realizowaniu 6-letniego planu".

Obrady zakończono zwiedzeniem ogrodu zoologicznego oraz pokazowym strzelaniem do rzutków.

Sprawozdanie z wyniku polowań w powiecie Głubczyce za 1949 r.

W sezonie myśliwskim 1949/50 Koło Myśliwskie w Głubczycach urządziło dwadzieścia zbiorowych polowań, opolowując 2/3 terenu łowieckiego.

Na terenach Koła Myśliwskiego padło razem 8.607 zajęcy, 1.000 kuropatw (planowano odstrzał 3.000), 650 królików, 18 lisów, 28 bażantów (za specjalnym pozwoleniem Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach). Ponadto ubito szkodników: psów 65, kotów 14, jastrzębi 5, wron 22.

Na jednym tylko polowaniu na terenie Baborowa padło w dniu 6 listopada przy udziale 34 myśliwych — 717 zajęcy i 1 lis.

Zarząd majątków PGR Lubotyń opolował swe tereny w rejonie Dzbańce — Lubotyń; ubito na czterech polowaniach 1.200 zajęcy. Na terenie lasów państwowych padło na przygodnych polowaniach 40 zajęcy, a na terenie lasów państwowych magistratu głubczyckiego na dwóch polowaniach ubito 70 zajęcy i 1 lisa.

Razem ubito w powiecie Głubczyce 9.917 zajęcy, z czego 80% przekazano do dyspozycji Jedności Łowieckiej we Wrocławiu, resztę oddano na użytek miejscowej ludności.

W końcu stycznia na terenie Koła Myśliwskiego odłowiono 120 zajęcy sieciami w miejscowościach Braciszów — Zopowo. Z tej ilości 30 kompletów sprzedano Jedności Łowieckiej na eksport, tj. 90 sztuk, 10 sztuk sprzedano kołom łowieckim w kraju, zaś 20 gachów przerzucono na terenie powiatu do miejscowości słabszych pod względem stanu zajęcy.

Połów żywych zajęcy zainteresował ogół członków Koła, tak że wzięto masowy udział w tej imprezie. Akcję tę zorganizował i nią kierował zamiłowany myśliwy, członek Koła, ob. Ludwik Kędzierski.

Wyniki polowań na terenach Koła Myśliwskiego wskazuje jasno, że planowana gospodarka i ochrona terenów daje doskonałe i co rok lepsze rezultaty, albowiem w stosunku do roku ubiegłego padło przeszło 2.500 zajęcy więcej, a stan ich po odbytym sezonie jest zupełnie dobry.

Do tego stanu w wielkiej mierze przyczynia się fakt istnienia tylko jednego koła na terenie całego powiatu, które utrzymuje straż łowiecką. Koło współpracuje z organami władz administracji ogólnej, stara się o utrzymanie dyscypliny wśród członków Koła i zwalcza energicznie kłusownictwo oraz wnykarstwo. Członkowie Koła, którzy nie stosują się do przepisów łowieckich i etyki łowieckiej, są stanowczo karani, a nawet pozbawieni prawa posiadania broni, bez względu na to czy jest to małorolny chłop, czy robotnik, czy inteligentny agronom PGR.

Na ostatnim walnym zebraniu członków Koła uchwalono budżet w wysokości 1.980.000 zł. na rok 1950/51. W budżecie tym poważną pozycję stanowią kwoty na straż łowiecką, tępienie wnykarstwa, premie za wykrywanie kłusowników i dokarmianie zwierzyny.

Walne zebranie członków Koła wybrało ponownie ten sam zarząd na okres trzyletni, dając tym dowód zaufania do całego zarządu i jego prezesa, założyciela Koła, którego starania i zabiegi stwarzają coraz lepsze warunki rozwoju Koła dla pożytku gospodarki łowieckiej w powiecie.

Bolesław Strzelecki
łowczy powiatowy PZŁ



Locha z warchlakiem fot. Wł. Wiśniewski

MGR JADWIGA BEŁŻYŃSKA-BOHUSZOWA

Z obcej literatury

„ŁOW I RYBARSTWO" — miesięcznik, organ oficjalny „Narodowego Związku Łowiecko-Rybackiego" w Bułgarii, w numerach: 1, 2 i 3 br., w części dotyczącej łowiectwa, przynosi bardzo istotne wytyczne programowej działalności Związżku oraz szereg artykułów fachowych, charakteryzujących punkt ciężkości zainteresowań łowiectwa bułgarskiego i założenia programowe pisma.

Kluczowym artykułem w recenzjonowanym numerach jest artykuł redakcyjny pt. „Zadania Narodowego Związku Łowiecko-Rybackiego w świetle postanowień Komitetu Centralnego Bułgarskiej Komunistycznej Partji w sprawach kultury fizycznej i sportu".

Z treści artykułu należy wnioskować, że łowiectwo w Bułgarii jest traktowane przede wszystkim, jako dziedzina sportu, a nie gospodarki narodowej, co zresztą wydaje się zrozumiałe w świetle warunków gospodarczo-łowieckich Bułgarii (patrz artykuł pt. „Stosunki łowieckie w Bułgarii" w nr. 4/50 Łowca Polskiego).

Specjalny nacisk kładzie się w Bułgarii na kwestię umasowienia strzelectwa myśliwskiego. Już w 1949 r. w różnych zawodach strzelecko-myśliwskich uczestniczyło tam przeszło 5.000 zawodników, 108 towarzystw łowieckich i 438 zespołów strzeleckich.

Jako szczególnie ważne zadania „Narodowego Zw. Łowiecko-Rybackiego" stawia się dalsze upowszechnienie strzelectwa, starania o potanienie wyposażenia strzeleckego i myiśliwskiego, zacieśnienia współpracy władz naczelnych Związku z organizacjami terenowymi, rozbudowę aparatu instruktorskiego, selekcję kółek łowieckich z punktu widzenia efektów ich działalności. Specjalnie podkreśla się konieczność wciągania do szeregów Związku kobiet i młodzieży.

Wyżej wyszczególnione postulaty stanowią program działalności „Narodowego Związku Łowiecko-Rybackiego" na 1950 r., uchwalony przez Radę Naczelną Związku.

Artykuł przeprowadza szeroką samokrytykę działalności Związku, uwypuklając dotychczasowe niedociągnięcia w stosunku do linii programowej.

Uchwały Rady Naczelnej obejmują szereg dezyderatów w stosunku do Ministerstwa Leśnictwa, dotyczących działalności państwa w zakresie hodowli i ochrony zwierzyny, zwalczania kłusownictwa i pomocy materialnej dla Związku.

Artykuł A. Wołochowa pt. „BŁĘDY PRZY STRZELANIU STANDOWYM" omawia kwestię treningu strzeleckiego i zasadniczych błędów popełnianych przez strzelców. Specjalnie podkreśla konieczność używania właściwej broni i bezbłędnej amunicji, wreszcie obowiązek sprawdzenia broni przede wszystkim pod względem prawidłowości pokrycia.

Również dużą wagę przywiązuje autor do właściwego dopasowania broni. W tym względzie doradza sprawdzanie broni przez oddanie serii rzutowych strzałów do tarczy na bliską metę, przy czym można również sprawdzić rodzaj pokrycia.

W dalszym ciągu znajdujemy w artykule omówienie różnych błędów celowania, pracy nad eliminacją tych błędów i zasad systematycznego treningu strzeleckiego.

Sprawom strzelectwa myśliwskiego poświęcono w numerach: 1, 2 i 3 „Łow i Rybarstwo" szczególnie dużo miejsca. Znajdujemy tam jeszcze artykuł F. N. pt. „STRZELANIE MYŚLIWSKIE W POLU I W LESIE", A. Burdenki — „SKID", A. Ja — owa — „PRZYGOTOWUJMY SIĘ DO ZAWODÓW STRZELECKICH", R. Ilijewa — „WIĘCEJ STRZELNIC, WIĘCEJ BAZ STRZELECKICH", J. Szulewa — „PIERWSZY KURS INSTRUKTORÓW STRZELECKICH".

Dział techniki polowania reprezentowany jest przez kilka artykułów o bardzo szerokiej tematyce.

M. M. w artykule pt. „TROPY ZWIERZYNY I ICH ZNACZENIE" omawia metodologię tropienia i wszechstronne znaczenie tej umiejętności w wykonywaniu polowania. Zagadnienie ujęte jest przez autora dość głęboko i wszechstronnie, stanowiąc niejako wprowadzenie do spodziewanego obszernego wykładu wskazań praktycznych, którego jednakże publikacja nie zawiera.

Kosta Enczew w artykule pt. „POWAŻNIEJSZE SPOSOBY ZWALCZANIA WILKA" omawia plagę wilków w Bułgarii. Podaje szereg informacji, dotyczących rozmiaru szkód wyrządzanych przez wilki. Podaje np., że w miejscowości podgórskiej Tirdop podczas wiosny i lata do sierpnia włącznie wilki porwały 40 owiec. 10 cieląt, 5 kóz i 3 konie.

Podaje szereg ciekawych spostrzeżeń, dotyczących zwyczajów polującego wilka, sposobów jego napaści na bydło pasące się w lesie, które zawierają istotne wskazówki dla organizowania polowań.

Jako sposoby polowania autor zaleca polowanie z naganką, zasiadkę przy padlinie i trucie, które jest w Bułgarii rozpowszechnionym sposobem zdobywania wilka i lisa.

Ciekawą jest rzeczą, że autor nie wspomina nic o zastosowaniu flader, które jak się zdaje, nie są w ogóle w Bułgarii znane.

Artykuł G. Konstantinowa — „LIS I SPOSOBY POLOWANIA NA NIEGO" zawiera krótki opis przyrodniczy lisa oraz opis paru najpopularniejszych w Bułgarii sposobów polowania na niego, przy czym nie każdy z tych sposobów moglibyśmy nazwać „polowaniem".

Autor podaje, że w Bułgarii rozróżnia się dwie odmiany lisa. Jedna z nich — tzw. „węglarz", o ubarwieniu szarawym i ciemnym, zamieszkuje tereny nizinne kraju. Odmiana druga — bałkański, posiada suknię jaskrawo rudą, z ciemnymi pręgami w kształcie krzyża tak, jak u naszego krzyżaka.

Według autora lis przebywa w norze tylko wyjątkowo — w czasie cieczki, wielkich mrozów i okiści. W okresie cieczki autor szczególnie zaleca „polowanie" z pomocą żelaz— a no — co kraj, to obyczaj.

Polowanie z naganką autor uważa za niezbyt skuteczne. Owocniejsze ma być polowanie w pojedynkę lub w parę strzelb z gończymi, specjalnie przyuczonymi do polowania na lisy — tzw. „lisiarzami".

Dość dużo miejsca artykuł poświęca metodom i technicze zakładania trutek na lisy. Jest to już jednakże proceder, który w Polsce nie nazywa się „polowaniem" i polskich myśliwych nie interesuje.

A. M. pisze pt. „POLOWANIA NA PTACTWO WODNE" o sposobach polowania na kaczki i gęsi.

Sposoby polowania na kaczki autor wymienia takie same, jakie znane są i u nas. A więc strzelanie kaczek z podrywu z łódki lub przy brodzeniu oraz na przelotach wieczornych, podkreślając przy tym dużą stałość szlaków przelotowych, z czym nie można by zgodzić się bez zastrzeżeń.

Strzelanie kaczek na wodzie uznaje za dopuszczalne i nawet godne zalecenia. O polowaniu na sadach nie wspomina zupełnie.

Jako sposoby polowania na gęsi wymienia również polowanie na rannych i wieczornych przelotach oraz zasadzkę w miejscach spoczynku lub na żerowiskach.

Zwraca uwagę na dużą ostrożność ptaka i konieczność dokładnego zamaskowania zasadzki.

Przy zasadzce na polach, na których gęsi żerują, rozkłada się makiety imitujące siedzącego ptaka dla przywabienia sztuk przelatujących. Jednakże autor ostrzega, że gęsi zazwyczaj zniżają tylko lot i nie lądują, spostrzegając podstęp zawczasu. Strzelać więc należy w momencie obniżenia lotu.

Przeloty gęsi na żerowisko odbywają się dwa razy dziennie — między godz. 6 i 9 rano oraz od 4 po południu do zmierzchu.

Artykuł M. Petrunkiewicza pt. „Z PSEM NA PTACTWO BŁOTNE“ omawia taktykę polowania z legawcem na kszyki, dubelty i derkacze, które autor określa. jako podstawową w warunkach bułgarskich zwierzynę błotną.

Artykuł zawiera szereg ciekawych spostrzeżeń, dotyczących zachowania się zwierzyny sposobów prowadzenia psa i specyficznych właściwości poszczególnych gatunków ptactwa.

Strzelanie kszyków autor uznaje za pierwszorzędną szkołę dla młodego psa, wymagającą dalekiej stójki i dobrego doprowadzenia, ponieważ kszyk posiada właściwość niewyciekania przed psem, nie dotrzymując jednocześnie zbyt bliskiej stójki.

Derkacza autor zalicza do zwierzyny błotnej, ponieważ w okresie polowania przebywa on w Bułgarii na niezbyt mokrych łąkach lub w ich sąsiedztwie i w takim terenie należy poszukiwać go z wyżłem.

Autor podkreśla dużą trudność pracy psa dla wypchnięcia derkacza i przestrzega przed używaniem do tego rodzaju polowania młodego, niedoświadczonego psa, który przy tym łatwo ulec może zepsuciu.

Znamiennym jest kompletny brak artykułów o treści hodowlano-łowieckiej, który dobitnie charakteryzuje stosunek bułgarskiego myśliwego do spraw gospodarki łowieckiej i jego przede wszystkim sportowo-strzeleckie podejście do łowiectwa.

Jedyny artykuł — częściowo należący do tej dziedziny tematycznej — to praca . Gajtamdżiewa pt. „TULAREMIA“, która omawia pokrótce występowanie tej choroby zarówno u zajęcy, jak i królików W Bułgarii choroba ta jest mało zbadana i autor, który jest lekarzem weterynarii, udziela porad i wskazówek myśliwym, co do sposobu zbierania obserwacji i korzystania z doświadczeń wiedzy lekarskiej.

Treść recenzjonowanych numerów „Łow i Rybarstwo“ jest uzupełniona przez dwie monografie przyrodniczo-łowieckie pióra M. M. — „KOZICE“ i N. K. Bojewa — ‚DROPIE“. O kozicy autor podaje, że już pierwsza ustawa łowiecka w Bułgarii z 1897 r. obdarzyła tę zwierzynę stopniowo co raz bardziej rozszerzaną ochroną.

Nr I pisma poświęca wzmiankę pośmiertną Elin Pelinowi, zmarłemu 3 grudnia 1949 r. znanemu pisarzowi bułgarskiemu, zapalonemu myśliwemu, który część swej twórczości poświęcił tematyce łowieckiej. Ten sam numer „Łów i Rybarstwo“ drukuje w obszernym skrócie nowelkę Elin Pelina pt. „PO LATACH DWUDZIESTU“. Nowelka ta posiada duże walory literackie i zasługiwałaby na przedruk w Łowcu Polskim. Jest to humorystyczne opowiadanie na temat wyniszczenia w Bułgarii zwierzyny drobnej i niskiego poziomu gospodarki hodowlano - łowieckiej.

Dziełem redakcyjnych, specjalnie zbliżającym pismo do życia terenu, jest dział korespondencji z terenu, zatytułowany „ZWIĄZEK PRACUJE I ŻYJE“. Dział ten zawiera różne informacje organizacyjne. sprawozdania z zebrań, listy czytelników, porady itp.

Strona ilustracyjna pisma nie przedstawia zbyt wysokiego poziomu. Spora część rysunków jest zaczerpnięta z publikacji obcych. Pochlebną dla Łowca Polskiego wzmianką będzie stwierdzenie, że w numerze 1 — 2 „Łow i Rybarstwo“ znajdujemy aż cztery rysunki reprodukowane z numerów Łowca. Szkoda tylko, że „Łów i Rybarstwo“ nie uznaje za właściwe podawania nazwisk autorów i źródła reprodukcji, zamieszczając je anonimowo.



Na skraju lasu. rys. L. Maciąg

JAN B. SZCZEPSKI

Długowieczność i śmiertelność ptaków

NA TEMAT długowieczności ptaków niedużo może współczesna nauka powiedzieć. Mała ilość dowodów nie pozwala na ścisłe określenie granicy wieku poszczególnych gatunków. Dawniejsze dane są oparte raczej na sporadycznych i fragmentarycznych obserwacjach, prowadzonych na ptakach trzymanych w niewoli, które padały zazwyczaj dużo wcześniej niż osobniki żyjące na wolności. Większość jednak tych spostrzeżeń opiera się najczęściej na domysłach oraz wybujałej fantazji. Tego rodzaju dane nie mogą być zatem w żadnym wypadku wiarogodne, a tym bardziej ścisłe. Niektóre gatunki ptaków odznaczają się bardzo długim żywotem, niejednokrotnie przewyższającym wiek przeciętnego człowieka i tu właśnie leży trudność badania ich długowieczności.

Z pomocą przyszła dopiero metoda obrączkowania, mogąca poszczycić się już dzisiaj dokładniejszymi wynikami. Nagromadzenie olbrzymiej ilości wiadomości powrotnych o znakowanych ptakach, umożliwiło częściowo opracować granicę wieku dla wielu gatunków. Ponieważ jednak obrączkowanie stosuje się zaledwie od pięćdziesięciu lat (od 1899 r.), więc wiek osiągany przez znakowane okazy nie jest dostatecznie wysoki. Powodem tego jest duża śmiertelność, wynosząca w pierwszym roku po zaobrączkowaniu u wszystkich prawie gatunków, jak wykazały badania ponad 50%. Odsetek śmiertelności młodych jest dużo większy niż u starych. Z tych właśnie względów wskazane jest obrączkowanie osobników dorosłych, wykazujących poza tym zresztą więcej indywidualności.

Niektórzy autorzy utrzymują, że w gnieździe ginie przeciętnie 1/3 piskląt. Procent wylęgu jaj oraz śmiertelności młodych zależy w dużym stopniu od przebiegu warunków atmosferycznych oraz możliwości wyżywienia. Na przykład u bocianów białych (Ciconia ciconia), znane są wypadki „regulowania lęgów", polegające na tym, że w lata suche, skąpe w pokarm, znoszą mniejszą liczbę jaj. W lata, obfitujące w pożywienie, liczba jaj w zniesieniu jest normalna i wynosi przeciętnie 3—5 sztuk. Według **Höhn'a** śmiertelność młodych kaczek krzyżówek (Anas platyrhynchos) w pierwszym roku życia wynosi aż 89%, starych (w pierwszym roku po zaobrączkowaniu) 65,3%. Wiek powyżej trzech lat przeżywa zaledwie 4,2% krzyżówek obrączkowanych jako okazy dorosłe. Jeżeli chodzi o krzyżówki obrączkowane jako pisklęta, to powyższy wiek osiąga tylko 0,8%. Podobnie kształtują się odsetki śmiertelności u innych gatunków ptaków.

Według moich własnych obliczeń, zestawionych na podstawie wiadomości powrotnych europejskich stacji ornitologicznych, śmiertelność takich kaczek, jak: krzyżówka (Anas platyrhynchos), cyraneczka (Nettion crecca), płaskonos (Spatula clypeata), krakwa (Chauliodus streperus) i świstun (Mareca penelope), wynosi w pierwszym roku po zaobrączkowaniu przeciętnie 59,5%, drugim 20,8%, trzecim 11,0%, czwartym 3,9%, piątym 2,3%, powyżej piątego 2,4%. Małą śmiertelność starych obrączkowanych osobników należy sobie tłumaczyć większym ich doświadczeniem życiowym oraz zahartowaniem na wszelkie trudy. **Phillips** podaje, że w Ameryce na 100 sztuk padłych obrączkowanych krzyżówek, 80 pada od śrutu. Jeżeli chodzi o inne gatunki łownych ptaków, to **Schütz** pisze, że w Anglii 95% ubitych słonek (Scolopax rusticola) nie przekracza czwartego roku życia. Zaledwie 5% przypada na osobniki starsze.

Dla przykładu pozwolę sobie jeszcze przytoczyć odsetki śmiertelności polskich ptaków, uzyskane przez Stację Ornitologiczną Państwowego Muzeum Zoologicznego w Warszawie. Wszystkie podane tu odsetki, odnoszą się do pierwszego roku po zaobrączkowaniu, a więc: czapla siwa (Ardea cinerea) 80,4%, bocian biały (Ciconia ciconia) 63,5%, szpak (Sturnus vulgaris) 81%, jaskółka dymówka (Hirundo rustica) 65,6%, jaskółka oknówka (Delichon urbica) 66,6%. Ciekawe dane odnośnie śmiertelności muchołówki żałobnej (Hedymela hypoleuca) podają **Drost i Schilling**, mianowicie: w pierwszym roku po zaobrączkowaniu (jako młode okazy) ginie ich 73,6%, w drugim 16,7%, w trzecim 7,9% i czwartym 0,87%. Według nich średni jej wiek wynosi 1 rok i 1 miesiąc. Poszczególne gatunki ptaków mają swoje tzw. „niebezpieczne okresy". U czapel okres ten przypada na miesiące koczowania, a więc: czerwiec (10,13%), lipiec (33,4%), sierpień (22,9%) i wrzesień (11,4%). Powyższe miesiące są również niebezpieczne dla bocianów i śmiertelność ich przedstawia się następująco: czerwiec 13%, lipiec — 12,5%, sierpień — 24,5% i wrzesień — 11,5%.

Wiek osiągnięty przez polskie ptaki nie jest jeszcze wysoki. Pamiętać jednak musimy, że obrączkujemy zaledwie osiemnaście lat. Na przykład czapla siwa nosiła obrączkę 14 lat i 3 miesiące, bocian biały 10 lat i 10 miesięcy, jaskółka dymówka 6 lat i 10 miesięcy itd. Węgrzy, którzy obrączkują od 1908 roku uzyskali lepsze wyniki i tak na przykład ptaki, obrączkowane jako okazy młode, żyły: bocian biały 19 lat, czapla purpurowa (Ardea purpurea) 13 i 16 lat, mewa śmieszka (Larus ridibundus) 10 lat, błotniak stawowy (Circus aeruginosus) 9 lat itd. Ptaki obrączkowane jako osobniki stare nosiły obrączkę: rybitwa czarna (Chlidonias nigra) 17 lat, rycyk (Limosa limosa) 11 i 16 lat, brodziec krwawodzioby (Totanus totanus) 14 lat, czajka (Vanellus vanellus) 7 lat, sikora bogatka (Parus major) 6 lat.

Niezmiernie interesujące dane, odnośnie długowieczności ptaków, przytacza ornitolog **Stresemann**. Ptaki śpiewające, wielkości kanarka, żyją najwyżej do 25 lat, kury domowe do 20 lat. Znane są jednak wypadki, kiedy kury osiągały 24, 25, a nawet 30 lat życia. Kruk podobno żyje ponad 100 lat. Okazy trzymane w niewoli dożyły do 50 i 69 lat. Gołąb dziki trzymany w niewoli osiągnął wiek 20 lat, gdy tymczasem gołębie domowe żyły 22, 29 i 35 lat. Strusie żyją podobno najwyżej 40 lat. A oto wiek niektórych ptaków drapieżnych: puchacz (w niewoli) 34, 53 i 68 lat, sęp kasztanowaty (Aegypius monachus) ponad 52 lata, orzeł przedni (Aquila chrysaetos) 46 lat. Niektórzy twierdzą, że orły, sępy i sokoły mogą żyć sto i więcej lat. Samica orła Aquila rapax przez 30 lat znosiła jaja. Istnieje przypuszczenie, że gęsi i łabędzie osiągają ponad 100 lat, bociany 70 lat, żurawie około 40—50 lat, czaple 50 lat itd. Nie są to ścisłe dane, faktem jest jednak — jak widzieliśmy — że niektóre ptaki trzymane w niewoli dożywały sędziwego wieku. Zagadnienie długowieczności przez długi czas będzie dla nas jeszcze tajemnicą. Pomimo dużej ilości obrączkowanych rok rocznie ptaków, liczba wiadomości powrotnych jest ciągle niedostateczna i wskutek tego wyjaśnienie tego pasjonującego zagadnienia przeciągnie się na długie lata.

„Przyjaciółki" — fot. K. Głowacki (wyróżnione na Konkursie)



Dostrzel!

W JEDNYM z artykułów drukowanych w Łowcu Polskim i Łowcu przed ostatnią wojną na temat strzałów śrutowych, inż Walery Maryański nazywa strzelanie do zwierzyny na odległość ponad 50 m — dręczeniem zwierząt i — uczciwszy uszy — świństwem.

O ile jednak większym świństwem (skoro używamy tego terminu) jest, tak często spotykane, pozostawianie rannej zwierzyny nie dobitej. Wśród znacznej części uczestników polowań — boję się ich nazwać myśliwymi — rozpowszechniony jest pogląd, że wraz z unieruchomieniem zwierzyny lub znacznym ograniczeniem możliwości jej ucieczki kończy się zadanie myśliwego strzelca — resztę zrobi kij naganiacza lub nawet — czego byłem świadkiem — kolba dubeltówki (którą zresztą w obu obserwowanych przypadkach, ku mojej skrytej radości, została „prawidłowo złamana).

Wszelkie interwencje i apele o dobicie strzałem przeważnie są bezskuteczne „bo po co będę marnował naboje, kiedy i tak już nie pójdzie — leży".

Chciałbym bardzo mieć co roku na rozkładzie tyle zwierzyny, ile jej „murowanie leżącej" uszło i zginęło w męczarniach, a bezużytecznie w każdym sezonie.

Ponieważ jedynym powodem takiego postępowania jest oszczędzanie naboi, sądzę, że najwłaściwiej byłoby walczyć z tą plagą drogą kar pieniężnych, przewyższających znacznie wartość naboju. Z chwilą kiedy dobicie kijem stanie się znaczne droższe niż dobicie strzałem, na pewno nie będziemy świadkami dzikich pogoni za postrzałkami.

Słyszałem o kółku myśliwskim w województwie kieleckim, które w regulaminie swom przewiduje kary pieniężne za każde pudło, a jeśli ukarany usiłuje się tłumaczyć, że on właściwie nie spudłował, tylko „trochę daleko" — płaci karę podwójną. Wyniki są podobno fenomenalne.

Nie będę tu roztrząsał słuszności karania każdego pudła — chociaż widzę w tym wiele racji — uważam jednak, że zasada karania pozostawienia zwierzyny nie dobitej strzałem i za strzał ponad 50 m powinna być wprowadzona do regulaminu polowań wszystkich kółek myśliwskich. Bywa, oczywiście, że myśliwy mimo najlepszej woli nie może strzelić po raz drugi i wypadki takie zawsze będą uwzględniane przez łowczego nakładającego karę; chodzi o to, aby oszczędzanie naboi na dobicie zwierzyny stało się nieopłacalne.

Z poruszoną wyżej sprawą wiąże się ściśle zagadnienie psa aportera na zajęczych polowaniach. Czy pies taki jest pożądany? Zdaniem moim — tak, ale pod warunkami niżej podanymi:

1° pies musi być wyjątkowo zdyscyplinowany i wracać do nogi na każde wezwanie właściciela.

2° wolno go użyć tylko dla dojścia postrzałka, który wyszedł z miotu czy kotła.

3° wolno go użyć dopiero w przypadku, kiedy dobicie zająca strzałem jest niemożliwe.

Postaram się warunki te nieco szerzej omówić i uzasadnić.

Widziałem wypadek, kiedy psa puszczono w celu dojścia rannego zająca, poza kotłem. Pies ruszył ostro i chętnie, ale że był nieco ciężki, a warunki trudne (ostra gruda), zając zaś nie był zbyt ciężko ranny — prędko się psinie „odwidziało" gonić go i zawrócił do kotła. Mimo rozpaczliwych wysiłków właściciela pies ganiał po kotle coraz innego zająca, a chodziły koty gęsto, aż do zakończenia kotła. Pies zabawę miał świetną, myśliwi jednak czuli się mniej ubawieni; nie jeden miał szczerą chęć „kropnąć do kundla", a przyjemny do tego czasu nastrój diabli wzięli. W innym przypadku widziałem polowanie w 6 strzelb, w tym 4 z psami. Każdy zając był strzelany bez względu na odległość i każdy strzelał tylko raz; natomiast bez względu na wynik strzału był natychmiast puszczany pies (na wszelki wypadek, może „oberwał" i pies go dojdzie). Przepraszam obywateli myśliwych, ale to nie polowanie lecz kłusownicza wyprawa po mięso.

Proponuję więc umówić się: pies nieposłuszny pozostaje na czas polowań na zające — w domu; jeśli jesteśmy pewni jego subordynacji to zabieramy go na polowanie, ale zapowiadamy wszystkim myśliwym, że pies nie będzie nikomu zastępował drugiej lufy, a w wypadku konieczności użycia psa, myśliwy, którego zając był łapany, zapłaci karę na rzecz łowiska, przy czym w przypadku stwierdzenia, że można było dobić go drugim strzałem, czego myśliwy zaniechał — kara będzie podwójna.

Szczegóły, formy i wysokość kar najlepiej ustalą zarządy poszczególnych kółek, uchwalające regulamin.

Raz jeszcze powtarzam: ponieważ powodem nieetycznego postępowania wobec zwierzyny jest kieszeń — więc tylko przez kieszeń potrafimy je wyplenić, a przecie tak bardzo chcielibyśmy nie oglądać więcej pogoni z kijami za kniaziącym zającem lub sąsiada łamiącego kolbę na łbie szaraka.

Inż. T. Pasławski

Z działalności spółdzielni „Jedność Łowiecka"

W dniu 13 maja br. odbyło się w Poznaniu w sali konferencyjnej Giełdy Zbożowo-Towarowej Walne Zgromadzenie Przedstawicieli Spółdzielni „Jedność Łowiecka" przy udziale 84 delegatów okręgowych, i władz Spółdzielni. Wśród zaproszonych gości widzieliśmy przybyłych z Warszawy przedstawicieli Ministerstw: Bezpieczeństwa Publicznego, Leśnictwa i Rolnictwa, przedstawicieli ZSS, Banku Rolnego i Państwowo-Spółdzielczego Przedsiębiorstwa „Dalspo" oraz z Poznania przedstawicieli UB, Kom. MO, Zarządu m. Poznania, delegatów ZZPS i WRŁ.

Obrady, którym przewodniczył przedstawiciel PZPR, ob. Szymandera, trwały od godz. 10.30 do 19.30 przy wielce ożywionej i na wysokim poziomie prowadzonej dyskusji.

Po wyborach do Rady Nadzorczej Spółdzielni nastąpiły w jej składzie niewielkie przesunięcia.

Nazajutrz przyjezdni goście i delegaci okręgowi Spółdzielni zwiedzili gremialnie XXIII Międzynarodowe Targi Poznańskie.

Na marginesie Walnego Zgromadzenia Przedstawicieli Spółdzielni „Jedność Łowiecka"

Jedna z pierwszych zasad dialektyki żąda rozpatrywania każdego społecznego zjawiska w nierozerwalnej łączności z całą rzeczywistością obecnego życia w Polsce Ludowej.

Jakież jest powiązanie Spółdzielni Jedność Łowiecka z tłem Polski Ludowej, przede wszystkim zaś z państwem, rozumiejąc pod tym słowem wszystkie czynniki troszczące się o gospodarkę narodową?

Jedność Łowiecka jest zrzeszeniem dobrowolnym, które podjęło poważne zadanie początkowo ułatwienia, a dziś już podniesienia na państwową skalę coraz poważniejszej gałęzi gospodarki narodowej, jaką staje się zdemokratyzowane łowiectwo polskie. Ma ono — powiązane z ogólną gospodarką w planie sześcioletnim — uczestniczyć w budżecie państwa prawie tylko po stronie przychodu, dostarczyć pewnej ilości dewiz oraz mięsa i surowców na zapotrzebowanie wewnętrzne. Nawet kredyty udzielane „Jedności" przez Bank Rolny w ostatecznym rachunku dają saldo dodatnie dla Banku. Pod tym względem rozwój „Jedności" jest sprawą nie tylko pożądaną, ale nawet konieczną. Łączność J.Ł. z P.Z.Ł. wyraża się z jednej strony poważną korzyścią dla tej ostatniej instytucji, ponieważ J.Ł. 1) w budżecie P.Z.Ł. może figurować tylko po stronie przychodu, 2) może dać dodatkowe możliwości organizacyjne, 3) nie tylko ułatwia, ale wprost umożliwia spełnienie głównego statutowego zadania P.Z.Ł. — tj. rozwinięcia skali plonów łowieckich do najwyższych możliwości oraz 4) spełnienia moralnego zobowiązania wobec swych członków, tj. dania im jak największych wartości w sensie emocjonalnym przy dostępnych dla świata pracy kosztach.

Wreszcie łączność J.Ł. ze swymi członkami i myśliwymi w ogóle. Zbieżność interesów, o której wspominałem na początku, widoczna jest tu dopiero w dalszej perspektywie, przesłoniętej szeregiem bliższych przeciwieństw. Przede wszystkim sprawa cen. Maksymalne wykorzystanie przyznanych marż obiecuje większą nadwyżkę bilansową i powiększenie szczupłego kapitału obrotowego, co jest rzeczą nęcącą dla odpowiedzialnego za rozwój instytucji Zarządu — z drugiej zaś strony każda złotówka obniżonej ceny na towary myśliwskie masowej konsumpcji, a więc pierwszej potrzeby myśliwego, będzie miała dużą siłę atrakcyjną, co wydłuży listę członków i wzmoże ich zaufanie do instytucji, a to znów ułatwi pracę Zarządowi. W tym zagadnieniu cen leżą i inne przeciwieństwa, które mogą zahaczać o interesy P.Z.Ł., jak np.: uprzywilejowane ceny dla członków J.Ł. oraz przydział dla



Stół prezydialny Walnego Zgromadzenia.

nich towarów, nie pokrywających pełnego zapotrzebowania ogółu myśliwych. Z jednej strony P.Z.Ł. troszczy się o ogół myśliwych, bo to nie tylko członkowie J.Ł. są aparatem wykonującym państwowe zadanie łowiectwa polskiego, z drugiej zaś strony członkostwo J.Ł. musi mieć jakieś atrakcje, co znów z lekka koliduje z zasadą służby społecznej, którą J.Ł. musi honorować.

Rozwikłanie tych przeciwieństw i znalezienie słusznych i celowych rozwiązań w duchu społecznym — oto piękne tematy do dyskusji na Walnym Zgromadzeniu. Gdyby taka dyskusja nawet nie dała ostatecznych rozwiązań, to w każdym razie dała by obfity materiał i wielostronne jego oświetlenie. Tymczasem zagadnienie cen zostało zamarkowane jedną interpelacją i jedną ogólnikową odpowiedzią, a w sprawozdaniu Zarządu — krótkim stwierdzeniem tendencji obniżenia cen.

Pomijając szereg innych spraw handlowych i administracyjnych, które stanowiły główną treść starannie opracowanego sprawozdania Zarządu, pozwolę sobie jeszcze poddać rozważaniu sprawę okresu sprawozdawczego. Ustalony w ramach państwowych roczny okres sprawozdawczy z terminem 31 grudnia doskonale nadaje się prawie we wszystkich gałęziach gospodarki narodowej, a zwłaszcza w dziale spożywczym. W łowiectwie jednak trafia on w sam środek sezonu. Sprawia to cały szereg trudności zarówno sprawozdawczych, jak i w planowaniu, co odbija się ujemnie nie tylko na tych czynnościach, ale i na ostatecznych wynikach. Sądzę jednak, że, uzyskawszy w wyczerpującej dyskusji wielostronne oświetlenie, można by znaleźć rozwiązanie zadowalające obie strony, jak np. w szkolnictwie, gdzie rok szkolny kończy się 31-VIII.

Nad wszystkimi jednak tymi zagadnieniami, jak i nad wszystkimi sprawami związanymi z łowiectwem, góruje jedno zagadnienie, które ma decydujące znaczenie w momencie przebudowy łowiectwa w sensie jego demokratyzacji i skierowania go ku celom dobra społecznego. Zarówno PZŁ jak i jego emanacja „Jedność Łowiecka" — zajmują dziś w przejściowym stadium, jak i zajmować będą w przyszłym społeczeństwie, swoistą pozycję.

I. Składają się one dziś głównie a w niedługim czasie wyłącznie, z ludzi pracy, z których każdy, podlegając odpowiednim rygorom, spełnia przeznaczoną mu rolę w machinie państwowej, co stanowi podstawę jego egzystencji i główną treść jego życia codziennego.

II. Ku myślistwu skłania go tzw. żyłka myśliwska i dla zaspokojenia jej musi często ograniczać inne swoje potrzeby kulturalne, a nawet życiowe, zwalczając czasami i opór rodziny.

Na marginesie Walnego Zgromadzenia Spółdzielni „Jedność Łowiecka"

III. Zaspokojenie tej żyłki nie tylko nic prawie nie kosztuje państwo i społeczeństwo, ale, przeciwnie, daje mu spore i wielorakie korzyści.

IV. Warunki geograficzno-gospodarcze kraju nie pozwalają marzyć o stworzeniu — jak w ZSRR — zawodowego łowiectwa, stanowiącego podstawę bytu myśliwego.

V. Łowiectwo przez swoje zapotrzebowania i plony ożywia gospodarcze życie kraju, czego najlepszym dowodem jest tak szybki i zataczający coraz szersze kręgi rozwój J.Ł.

VI. Zbyt utrudnione i kosztowne wykonywanie łowiectwa przeważyć może siły doń przyciągające i wtedy nieuniknioną tego konsekwencją będzie zamieranie tej gałęzi gospodarki narodowej.

VII. Ponieważ wobec dzisiejszego tempa odbudowy każdy z myśliwych dysponuje tylko niewielką ilością wolnego czasu i z reguły może poświęcać łowiectwu tylko czas przeznaczony na konieczny odpoczynek — wykonywanie łowiectwa *musi być pewną formą odpoczynku.*

Wobec tych przesłanek do zadań organizacji łowieckich, a w tym „Jedności Łowieckiej", zaliczyć należy troskę o jak najdalej idące ułatwianie (w sensie kosztów i czasu) myśliwym dokonywania potrzebnych formalności, nabywania dobrego sprzętu myśliwskiego po tanich cenach, podnoszenia zwierzostanu i jego ochrony oraz zwiększania plonów i najracjonalniejszego i zgodnego z planem gospodarki narodowej ich realizowania. Dania zaś możności tym organizacjom wypełnienia swych zadań oczekiwać należy od resortów i instytucji nadrzędnych, do których zwracać się trzeba z gotowymi racjonalnymi wnioskami.

Strzelanie do rzutków w Świeciu nad Wisłą



Nagrodzeni zawodnicy w strzelaniu do rzutków.

W związku z obchodem Święta Pracy — Kółko Łowieckie w Świeciu urządziło pod przewodnictwem prezesa, kol. Franciszka Oseta, po raz pierwszy na terenie m. Świecia zawody w strzelaniu do rzutków. Piękna pogoda sprzyjała zawodnikom, którzy całym wysiłkiem starali się rozbić jak najwięcej rzutków, lecz, niestety, na 25 wyrzuconych rzutków najlepsze wyniki osiągnęli: kol. kol. Tomasz Twardowski 14, Jan Żurek 9, Zbigniew Tyrankiewicz 6.

Obecnie Kółko Łowieckie zakupiło nową wyrzutnię i przy systematycznym ćwiczeniu członkowie na pewno osiągną lepsze wyniki w strzelaniu do rzutków na następnych zawodach, a co za tym idzie lepszy i pewniejszy strzał do zwierzyny.



Wilk ubity przez G. Scotta w okolicach Krynicy wrzesień 1949 rok

OGÓLNOKRAJOWE KONKURSY WYŻŁÓW W CHOJNICACH.

We wrześniu 1950 r. odbędą się w Chojnicach Ogólnokrajowe Konkursy Wyżłów ras angielskich i kontynentalnych.

Zgłoszenia psów na Konkursy kierować należy na adres Oddziałowej Rady Kynologicznej w Chojnicach, na ręce Ob. E. Raszke, Bachorze, p-ta Chojnice.

Z Dnia Lasu

Płockie Towarzystwo Racjonalnego Polowania, biorąc udział w ogólnopaństwowej akcji „Dnia Lasu“, przystąpiło w dniu 16 kwietnia 1950 r. do sadzenia lasu. Zasadzono ogółem 0,43 ha powierzchni na dzierżawionych przez Towarzystwo terenach lasów państwowych w uroczysku Nadstrumnie, leśnictwo Słupno, nadleśnictwo Płock. Sadzonki składały się tylko z drzew iglastych (sosny).



Koledzy z Płocka zalesiają.

SZCZENIĘTA szorstkowłose, podtresowane w pierwszym polu do odstąpienia. Rodowody hod. „SPLENDOR“. Zw. Kynologiczny, W-wa, ul. Nowy Świat 35. Listownie znaczek poczt. W-wa, J. Marchlewskiego 10. A. Brudnicki.

Rejon Lasów Państwowych w Gorzowie powiadamia, że na terenie tut. lasów są możliwości polowań na dziki, które w dość znacznym stopniu występują. Ewentualnym reflektantom bliższych informacji udzieli Oddział Użytków Niedrzewnych. Rejon Lasów Państwowych zastrzega jednak, że za wynik polowań żadnych konsekwencji ponosić nie będzie.

Ob. KAROL RADECKI, wieś Sadek, pow. Ciechanów.

W odpowiedzi na odwołanie Obywatela z dnia 10.III.1950 r. Komitet Wykonawczy Polskiego Związku Łowieckiego na posiedzeniu w dniu 27.VI.1950 r. postanowił, stosownie do § 8, ust. 4 statutu Polskiego Zw. Łowieckiego, zatwierdzić decyzję Warszawskiej Wojew. Rady Łowieckiej z dnia 15.III.1950 r. odnośnie skreślenia Obywatela z listy członków Polskiego Związku Łowieckiego za notoryczne kłusownictwo. Decyzja Komitetu Wykonawczego jest ostateczna.

W-przewodniczący Komitetu Wykonawczego

Z. Kowalski

Brawo Pyczek!



Na zdjęciu widzimy upolowane jastrzębie gołębiarze, jako rezultat jednego dnia. W czasie od 1 marca br. do 15 maja br. ubito na terenie Państwowego Nadleśnictwa Janów Lubelski 17 sztuk tych szkodników, z których leśniczy Władysław Pyczek zestrzelił 5 sztuk.

ś. p. Henryk Turowski

z Czapielska, pow. gdański, zginął w dniu 14 maja br. śmiercią tragiczną podczas akcji tępienia drapieżników.

Cześć Jego pamięci!

Wojew. Rada Łowiecka w Gdańsku.

ś.p. Kazimierz Mościcki

długoletni członek PZŁ, prawdziwy myśliwy, założyciel Klubu Łowieckiego „Łoś“ w Elblągu, zmarł w dniu 5.X.1949 r. Cześć Jego pamięci!

ś. p. Jakub Gąsienica-Kołodziej

(BOGDAŃSKI)

zmarł w lipcu rb. w Zakopanem, zostawiając po sobie pamięć rzetelnego myśliwego i prawego człowieka.

Z literatury łowieckiej

„MYŚLIWY KIELECKI" — nr. 1, lipiec 1950 r. Komunikat Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Radomiu.

Do szeregu wydawnictw periodycznych naszych placówek terenowych przybył nowy kolega w postaci „Myśliwego Kieleckiego" organu informacyjnego Radomskiej Rady Wojewódzkiej. Redakcję „Myśliwego ujął w swoje ręce wytrawny pisarz i myśliwy, kol. Leopold Pac-Pomarnacki. To też pierwszy już zeszyt wykazuje fachowe ujęcie sprawy, przez poruszenie w piśmie zagadnień najpilniejszych i przedstawienia ich w formie zwięzłej i jasnej.

Po krótkim wstępie, uzasadniającym potrzebę założenia własnego organu informacyjnego i po podaniu w dziale urzędowym uchwał ostatniego Walnego Zgromadzenia członków PZŁ, Komunikat zatrzymuje się na dwóch głównych zadaniach chwili bieżącej: na obowiązku prowadzenia przez Koła myśliwskie gospodarki łowieckiej i na zastąpienie polowań na zające „w kotły" przez polowania „pędzeniem". W uznaniu wagi tych zagadnień Walne Zgromadzene Wojewódzkie powzięło w dniu 16 kwietnia r. b. następujące uchwały: 1. Koła myśliwskie obowiązane są przystąpić niezwłocznie do pracy nad hodowlą zwierzyny na swoim terenie. rozpoczynając ją na razie od tępienia wron siwych. wałęsających się psów i kotów, pilnowania chłopaków niszczących gniazda oraz przygotowania na okres zimowy koniczyny czy owsa w snopach dla zajęcy. a pośladu dla kuropatw. 2. Wprowadza się zakaz polowania na zające na obszarze całego Województwa „w kotły", zastępując je „pędzeniem".

Aby zarządzenie to uzasadnić, a zarazem pouczyć myśliwych, jak się mają ze swych obowiązków wywiązać. Komunikat zamieszcza artykuł Kol. Pac-Pomarnackiego pt. „Dlaczego zakazano u nas polowania w kotły" i Kol. T. Pasławskiego: „Jak się poluje pędzeniem", oraz „Prace hodowlane Kółek Myśliwskich". Artykuły te, krótkie i przystępne, ale pełne treści i praktycznych wskazówek, ułatwią myśliwym zarówno zrozumienie słuszności powziętych postanowień. jak też ich wykonanie. Że zaś Walne Zgromadzenie traktuje poważnie wykonanie powziętych uchwał, o tym świadczy wprowadzenie sankcji **pozbawienia Koła, które się nie wykaże pracą z zakresu hodowli zwierzyny, prawa do wykonywania polowania,** oraz wyznaczenie wysokich kar organizacyjnych za stosowanie polowania „w kotły". Komunikat uzupełniają krótkie wzmianki informacyjne, jak: 1. o zamknięciu na terenie Kielecczyzny przez Radę Wojewódzką polowań na bażanty - koguty w sezonie rb. a to z powodu sprowadzenia na wiosnę dopiero bażantów z Czechosłowacji i niemożności jeszcze należytego ich zaaklimatyzowania, 2. o sposobach polowania na kaczki i inne ptactwo wodne i błotne, z przypomnieniem oszczędzania nielotów i ptaków niełownych. jak perkozy, bąki, mewy itp. oraz 3. o przygotowaniach do nowego podziału na obwody łowieckie, z zapewnieniem, że podział ten będzie dokonany przy współudziale zarządów Kół łowieckich i nie grozi całkowitym anulowaniem już zawartych umów dzierżawnych.

Nawet na humor znalazło się miejsce w 9 stronicowym Komunikacie, w postaci anegdot zapożyczonych zręcznie ze zbiorów J. W. Kobylańskiego.

J. G.

„KOMUNIKAT POWIATOWEJ RADY W RYBNIKU" — nr 5, lipiec 1950 r.

Komunikat lipcowy zawiera szereg aktualnych porad i wskazówek. W związku z rozpoczęciem żniw, nawołuje do baczenia nad ochroną zwierzyny młodej i gniazd podczas zbiorów, oraz do wykorzystania tegoż okresu do walki z drapieżnikami. Na polowaniach na kaczki — uważać na ochronę starek przy młodych i brać z sobą psa do wyszukiwania postrzałków. Drugi przegląd broni myśliwskiej odbędzie się w dniu 22 lipca na strzelnicy w Paruszowcu. Dostarczenie broni do przeglądu jest obowiązujące. Pierwszy przegląd zdyskwalifikował 3 dubeltówki, które zagrażały bezpieczeństwu i powinny być oddane Spółdzielni „Jedność Łowiecka" w Katowicach, a z 16 sztuk broni dozwolono strzelać jedynie amunicją z prochem dymnym.

J. G.

POMORSKI BIULETYN ŁOWIECKI nr 11, 1950 r., Toruń, wydawnictwo Pomorskiej Rady Łowieckiej.

Kolejny zeszyt najlepszego naszego periodyku prowincjonalnego przynosi dużo prac wartościowych. Po artykule wstępnym kol. W. Dobrowolskiego, nawołującym do poświęcenia większej uwagi politycznospołecznemu wychowaniu członków PZŁ, kol. Pac Pomarnacki pisze „O racjonalnym odstrzale głuszców", tj. o odstrzale przede wszystkim starych ptaków i podaje cechy pozwalające na ich rozpoznanie. Kol. J. Goetz kładzie nacisk na „Znaczenie łąk śródleśnych dla zwierzyny" i przytacza sposoby ich sztucznego zakładania. Kol. W. Zabiełło, omawiając ocenę nowego prawa łowieckiego w sformułowaniu kol. J. Bohusza (Łowiec Polski nr 12 1949), przyznaje wielką jej wartość, ale uważa, że oświetla ono zagadnienie wyłącznie od strony założeń teoretycznych. Tymczasem dla skutecznego oddziałania nowego prawa na układ stosunków łowieckich równie ważną jest ocena jego praktycznej zdatności — i temu właśnie zagadnieniu poświęca kol. Zabiełło swoje uwagi. Kol. Babczyszyn zamieszcza ciekawe obserwacje nad żurawiem, a kol. Gabała przytacza fakt ubica przezeń w 1946 r. zająca ze znaczkiem aluminiowym w uchu, z datą „1933 r." co świadczyło by, że zając miał ponad 13 lat wieku. Porusza więc zagadnienie: „Jak długo może żyć zając?" Hodowli wyżła dowodnego (wszechstronnego) poświęcone są artykuły kolegów E. Raszkego i A Gulgowskiego, zaś zagadnieniom etyki myśliwskiej — notatki kolegów M. Rudzińskiego i W. Zabiełły.

Resztę zeszytu wypełniają komunikaty Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Toruniu, obrazujące ożywioną i wielostronną działalność tej placówki terenowej naszego Związku.

J. G.

Wydawca — Polski Związek Łowiecki. Warszawa, Nowy Świat 35. Konto PKO I-161/113
Komitet Redakcyjny: Z. Korolkiewicz (przewodniczący), J. Gieysztor (redaktor), członkowie: J. Bohusz, E. Frankiewicz, S. Ihnatowicz, Z. Kowalski, R. Kryspin, M. Sadzewicz, A. Śliwiński, H. Zapolski. Doradca graficzny — S. Rozwadowski.

Zamówienie Nr 626 z dn. 5.VII.50 Nakład 32.000 egz. Ukończono w sierpniu 1950 r. B-119120
Druk „Prasa Demokratyczna — Nowa Epoka" W-wa, Śniadeckich 16.

OKRESY POLOWAŃ i CZASÓW OCHRONNYCH

ustanowione dla Rzeczypospolitej Polskiej ustawą łowiecką z dnia 3 grudnia 1927 r. (Dz. U. R. P. Nr. 110) i rozporządzeniem Ministra Leśnictwa z dnia 27 marca 1950 r. (Dz. U. R. P. Nr. 18) Obowiązuje od dn. 1 czerwca 1950 r. do dnia 31 maja 1951 r.

(Czas polowań oznaczony jest polami białymi, czas ochronny czarnymi).

L. p.	Rodzaj zwierzyny	styczeń	luty	marzec	kwiecień	maj	czerwiec	lipiec	sierpień	wrzesień	październik	listopad	grudzień
1	Łosie	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
2	Jelenie byki w województwach: łódzkim, olsztyńskim, pomorskim, szczecińskim, poznańskim, wrocławskim, śląskim, krakowskim, rzeszowskim	■	■	■	■	■	■	■	■	11		■	■
	Jelenie byki w województwach: warszawskim, białostockim, gdańskim, kieleckim, lubelskim	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
	Jelenie łanie i cielęta	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
3	Daniele byki w województwach: pomorskim, poznańskim, śląskim i wrocławskim	■	■	■	■	■	■	■	■	■	16		■
	Daniele byki w pozostałych województwach	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
	Daniele łanie i cielęta	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
4	Sarny kozły w województwach: pomorskim, poznańskim, olsztyńskim, i wrocławskim	■	■	■	■	■						■	■
	Sarny kozły w pozostałych województwach	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
	Sarny kozy i koźlęta	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
5	Muflony	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
6	Niedźwiedzie	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
7	Rysie	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
8	Żbiki	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
9	Dziki			■	■	■							
10	Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
11	Kuny leśne (tumaki)			■	■	■	■	■	■	■	■		
12	Wydry			■	■	■	■	■					
13	Norki	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
14	Wiewiórki		■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
15	Lisy (w bażantarniach i zagrodach wiejskich oraz w sąsiedztwie aż do stu metrów wolno polować przez cały rok)			■	■	■	■	■					
16	Zające szaraki	20	■	■	■	■	■	■	■	■	26		
17	Zające bielaki	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
18	Króliki	czasu ochronnego nie mają											
19	Głuszce koguty	■	■	16		15	■	■	■	■	■	■	■
	Głuszce kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
20	Cietrzewie koguty	■	■	16		15	■	■	■	■	■	■	■
	Cietrzewie kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

L. p.	Rodzaj zwierzyny	styczeń	luty	marzec	kwiecień	maj	czerwiec	lipiec	sierpień	wrzesień	październ.	listopad	grudzień
21	Jarząbki	20	■	■	■	■	■	■	■	■	■		
22	Bażanty koguty	20	■	■	■	■	■	■	■	■	26		
23	Kuropatwy w województwach: białostockim, lubelskim i rzeszowskim	■	■	■	■	■	■	■	■	16	15	■	■
	Kuropatwy w pozostałych województwach	■	■	■	■	■	■	■	■			10	■
24	Przepiórki w województwach: białostockim, lubelskim i rzeszowskim	■	■	■	■	■	■	■	■	16			
	Przepiórki w pozostałych województwach	■	■	■	■	■	■	■	■				
25	Słonki	■	■			15	■	■	16				
26	Bataliony						■	16					
27	Dzikie kaczory w województwach: gdańskim, olsztyńskim i szczecińskim					20	■	16					
	Dzikie kaczory w pozostałych województwach	■	■			20	■	16					
	Dzikie kaczki (samice i młode)	■	■	■	■	■	■	16					
28	Dzikie gęsi w województwach: gdańskim, olsztyńskim, wrocławskim i szczecińskim	■	■	■	■	■	■	■					
	Dzikie gęsi w pozostałych województwach					15	■	■					
29	Czaple siwe, dubelty, kszyki, bekasiki, kulony, kuligi, derkacze, siewki i inne ptactwo wodne i błotne, z wyjątkiem łysek	■	■	■	■	■	■	16					
30	Łyski					■	■	16					
31	Dzikie gołębie	■	■	■	■	■	■	■					
32	Kwiczoły i paszkoty		■	■	■	■	■	■	16				
33	Dropie i dropie kamionki (strepety)	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
34	Drozdy z wyjątkiem kwiczoła i paszkota	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
35	Czarne bociany	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
36	Dzikie łabędzie	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
37	Orły z wyjątkiem orła rybołowa, puchacze i wszelkie sowy	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
38	Błotniaki zbożowe i stawowe					15	■	16					
39	Gawrony, kawki, kruki, orły rybołowy i ptaki drapieżne z wyjątkiem gołębiarzy, krogulców, wron i srok			■	■	■	■	■	16				
40	Wilki, kuny, kamionki, tchórze, gronostaje, łasice, jastrzębie gołębiarze i krogulce, wrony i sroki	czasu ochronnego nie mają											